Jedyny świecki demonolog uznany przez Watykan.
Małżeństwo znane z filmów *OBECNOŚĆ* i *ANNABELLE*.

ED I LORRAINE WARREN

Ray Garton, Carmen Reed, Al Snedeker

UDRĘCZENI

HISTORIA PRAWDZIWA

Replika

UDRĘCZENI

HISTORIA PRAWDZIWA

ED I LORRAINE WARREN

Ray Garton, Carmen Reed, Al Snedeker

UDRĘCZENI

HISTORIA PRAWDZIWA

Tłumaczyła
Martyna Plisenko

Replika

Tytuł oryginału
IN A DARK PLACE

Copyright © 1992 by Ray Garton, Carmen Reed, Al Snedeker, Ed Warren and Lorraine Warren. This translation published by arrangement with Graymalkin Media LLC.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Alicja Laskowska

Korekta
Dagmara Ślęk-Paw

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2020

eISBN 978-83-66481-74-9

Wydawnictwo Replika
ul. Szarotkowa 134, 60–175 Poznań
replika@replika.eu

www.replika.eu

Mojej żonie, Dawn, która z cierpliwością
podchodziła do każdej strony.
– Ray Garton

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Podziękowania
WSTĘP. DEMONICZNE OPĘTANIE
1. PRZEPROWADZKA
2. CO USŁYSZAŁ STEPHEN
3. WRASTANIE
4. KOLEJNE GŁOSY
5. LATO/JESIEŃ I
6. SPANIE NA DOLE
7. KOLEJNI GOŚCIE
8. SZKOŁA
9. NOCNE ROZMYŚLANIA
10. UMOWA
11. ZMIANY
12. DUCHY TERAŹNIEJSZYCH ŚWIĄT
13. POCZĄTEK NOWEGO ROKU
14. PRZEDWIOŚNIE
15. GOŚCIE
16. LAURA
17. LATO/JESIEŃ II
18. ŁOWCY DUCHÓW
19. CIEMNOŚĆ CORAZ BLIŻEJ
20. SCEPTYCZNE BŁOGOSŁAWIEŃSTWO
21. ATAKI FIZYCZNE

22. WIĘZIENIE BEZ KRAT
23. ROZPOCZYNA SIĘ ŚLEDZTWO
24. BADACZE
25. DEMONY POD OBSERWACJĄ
26. UWAGA KOŚCIOŁA
27. OJCIEC NOLAN
28. EGZORCYZM
29. KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ
EPILOG
Wydawnictwo Replika poleca

PODZIĘKOWANIA

Gdy pisałem tę książkę, wielu ludzi pomogło mi swoimi talentami edytorskimi oraz udzieliło mi wsparcia moralnego, i w tym miejscu chciałbym im podziękować:

Mojej agentce i przyjaciółce, Lori Perkins; mojej cudownej redaktorce, Emily Bestler i jej asystentom, Tomowi Fifferowi i Amelii Sheldon, którzy przez cały czas cierpliwie służyli mi pomocą; moim przyjaciołom, Scottowi Sandinowi, Paulowi Meredithowi i Stephanie Terrazas; moim rodzicom, Rayowi i Pat Garton; Joemu Citro i Jerremu Sawyerowi, dwóm świetnym pisarzom mówiącym prawdę; Deanowi R. Koontzowi, który zawsze służył dobrą radą; wielebnej Cheri Scotch, Arcykapłance Świątyni Diany, której zdrowy rozsądek – oraz poczucie humoru – zawsze były wielką pomocą; oraz, oczywiście, Dawn, bez której ta książka by nie powstała.

– Ray Garton

WSTĘP

DEMONICZNE OPĘTANIE

Badanie opętań demonicznych nigdy nie było, ani nie jest, i najprawdopodobniej nigdy nie będzie, nauką.

Niemniej jednak są ludzie, którzy takim badaniom poświęcili życie, którzy próbują określić punkt, w którym rozpoczyna się opętanie, tak, by można było go uniknąć.

Opętania datują się od czasów Chrystusa, który zgodnie z Nowym Testamentem wypędził demony z wielu ludzi. Dziś jest ono co najwyżej tematem horrorów. Jednak wiele kościołów i sekt chrześcijańskich, w większości katolickich, nadal praktykuje rytuał egzorcyzmu.

Istnieją dwie odmiany opętania: opętanie człowieka i opętanie miejsca, na przykład domu albo innego budynku. Jednakże wiele Kościołów katolickich uważa, że oba przebiegają w zasadniczo podobny sposób.

Po pierwsze istnieje punkt, w którym demon (bądź demony) wchodzi w człowieka albo zamieszkany budynek, albo dom. Istnieje wiele różnych teorii wskazujących, co można uznać za pierwsze wejście. W jednym, dobrze dokumentowym przypadku opętania demonicznego demon twierdził, jakoby wybrał swoją ofiarę jeszcze przed jej narodzeniem. Niektórzy wyrażają przekonanie, że nawet przejściowe zainteresowanie okultyzmem może być zaproszeniem do

opętania. Inni jednak uważają, że pozostanie to w sferze zagadki, że nie dowiemy się tego, póki nie staniemy przed naszym Stwórcą i nie usłyszymy wyjaśnienia.

Jednak co do jednej rzeczy panuje niemal jednomyślna zgoda: pierwsze wejście następuje wyłącznie wtedy, gdy ofiara, albo mieszkaniec domu, który stał się celem demona, dokona wyboru – nawet podświadomego, nawet subtelnego – by na to pozwolić.

Niech przykładem będą Snedekerowie, którzy nie zrobili niczego, by na swój dom sprowadzić opętanie – zaczęło się ono dużo wcześniej. Lorraine wyczuła swoim wieszczym zmysłem, że w tym domu, gdy był jeszcze domem pogrzebowym, wydarzyło się coś strasznego. Ktoś wykorzystywał zwłoki dla własnej, chorej przyjemności, i to właśnie te akty nekrofilii otworzyły wrota opętaniu; to właśnie ta osoba dokonała wyboru – oddając się tak perwersyjnym czynnościom – by dać siłom zła dostęp do tego domu, na długo przed tym, nim wprowadzili się tam Snedekerowie.

Gdy dojdzie już do wkroczenia, dążący do opętania byt stopniowo zaczyna łamać swojego gospodarza albo mieszkańców budynku, do którego wszedł. Zwykle osiąga to poprzez strach. Byt walczący o opętanie nie tylko karmi się strachem, ale wie, że strach osłabia jego ofiarę, dzięki czemu łatwiej będzie przejąć nad nią kontrolę, co przybliży demona do całkowitego opętania.

W przypadku sprawy Snedekerów moce zasiedlające ich dom walczyły o uzyskanie dostępu do samych Snedekerów, wykorzystując strach, aby ich osłabić, próbując zwrócić ich przeciwko sobie, przez cały czas czekając na trzecie stadium opętania: ofiara, osłabiona i podatna, zagubiona i przerażona, prędzej czy później osiągnie punkt krytyczny i dobrowolnie podda się mocom ciemności.

Nie można przeprowadzić oficjalnego egzorcyzmu bez starannego śledztwa, które ma określić, czy zgłaszana aktywność demoniczna faktycznie ma miejsce, czy też nie. Zdarza się, że osoba z problemami psychicznymi, albo uzależniona od jakiejś substancji,

czy nawet cała rodzina cierpiąca w wyniku kryzysu domowego najzwyklejsze, drobne zbiegi okoliczności potrafi przemienić w ciąg przerażających wydarzeń prowadzących do wniosku, że dom został opętany przez demona. Z historii wiadomo, że za opętanie brano choroby psychiczne – takie, jak choćby schizofrenię, syndrom Tourette'a, pląsawicę Huntingtona, chorobę Parkinsona, a nawet dysleksję. I mimo że przez lata medycyna bardzo się rozwinęła, ksiądz, zanim w ogóle weźmie pod uwagę egzorcyzm, musi wykluczyć prawdopodobieństwo którejś z tych chorób.

Kapłan z wykształceniem medycznym albo psychiatrycznym – czasami jednym i drugim – rozpoczyna śledztwo od wyeliminowania innych możliwości; potem, jeśli to konieczne, zaczyna sprawdzać możliwość, że w dany przypadek zaangażowana jest istota demoniczna. Gdy uda się udowodnić działania demoniczne, kapłan zwraca się do Kościoła. Sprawa zostaje zbadana ponownie i, jeśli nie pojawią się inne przesłanki, zapada decyzja o konieczności odprawienia egzorcyzmu.

Zgodnie ze słowami osób, które byłby świadkami tego rytuału, nie ma dwóch identycznych egzorcyzmów, jakkolwiek wszystkie mają dwie wspólne kwestie. Pierwszą jest coś, czego osoby zaangażowane nie są w stanie zapomnieć, czy chodzi o egzorcyzmowanie osoby czy budynku: nazywamy to *obecnością.*

To coś niewidzialnego, subtelnego, a jednak tak głęboko odczuwanego przez wszystkich zainteresowanych, że wydaje się niemal namacalne. Jest to obecność pozbawiona płci – ani męska, ani żeńska… ani ludzka, ani zwierzęca… nie jest to pojedyncza istota, ale też nie jest ich wiele… ale jest wyraźna, a w miarę trwania egzorcyzmu z reguły staje się silniejsza. Gdy przemówi – o ile to zrobi – czasami mówi o sobie „ja", a czasami „my". Przemieszcza się wokół zgromadzonych jak lodowaty powiew, jak smuga powietrza z otchłani najgłębszej jaskini na ziemi, aż egzorcyzm się zakończy…

aż byt, który opętał człowieka bądź miejsce zostanie wygnany w imię Boże.

Drugą rzeczą wspólną dla wszystkich egzorcyzmów jest niebezpieczeństwo.

Tym, którzy uczestniczą w tym rytuale, przez cały czas grozi niebezpieczeństwo, i muszą być oni przygotowani na to, że usłyszą najbardziej plugawe obelgi i zobaczą najbardziej przerażające rzeczy, jakie można sobie wyobrazić. Ich wiara w obliczu koszmarnego, nadprzyrodzonego gwałtu musi pozostać niewzruszona jak skała. Demony nie poddają się bez ciężkiej walki, a ich główną bronią jest, jak zawsze, strach. Żywią się nim i zrobią co w ich mocy, aby wzbudzić go w tych, którzy próbują je wyrzucić.

Nie wszystkie takie próby kończą się powodzeniem.

Demony czekają na zaproszenie do wejścia, ale nie zawsze chcą się wynieść, gdy się im każe…

JEDEN

PRZEPROWADZKA

– Mamo, musimy się wynieść z tego domu. Tutaj jest coś złego.

Carmen Snedeker z dłońmi i ramionami pokrytymi pianą stała przy zlewie kuchennym i myła naczynia. Na podłodze leżała sterta pogniecionych gazet i pustych kartonów, w których bawił się Willy, fretka Snedekerów. Naczynia, jeszcze przed chwilą poowijane w gazety i zapakowane w pudła, piętrzyły się na blacie po prawej stronie Carmen, poszarzałe od tuszu drukarskiego i zakurzone po podróży.

Od nagich ścian odbijał się śmiech pozostałych dzieci, które biegały po pokojach, zapoznając się ze swoim nowym domem.

Słyszała uderzenia i szuranie, gdy Al i jego brat wnosili do środka ciężkie meble.

Stephen, jej czternastoletni syn, kręcił się za jej plecami po kuchni, milczący i niespokojny, czubkami tenisówek szturchając pudła i papiery, jakby miał coś do powiedzenia, ale nie mógł się zebrać, by to uczynić.

– Skąd ten pomysł, Stephen? – spytała Carmen, gdy opłukała talerz.

– Mamo, tutaj jest coś złego – powtórzył – i musimy wynieść się z tego domu.

Carmen odłożyła talerz na suszarkę po lewej i ze zmarszczonymi brwiami, bardzo powoli, odwróciła się do Stephena.

– Wynieść się? Skarbie, dopiero co się wprowadziliśmy.

– Wiem, ale teraz musimy się wyprowadzić.

– Ale dokąd mielibyśmy jechać?

– Z powrotem do Nowego Jorku, do naszego mieszkania. Mamo, musimy. Tutaj jest coś… – zamilkł na moment i zmrużył oczy, jakby szukał odpowiedniego słowa. – Coś nie w porządku. Z tym domem jest coś nie w porządku.

Carmen jeszcze bardziej zmarszczyła brwi. Wytarła ręce. Odwróciła się, oparła o blat i założyła ramiona na piersi, przypatrując się swojemu synowi.

Był taki wymizerowany, taki blady, z ciemnymi podkówkami pod oczami. Starała się do tego przyzwyczaić – i oczywiście zachowywała się tak, jakby tego nie zauważała – ale za każdym razem, gdy na niego patrzyła, fizyczne zmiany, jakie w nim zachodziły, sprawiały, że ściskało jej się serce. Zupełnie jakby leczenie kobaltem, któremu był poddany, odebrało mu połowę siebie, wyssało tak, że stał się kruchą, porcelanową lalką, która ledwie przypominała jej syna. Taka terapia powodowała duży stres i to właśnie jemu Carmen przypisała słowa syna o tym domu. To musiało być to. Z całą pewnością nie mógł znać prawdy o tym budynku. O jego przeszłości wiedziała tylko Carmen i jej mąż.

– Stephen, a co jest nie w porządku z tym domem? – spytała cicho.

Jego gładkie czoło się pomarszczyło i na chwilę odwrócił wzrok, a potem wzruszył jednym ramieniem.

– Nie wiem – odpowiedział niemal szeptem. – Po prostu… coś złego. Coś… – gwałtownie potrząsnął głową, jednocześnie sfrustrowany i wzburzony. – Trudno to wytłumaczyć. Ale coś niedobrego. Złego. A jeśli tu zostaniemy… z nami też stanie się coś złego. Coś naprawdę złego.

– Skarbie, domy nie są złe. Źli bywają tylko ludzie. Zło mieszka w ich sercach, w tym, co czasem robią i mówią. Ale ten dom… to po prostu stary dom. Gdyby potrafił mówić, pewnie opowiedziałby nam wspaniałe historie, może nawet rzeczywiście jakieś *straszne*. Ale nie jest zły. Po prostu jest dla ciebie nowy – dodała z łagodnym uśmiechem. – Za jakiś czas się do niego przyzwyczaisz, poczujesz w nim lepiej. Widziałeś swój pokój na dole?

Stephen opuścił głowę i spojrzał w podłogę, lekko kiwając głową na znak potwierdzenia. Coś powiedział, ale tak cicho, że nie zrozumiała.

Carmen wsunęła palec pod jego podbródek i uniosła mu głowę.

– Co mówiłeś?

– To właśnie ten pokój jest taki okropny. Mamo, tam jest coś złego. Nie chcę tam spać. To po prostu wydaje się… być nie na miejscu.

Carmen starała się niczego po sobie nie pokazać. Ponownie napomniała się, że Stephen nic nie wiedział o tym domu, że nic nie wiedział o tym, co się tutaj działo. Wzięła głęboki wdech i część napięcia z jej klatki piersiowej uleciała.

– Ale to twój pokój – powiedziała. – Zawsze chciałeś mieć własny pokój.

Pokręcił głową.

– Sam nie będę tam spał.

– Ale Michael jeszcze przez kilka tygodni nie wróci z Alabamy. Gdzie będziesz spał do tego czasu?

Wzruszył ramionami i pochylił się, żeby pogłaskać Willego.

– Na kanapie. Albo może na podłodze w salonie, nie wiem. Ale… – ponownie zaczął potrząsać głową, ruszając do wyjścia z kuchni, przechodząc nad pustymi kartonami – …na dole sam spać nie będę.

Carmen wciąż stała oparta o zlew, ze skrzyżowanymi ramionami i ścierką w dłoni. Patrzyła na syna, jak ten się oddala, a potem, gdy zniknął jej z oczu, nasłuchiwała kroków na drewnianej podłodze, aż do jej uszu przestał dobiegać jakikolwiek odgłos jego obecności.

Odwróciła się do zlewu, wzięła ze sterty kolejny talerz i cicho westchnęła.

Snedekerowie w krótkim czasie przebyli bardzo długą i zdradliwą drogę. Ich podróż rozpoczęła się w kwietniu 1986 roku.

Al i Carmen poznali się w 1977 roku w Plainville, Connecticut, w kręgielni, gdzie Carmen była kelnerką. Al dobrze się prezentował, miał starannie przystrzyżone wąsy i krótkie, ciemnobrązowe włosy. Na bosaka miał nieco ponad sześć stóp wzrostu i mocną, muskularną budowę ciała będącą efektem lat ciężkiej pracy. Carmen dla odmiany była drobna, z szerokim, olśniewającym uśmiechem i gęstymi, falującymi blond włosami. Natychmiast wpadli sobie w oko, ale Carmen nie spieszyła się z dużymi zmianami w swoim życiu.

Była środkowym z pięciorga dzieci sierżanta sztabowego sił powietrznych. Urodziła się Bazie Sił Powietrznych w Biloxi, Mississippi, a sześć lat później, wraz z dwiema starszymi siostrami i dwoma młodszymi braćmi, przeniosła się do innego miasta. I kolejnego, i kolejnego… Wciąż się przeprowadzali, za każdym razem, gdy ich ojciec dostawał nowy przydział, aż został uznany za niepełnosprawnego, a następnie zwolniony ze służby. Wtedy przeprowadzili się do Decatur w Alabamie, rodzinnej miejscowości rodziców Carmen. Jednak te lata ciągłego zrywania więzi, braku zakorzenienia, wiecznych przeprowadzek do nowych i nieznanych miejsc – nawet jeśli była wtedy bardzo mała – w jakiś sposób w niej zostały i sprawiały, że podejrzliwie podchodziła do wszelkich życiowych zmian, nawet tych naturalnych.

Później, gdy była już dorosła, Carmen zdecydowała się ponownie na drastyczną życiową zmianę: małżeństwo. A wraz z nim przyszły dwie kolejne: jej synowie – Stephen i Michael. To były dobre i szczęśliwe zmiany, takie, które nie zdestabilizowały jej życia, ale je wzbogaciły. Potem nadeszła najgorsza zmiana: rozwód. Carmen znowu znalazła się na obcym terytorium, sama z dwoma synami.

Przeprowadzili się do Connecticut, do rodziców Carmen, która, nie mając wykształcenia i żadnego doświadczenia zawodowego, musiała znaleźć pracę i sprawić, by dla jej dzieci życie było jak najbardziej stabilne.

Dla odmiany Al, wraz z dwoma braćmi i trzema siostrami, aż do czasu osiągnięcia dorosłości mieszkał wciąż w tym samym domu na granicy Plainville i New Britain. Jako towarzyszy mając tylko swoje rodzeństwo, Al spędzał z nimi czas, bawiąc się w lasach otaczających dom. Wtedy pokochał biwakowanie.

Al po raz pierwszy ożenił się w 1975 roku, jednak to małżeństwo przetrwało tylko dziewiętnaście miesięcy. Jego życie toczyło się relatywnie gładko – oczywiście pomijając normalne wzloty i upadki, potknięcia i rozczarowania, których wszyscy doświadczają w miarę dorastania – jednak ciężki rozwód go poturbował i Al potrzebował czasu, by zaangażować się w kolejny związek.

Potem poznał Carmen w kręgielni, w której roznosiła koktajle, i wszystko się zmieniło. Pobrali się w 1979 roku i pełni nadziei rozpoczęli nowe życie.

W 1986 mieszkali w Hurleyville, w stanie Nowy Jork, w górach Catskills. Latem nowojorczycy przyjeżdżali tam na wakacje. Snedekerowie w sumie nie rozumieli po co, bo ci podróżnicy z wielkiego miasta wydawali się w ogóle nie doceniać piękna dzikiej przyrody. Latem wystarczyło wejść do któregokolwiek sklepu w centrum handlowym, żeby usłyszeć urlopowiczów narzekających na dzikie zwierzęta, które nie chciały zejść z drogi ich samochodom. W sezonie wakacyjnym więcej było też martwych zwierząt na poboczach.

Al Snedeker pracował w kamieniołomie, a Carmen sprawowała dzienną opiekę nad czwórką dzieci, dzięki czemu mogła zostać w domu. Byli oddanymi katolikami i co niedziela chodzili do kościoła. Carmen angażowała się w działanie parafii, poświęcając temu zajęciu dużą część swojego wolnego czasu.

W kwietniu tamtego roku Stephen dostał suchego, ostrego kaszlu. Al pierwszy zwrócił na to uwagę i się zaniepokoił. Jednak Carmen widziała już u dzieci taką ilość kombinacji kaszlu, bólu gardła, kataru i zapchanych zatok, że była pewna, że niedługo mu przejdzie.

Ale nie przechodziło.

– Mamo, co to jest? – zapytał któregoś dnia Stephen, podchodząc do Carmen ze zmarszczonymi brwiami. Do szyi z lewej strony przyciskał czubki palców.

Carmen delikatnie odsunęła jego palce i dotknęła tego miejsca. Tuż pod żuchwą syna wyczuła grudkę wielkości kamyka.

Hormony, pomyślała, czując w piersi leciutkie ukłucie niepokoju. *I tyle, po prostu zaczynają mu buzować hormony.*

Stephen odsunął się, gdy dopadł go kolejny napad tego ochrypłego, ostrego kaszlu. Czy ten kaszel był jakiś gorszy… czy to tylko jej wyobraźnia?

Może to faktycznie tylko hormony, ale…, pomyślała Carmen.

– Myślę, że zapiszę cię do doktora Elliotta – powiedziała, kładąc mu dłonie na ramionach i lekko ściskając.

Doktor Bruce Elliot był ciepłym, uprzejmym i zazwyczaj uśmiechniętym człowiekiem. Nie bało się go żadne z dzieci Snedekerów. Ufały mu, podobnie zresztą jak Al i Carmen. Zatem gdy doktor Elliot stwierdził, że chciałby zostawić Stephena na chwilę w szpitalu, żeby przeprowadzić badania, nikt nie widział powodu, żeby się jakoś szczególnie tym faktem martwić.

Carmen odwiozła syna w kolejny poniedziałek rano. Dziwnie było wieźć go do szpitala, skoro był pogodny jak zwykle i wyglądał na zdrowego. Poza tym kaszlem. Poza tą grudką.

Zarejestrowała go i spędziła z nim poranek na oddziale pediatrycznym, ale musiała wrócić do domu, zanim młodsze dzieci wrócą ze szkoły.

– Skarbie, przykro mi, ale muszę już iść – powiedziała, stojąc przy jego łóżku.

Stephen trzymał w ręce pilota od łóżka i bawił się, podnosząc i opuszczając oparcie. Spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko. To był tak *chłopięcy* uśmiech, tak głodny nowych doświadczeń, tak pełen czystego entuzjazmu.

– Spoko, mamo – powiedział. – Nic mi nie będzie.

Wieczorem, po kolacji, Al i Carmen pojechali do szpitala, by odwiedzić syna. Po drodze do jego pokoju natknęli się na doktora Elliotta. Uśmiechnęli się do niego, ale jego odpowiedź była daleka od radosnej. Ramiona miał nieco obwisłe, a krok bardziej powolny i mniej energiczny niż zwykle. Skinął im głową na przywitanie.

– No i co ze Stephenem? – zapytał Al, wciąż z uśmiechem na ustach, który jednak zaczął blednąć.

– Ze Stephenem w porządku – odpowiedział cicho doktor Elliott. – Ale nie jestem pewien, co z wynikami jego badań.

Carmen odetchnęła powoli.

– Co ma pan na myśli?

– Cóż, niestety nie dały nam jednoznacznej odpowiedzi co do stanu zdrowia waszego syna. Uważam więc, że będziemy musieli pójść o krok dalej. Rozmawiałem dziś z doktorem Scordato. Jest chirurgiem, bardzo dobrym chirurgiem.

Al złapał Carmen za rękę i ścisnął ją.

– Zgadza się ze mną, że powinniśmy przeprowadzić biopsję, i jeśli się państwo zgodzą, chciałby to zrobić jutro.

Al i Carmen wymienili mroczne, zmartwione spojrzenia.

– Czyli, hm… – Al miał sucho w gardle. – To oznacza tylko tyle, że wraz z chirurgiem chce pan ustalić sedno problemu Stephena, tak?

Doktor Elliott przytaknął.

– Tak, dokładnie o to nam chodzi – przytaknął pokrzepiająco.

Zgodzili się na biopsję, przez chwilę pogawędzili z doktorem Elliottem, choć głosy mieli nietęgie, a w ustach im zasychało, po czym poszli do pokoju Stephena. Po drodze nie rozmawiali, jedynie trzymali się za ręce.

Chłopak siedział w łóżku, oglądając telewizję i żując końcówkę słomki do picia. Uśmiechnął się na ich widok. Wyglądał na nieco zmęczonego, ale równie zdrowego, jak zwykle.

Więc dlaczego tu jest?, pomyślała Carmen.

– No, młody, jak ci minął dzień w szpitalu? – zapytał Al, klepiąc schowane pod kocem kolano syna.

Stephen wzruszył ramionami.

– Chyba spoko. Poza wampirami. – Wyciągnął ramię i pokazał im plaster w zgięciu łokcia, skąd miał pobieraną krew.

– Przyniesiemy ci trochę czosnku – powiedziała z uśmiechem Carmen. – Będą się trzymać z daleka.

– Nadal nie wiem, co jest ze mną nie tak – odpowiedział, lekko marszcząc brwi. – Czuję się dobrze. Źle się czuję tylko wtedy, gdy mam już dosyć tego leżenia.

– Lekarz też nie jest pewien, co jest nie tak – powiedział powoli Al, przysuwając sobie krzesło do łóżka i siadając. – Dlatego chce jutro przeprowadzić biopsję.

Stephen zrobił wielkie oczy.

– *Biopsję?* Znaczy, że człowieka się rozcina i wyciąga to, co ma *w środku*?

Al i Carmen parsknęli śmiechem.

– Nie, nie – uspokoił chłopca Al. – To jest *autopsja*, i to robią tylko zmarłym. Nie, biopsja jest wtedy, gdy pobierają malutki kawałek jakieś gulki i ją badają.

Chłopak zmarszczył brwi.

– Czy to będzie bolało?

– Niczego nie poczujesz. Tuż przedtem przyjdzie pielęgniarka z wielkim kijem i walnie cię nim w głowę. I wtedy odłączy ci się zasilanie.

Stephen zaczął się śmiać i rzucił słomką w Ala, który, tak jak Carmen, ukrywał troskę za uśmiechem.

Następny dzień, wtorek, był najdłuższym dniem w ich życiu. Czekali pod salą operacyjną, słuchając, jak przez radiowęzeł co chwila wywoływani się lekarze, szurających kroków pielęgniarek biegających po korytarzach, i wdychając ostre od antyseptyków szpitalne powietrze. Czas wlókł się nieznośnie, aż…

Podwójne drzwi sali operacyjnej się otworzyły i wypadł z nich chirurg, doktor Scordato. Spojrzał na Ala i Carmen, ale jakby ich nie widział. Ruszył przed siebie, z rękami w kieszeniach białego fartucha.

Al i Carmen popatrzyli na siebie z zaskoczeniem, a potem równocześnie wstali i ruszyli za lekarzem. Al go wołał, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Carmen wysforowała się przed męża, zbliżyła do chirurga i złapała go za ramię. Doktor Scordato odwrócił się, zaskoczony.

– Chcielibyśmy się dowiedzieć, co z naszym synem – powiedziała.

Lekarz zamrugał kilka razy.

– Och, tak, oczywiście. Więc… Po południu skontaktuje się z państwem doktor Elliott. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli to on omówi wyniki. Za kilka godzin mogą państwo zajrzeć do syna, gdy już opuści oddział pooperacyjny.

Potem się odwrócił i ruszył korytarzem, wtapiając się między inne białe fartuchy, uniformy i białe ściany.

Znowu musieli jakoś zabić czas, w którym zdawały się unosić duchy pytań bez odpowiedzi.

– To nie może być nic poważnego – powiedziała cicho Carmen przy lunchu. – Przecież gdyby to było poważne, to by coś powiedział.

– Taa – mruknął Al. – Też tak myślę – westchnął. – Taką mam nadzieję.

Po lunchu Carmen odstawiła Ala do domu, gdzie miał zostać z młodszymi dziećmi, i pojechała do sklepu, żeby kupić Stephenowi jakiś prezent. Gdy wróciła do szpitala, jeszcze spał. Miał zabandażowaną szyję, a nad jego głową znajdowała się kroplówka

cienkim wężykiem połączona ze zgięciem jego łokcia. Usiadła przy łóżku, na kolanach trzymając pudełko klocków Lego, które mu kupiła – tych zaawansowanych, znacznie bardziej wymyślnych i skomplikowanych niż klocki dla dzieci – patrzyła na niego, jak śpi, i modliła się cicho, delikatnie przesuwając w dłoniach paciorki różańca.

Dotąd Stephen był w szpitalu tylko raz, przy swoich narodzinach. Jego najgorszą chorobą była grypa, nic więcej. A teraz… to *coś*, cokolwiek to było. Modląc się, w głowie słyszała własne słowa: *To nie może być nic poważnego… nie może być nic poważnego… nic poważnego…*

Gdy zaczęło się zmierzchać, Stephen otworzył oczy i uśmiechnął się. Wstała pospiesznie i odłożyła pudełko na krzesło.

– Jak się czujesz, skarbie? – Jego powieki zatrzepotały. – Stephen? Zobacz, co dla ciebie mam.

Odwróciła się i sięgnęła po Lego, ale gdy na niego spojrzała, znowu spał.

Oficjalny głos oznajmił, że skończyły się godziny odwiedzin. Pochyliła się i pocałowała syna w policzek, po czym wyszła, czując w sobie pustkę i zimno, choć wieczór był ciepły.

Podjeżdżając pod dom, Carmen przez wielkie okno frontowe widziała Ala. Siedział w swoim rozkładanym fotelu i oglądał telewizję. Znajomy widok męża, który robił to, co każdego wieczoru o tej porze w jakiś sposób ją uspokoił, sprawił, że poczuła się trochę normalniej i zapragnęła schronić się w cieple i bezpieczeństwie swojej rodziny. Przeszła przez drzwi, odłożyła torebkę i podeszła do Ala, który siedział w fotelu i przez zapuchnięte, czerwone oczy wpatrywał się w telewizor. Jego policzki lśniły od łez. Spojrzał na nią, a ich wargi przycisnęły się do siebie tak mocno, aż pobielały. Potem odsunął się, zamknął oczy i uronił jeszcze kilka łez.

Carmen była tak osłupiała, że po prostu się na niego gapiła. Nagle jej serce i myśli zaczęły się ścigać. Al zawsze był bardzo skrytym

człowiekiem, oszczędnym w słowach, odzywał się tylko wtedy, gdy miał do powiedzenia coś konkretnego, a poza chwilami, gdy bardzo się rozgniewał, nie ujawniał swoich emocji tak samo, jak pokerzysta nie ujawnia, jakie ma karty. Coś musiało być z nim *bardzo* nie w porządku, skoro płakał tak otwarcie. Ale co takiego? Przecież nie mogło chodzić o Stephena, to *nie mógł* być Stephen, przecież właśnie wróciła ze szpitala, a on miał się dobrze, zupełnie dobrze!

– Al, co się dzieje? – spytała zachrypniętym głosem.

Otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć, ale dobył się z nich tylko szloch. Jej mąż pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

Carmen klęknęła przy nim i położyła mu dłoń na ramieniu. W uszach słyszała dudnienie własnego serca.

– Al, proszę, powiedz mi, o co chodzi.

Telefon zadzwonił głośno, a gdy sięgnęła po słuchawkę, uświadomiła sobie, że pocą się jej dłonie.

– Halo?

– Och, Carmen, cieszę się, że wreszcie jesteś w domu. Nie… nie mogłem cię zła… złapać. – Głos był męski i dorosły, ale nabrzmiały łzami i drżący od emocji.

– To doktor Elliott – powiedziała.

Doktor Elliott? Ale czy on płakał. Dlaczego?

Ponieważ, pomyślała, *jest naszym lekarzem od dawna, jest naszym przyjacielem, dobrym człowiekiem, i płacze, bo coś jest źle, bardzo, bardzo źle…*

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Kaszlnęła.

– Co takiego się… – zdołała wreszcie wykrztusić. – Co się dzieje?

– Carmen, jest mi bardzo przykro – powiedział lekarz, gdy odetchnął głęboko – ale doktor Scordato mówi, że to w szyi Stephena to rak.

To słowo zapadło się w nią jak wiertło, przebiło żołądek i zmieliło wnętrzności. To było ohydne słowo, lśniące czernią i pulsujące, żyjące własnym życiem.

– Przykro mi – powiedział doktor Elliott ochrypniętym głosem. – Ale to… cóż, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, sama wiesz, ale… ale nie wygląda to dobrze.

Gwałtownie zakończyła rozmowę i nieprzytomnie odłożyła słuchawkę na widełki. Gdy się odwróciła, Al mokrymi oczami patrzył na nią z fotela.

Zadzwonili do obu rodzin, żeby przekazać im wieści, i każdy telefon był gorszy od poprzedniego: głosy drżące od łez i łkanie, żal taki, jakby Stephen już nie żył.

Carmen na koniec zostawiła sobie swoją matkę, Wandę Jean. Wanda Jean praktycznie wychowywała Stephena i Michaela, gdy ona pracowała, i wiedziała, że znajdzie w matce wsparcie i siłę, których tak teraz potrzebowała. Jednak Wanda Jean, podobnie jak inni, rozpadła się na kawałki.

Carmen, słuchając płaczu matki, czuła, jak trzęsą się jej ręce. Kilka minut później, gdy się rozłączyła, odwróciła się do Ala, który na zmianę siedział w swoim fotelu i chodził po pokoju.

– Dlaczego wszyscy to robią? – spytała zachrypniętym głosem. – Dlaczego wszyscy się zachowują, jakby on już *nie żył*?

– Jeszcze się pytasz? – powiedział zdartym głosem Al. – Carmen, on ma *raka.* Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci, dlatego się tak zachowujemy! Nie wszyscy możemy być tacy silni jak ty. To chyba niemożliwe, żebyśmy wszyscy byli jak te szlachetne, cierpiące kobiety, które zawsze gra Meryl Streep – powiedziawszy to, opadł na swój fotel.

– Czyli co, ja mam być jedyną osobą, która się będzie jakoś trzymać? Ktoś jeszcze musi, inaczej Stephen będzie przerażony.

Ale Al nic nie odpowiedział.

Carmen w milczeniu usiadła przy telefonie, próbując pozbyć się strachu. Oczy piekły ją od łez.

Następnego ranka dzieci poszły do szkoły, a Al wziął wolne w pracy.

– Co za cudowny dzień na wypad na ryby – powiedziała Carmen.

Al spojrzał na nią zaszokowany. Oczy miał opuchnięte od płaczu, a twarz zmiętą.

– Mówisz *poważnie?* – Gdy nie odpowiedziała, powoli pokręcił głową. – Nie… Muszę być ze Stephenem.

Przykryła jego dłoń swoją.

– W takim razie będziesz musiał się pozbierać – powiedziała łagodnie. – Pamiętasz, co powiedziałam wczoraj? Jeśli przyjdziesz w takim stanie, tylko go przestraszysz.

– Taa… – mruknął. – Rozumiem, co masz na myśli.

Później, na szpitalnym korytarzu prowadzącym do sali Stephena, Carmen patrzyła, jak Al się przygotowuje. Przeciągnął dłonią po twarzy, jakby chciał z niej zetrzeć niepokój. Z uśmiechem weszli przez drzwi i zastali Stephena na rozmowie z doktorem Elliottem.

– Przyszliście akurat, gdy wybiera się na prześwietlenie – powiedział lekarz, a do pokoju wkroczyły dwie młode pielęgniarki, prowadząc wózek inwalidzki.

– Czas w drogę – powiedziała jedna z nich, gdy Stephen ześlizgnął się z łóżka i usiadł w wózku.

– Będziemy tutaj, gdy wrócisz – zapewniła go Carmen.

– Młody, wszyscy tutaj tak wokół ciebie skaczą, że nie będziesz chciał wracać do domu – powiedział Al ze słabym uśmiechem.

– Oj, będę – powiedział Stephen, gdy go wywożono z pokoju.

Gdy zostali sami, doktor Elliott zaczął cicho mówić o chłoniaku i problemach, które mogą się pojawić, i zasugerował, by jak najszybciej powiedzieli o tym Stephenowi. Mówiąc to, spoglądał na Ala, który cały czas zaciskał pięści; widział pot na jego czole, nerwowe ruchy, to, że odwraca wzrok, gdy tylko ktoś na niego spojrzy.

– Al, nie wyglądasz za dobrze – powiedział doktor Elliott.

Mężczyzna wzruszył ramionami i zaczął krążyć po pokoju.

– Słuchaj, Al – zwrócił się do niego lekarz. – Usiądź, proszę. Zawołam pielęgniarkę, żeby zmierzyła ci ciśnienie.

Gdy Al usiadł na krześle, lekarz stanął przed nim.

– Musisz zachować spokój – powiedział cicho. – Wiem, że to trudne, ale jeśli się nie pozbierasz, to sam zachorujesz, a wtedy nie będziesz dla Stephena żadną pomocą. Rozumiesz?

Al skinął głową. Chociaż starał się odprężyć, nie potrafił pozbyć się niepokoju, który ciągle szeptał mu do ucha o różnych okropnych rzeczach, które *mogły* się wydarzyć, rzeczach, takich jak śmierć, pogrzeb, nagrobek…

W czwartek Stephen został wypisany na weekend. W poniedziałek miał jechać na trzy tygodnie do Szpitala Johna Dempseya w Connecticut, by odbyć dalsze badania. Carmen zdołała namówić Ala, żeby pojechał na ryby. W sobotę wraz ze Stephenem zawieźli go nad jezioro.

– Mamo? – odezwał się Stephen, gdy zostali w samochodzie sami. – Co jest ze mną nie tak? To znaczy… tak naprawdę. Nikt mi nic nie mówi.

O Boże, daj mi właściwe słowa, milcząco pomodliła się Carmen.

– Masz… masz coś, co nazywa się chorobą Hodgkina – powiedziała po kilku chwilach namysłu. – To jest… no, właściwie to odmiana raka.

Stephen bardzo powoli pokiwał głową.

– Rak – powiedział głosem cichym, na granicy szeptu. – Tak coś czułem, że nie jest za dobrze. – Raz jeszcze pokiwał głową. – Ale ja nie umrę.

– Oczywiście, że nie – odparła spokojnie – bo będziemy się o to modlić i o to walczyć. Ale… wiesz, że nie będzie łatwo, prawda?

Tym razem szepnął.

– Ja nie umrę.

W poniedziałek rano Al zawiózł Carmen i Stephena do szpitala w Connecticut. Musiał od razu wracać do Hurleyville, żeby zająć się dziećmi, i pojechał natychmiast, wiedząc, że nie podoła przedłużającym się pożegnaniom.

Oddział pediatryczny u Johna Demspeya był jak wszystkie inne: ściany ozdobione wesołymi postaciami z kreskówek i obrazkami namalowanymi przez dzieci, z wysokich sufitów zwieszały się najróżniejsze zabawki, a obsługa zamiast tradycyjnej bieli nosiła łagodne, kojące kolory.

Ale to nie pomagało. Na oddziale nadal było mnóstwo chorych dzieci. Nawet umierających. A teraz pośród nich znalazł się syn Carmen. Żadne kolory świata nie mogły tego zmienić.

Badania rozpoczęły się praktycznie natychmiast po przyjęciu Stephena i wydawały się trwać całą wieczność. Testy krwi, prześwietlenia, skany i jeszcze, jakby było mało, któregoś dnia siedem godzin spędzonych na chirurgii. A potem jeszcze więcej badań. Stare powiedzenie, że lekarstwo bywa gorsze od samej choroby, dla Stephena i Carmen stało się bardzo prawdziwe.

Lekarze i pielęgniarki roili się wokół Stephena jak pszczoły wokół ula. Ale w miarę jak Stephen robił się coraz bledszy i bardziej kruchy, Carmen z coraz większym trudem przychodziło nie myśleć o nich jak o sępach.

W Connecticut mieszkała rodzina Ala, więc Carmen nie była całkiem sama. Noce spędzała w pobliskim motelu i zawsze dzwoniła do męża, gdy tylko znalazła się w pokoju. Odkąd się widzieli ostatnio, zaczął mieć ostre bóle w klatce piersiowej, a chociaż sądziła, że całą swoją troskę poświęca Stephenowi, to zaczęła się martwić także o niego. Po kilku badaniach w szpitalu udało się jednak ustalić, że te bóle były faktycznie tylko objawami lęku, niczym poważniejszym.

Carmen wiedziała, że w domu będzie musiało się coś zmienić, żeby trochę ulżyć Alowi, więc zadzwoniła do swojej matki. Wanda Jean była akurat we Włoszech, ale chętnie wróciła do USA, żeby przez jakiś czas zająć się dziećmi.

Pod koniec trzeciego tygodnia Stephen został wypisany ze szpitala i pozwolono mu wrócić do Hurleyville. Był szczuplejszy, blady

i w każdym jego ruchu widać było zmęczenie. Zupełnie jakby przez ostatnie trzy tygodnie był podłączony do syfonu, który powoli wypompowywał z niego młodość. I jakby tego było mało, codziennie musiał jeździć do Connecticut na kurację kobaltową. Już był słaby, a jego stan pogarszał się jeszcze pod wpływem agresywnego leczenia i konieczności pokonywania każdego dnia stu sześciu mil. To napięcie w istocie odbijało się na całej rodzinie.

Al i Carmen zdecydowali się poszukać mieszkania gdzieś bliżej szpitala. Wiedzieli, że przy czwórce dzieci nie będzie im łatwo znaleźć coś dostatecznie dużego, na co będzie ich stać – rachunki za leczenie szybko rosły – ale i tak będzie to tańsze niż codzienne dojazdy i związane z tym koszty paliwa.

Carmen wykorzystywała na szukanie lokum każdą wolną chwilę. Spotykało ją jedno rozczarowanie za drugim: to za małe, tamto za drogie, albo jedno i drugie. Jakkolwiek przygnębiona, szukała nadal i znalazła kolejne obiecujące ogłoszenie w lokalnej gazecie, więc umówiła się na oglądanie mieszkania w Southington. Jadąc tam, minęła piękny, trzypiętrowy dom w stylu kolonialnym, przed którym stała tablica z napisem „DO WYNAJĘCIA".

Mieszkanie, które pojechała obejrzeć, było bardzo ładne, jednak podobnie jak wiele poprzednich – zwyczajnie za małe. Wracając do motelu, pod wpływem impulsu, zatrzymała się przed tym kolonialnym domem z tablicą od frontu.

Wokół budynku kręcili się robotnicy i słychać było męczącą kakofonię uderzeń młotków, wiercenia i piłowania. Carmen podchodziła do kolejnych ludzi, pytając, z kim mogłaby porozmawiać o wynajmie tego domu, aż wreszcie ktoś skierował ją za róg budynku, do uprzejmego mężczyzny o łagodnym głosie, którego prawe ramię było przyciśnięte do piersi, wyschnięte i bezużyteczne.

– W czym mogę pani pomóc? – spytał, ze względu na hałas podnosząc głos.

– Chciałabym się rozejrzeć po tym domu – odpowiedziała, krzywiąc się lekko przez panujący rejwach.

– Och. Cóż – uniósł zdrowe ramię i przeciągnął dłonią po kręconych, siwiejących włosach – właściciela chwilowo nie ma – zachichotał, wskazując na dom – i, jak pani widzi, sporo tu się dzieje, więc nie wiem, czy to dobry moment, rozumie pani? – uśmiechnął się, pokazując krzywe zęby, a bruzdy widoczne na jego twarzy dodatkowo się pogłębiły.

Carmen uświadomiła sobie, że wykręca ręce i przestała, nie chcąc sprawiać wrażenia *zbyt* zdesperowanej.

– Szukam lokum już od dawna i po prostu nie mogę znaleźć nic odpowiedniego dla mojej rodziny. Ten dom wygląda dobrze, a my potrzebujemy czegoś od zaraz, bo mój syn…

Mężczyzna zaczął kiwać głową i uniósł dłoń, żeby jej przerwać.

– Powiem tak. Są tutaj dwa mieszkania, jedno na górze i jedno na dole. Niech pani wejdzie się rozejrzeć, a gdy pani skończy, podam pani nazwisko i numer telefonu do właściciela. Może być?

Czując ulgę i podniecenie, poszła na górę, mając wielkie nadzieje. Oto co zastała. Salon był przestronny, z mnóstwem okien, przez co wydawał się jeszcze większy. Kuchnia też była duża i miała na wyposażeniu stół na kozłach i ławy. Na parterze były jeszcze cztery wielkie pokoje, a na górze dwa kolejne, w tym jeden z łóżkiem umieszczonym na skrzyni ze schowkami, wykonanej z porządnego drzewa sosnowego.

Dom był piękny. Był idealny. I przypuszczalnie o wiele za drogi.

Zbiegła na dół, wzięła numer do właściciela i zadzwoniła do niego natychmiast po powrocie do motelu.

Nazywał się Lawson i początkowo wydawał się niechętny rozmowie. Carmen nie zamierzała się tym przejmować, gdy usłyszała cenę, którą podał; była w ich zasięgu. Powiedziała panu Lawsonowi o wszystkim: o chorobie Stephena, o tym, jak daleko muszą

codziennie dojeżdżać na jego leczenie, i o tym, jak długo już szuka jakiegoś lokum.

Uprzejmie wyraził wyrazy współczucia, życzył Stephenowi wszystkiego najlepszego, a potem zamilkł, wyraźnie się namyślając.

– Mogę państwu wynająć mieszkanie na dole – powiedział wreszcie.

Carmen usiadła ciężko na skraju łóżka i przycisnęła dłoń do oczu. *Nie widziała* mieszkania na dole. Czy było równie przyjemne, co to na górze?

Kogo ty próbujesz nabierać?, pomyślała. *Jeśli jest mniejsze, to na pewno niewiele, poza tym… jesteśmy zdesperowani.* Uznała, że jeśli przypomina mieszkanie na górze, to będzie zadowolona.

– W porządku – odparła. – Weźmiemy je.

Po skończonej rozmowie Carmen z długim westchnieniem opadła na łóżko. Czuła się tak, jakby spadł z niej wielki ciężar.

Natychmiast zaczęli się szykować do przeprowadzki. Al musiał zostać w Hurleyville jeszcze przez jakieś sześć tygodni, póki nie dostanie przeniesienia. Michaelowi udało się uniknąć chaosu przenosin; zdecydował się pojechać na lato do Wandy Jean, do jej domu w Alabamie.

Al, Carmen i dzieciaki pakowali się radośnie i bez słowa narzekania, co było sporym osiągnięciem, zważywszy na fakt, że niezależnie od całej roboty i organizacyjnego rozgardiaszu Stephena nadal trzeba było codziennie wozić do Connecticut na naświetlanie kobaltem. Nie mogli się już doczekać swojego nowego mieszkania i powrotu do jakiejś stabilizacji. Oczywiście nic nie miało być całkowicie „normalne”, póki Stephen nie wyzdrowieje, ale mieli wiarę, że tak się stanie.

Carmen w kółko opowiadała im o mieszkaniu na górze w nadziei, że to ich będzie równie ładne, równie idealne. Jednak dużo czasu spędziła na myśleniu o tym, jakie *może* się okazać to mieszkanie… martwiąc się, że nie będzie wymarzone.

Którejś nocy przed przeprowadzką do Southington Carmen spała niespokojnie. Pomimo tego, że martwiła się o Stephena, bez trudu zapadała w sen, zmęczona po całym dniu pracy. Jednak tej nocy nie mogła zasnąć, a gdy wreszcie jej się to udało, miała zimny i mroczny sen.

Trumny… starannie ustawione… nagie ciała z trupiobladą skórą… narzędzia… wyposażenie, które wyglądało na stare i złowieszcze. Haki… łańcuchy… człowiek bez twarzy w białym kitlu poznaczonym ciemnobrązowymi plamami… idący wzdłuż rzędu trumien… przechodzący pomiędzy nimi… zbliżający się do jednego z ciał… jednego ze zmarłych… trzymający jedno z tych narzędzi… jedno z tych starych i złowieszczych narzędzi…

Carmen poderwała się gwałtownie, przez moment nie mogąc złapać tchu, a potem łapczywie chwytając powietrze. Był poranek. Przez okna świeciło słońce, jasne, bezpieczne słońce. Serce waliło jej w piersi, ale nie pamiętała już dokładnie dlaczego. Koszmar, tak, ale jakby niezupełnie. Było w nim coś jeszcze, coś, co nagle do niej dotarło, o czym po prostu instynktownie wiedziała.

– Wynajęłam dom pogrzebowy – powiedziała głosem jeszcze stłumionym od snu.

Al podniósł głowę z poduszki.

– Hm?

– To mieszkanie… ten dom… to dom pogrzebowy. Albo może… no, może kiedyś nim był.

– Miałaś zły sen?

– Nie, nie. To znaczy… w sumie chyba tak, ale nie o to chodzi. – Odwróciła się do niego. – Al, ten budynek to dom pogrzebowy.

Wsparł się na łokciach.

– O czym ty mówisz? – Podniósł się i marszcząc brwi, usiadł obok niej. – Mówisz poważnie?

– Owszem.

Pochyliła się i zamykając oczy, objęła się ramionami.

Al ją przytulił. Była zagubiona, ale wyraz jej twarzy świadczył nie tylko o tym, że miała jakiś sen, czy nawet koszmar; było w niej coś znacznie bardziej tajemniczego.

– Wiesz, możemy się z tego wycofać – powiedział. – To znaczy, jeżeli naprawdę nie chcesz się tam przeprowadzać.

Powoli pokręciła głową. To nie wchodziło w grę.

– Nie możemy tak codziennie dojeżdżać – wyszeptała. – To za trudne dla nas wszystkich, a już zwłaszcza dla Stephena. A ja na pewno nie mam już siły, żeby szukać kolejnego mieszkania.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, przytulając się do siebie.

– Słuchaj – powiedział wreszcie Al. – Nawet jeśli ten… ten sen, przeczucie, czy co to tam było… to prawda, i tam naprawdę jest czy był dom pogrzebowy… to w sumie co z tego? Ci ludzie umarli przecież gdzie indziej, nie? Bo przecież nie tam. A poza tym – pocałował ją w czubek głowy – *nie wiesz,* czy to prawda. Założę się, że nie. To tylko sen. Pojedziemy tam, będzie super, wprowadzimy się i przekonamy, że to tylko ładny, stary dom przerobiony na dwa mieszkania.

Wreszcie 30 czerwca wyjechali z Hurleyville. Był gorący, letni dzień. Al zabrał ze sobą Stephanie wozem przeprowadzkowym, który specjalnie wypożyczyli – córka na kolanach trzymała klatkę z Willym – a dwaj pozostali chłopcy pojechali samochodem z Carmen. Peter, który miał wówczas trzy lata, co kilka mil pytał z niesłabnącym entuzjazmem:

– Daleko jeszcze? Daleko jeszcze?

Gdy dotarli do domu w Southington, była tam już większa część rodziny Ala, gotowa pomóc im się rozpakować. Carmen wysiadła z samochodu, a Al z furgonetki i przez chwilę patrzyli na siebie – ona z twarzą napiętą i zaniepokojoną, on z uspokajającym uśmiechem.

– Zanim cokolwiek zrobimy – szepnęła, gdy do niej podszedł – to może… wejdziemy się rozejrzeć?

– Jasne. – Wziął ją za rękę, przywitał się ze wszystkimi i weszli do środka.

Parter nie był jeszcze skończony, a stolarze robili dużo hałasu. W środku było mnóstwo pyłu, kawałków drewna i ludzi z młotkami i piłami. Ale na schodach do piwnicy nie było nikogo.

Gdy Al i Carmen zaczęli schodzić, hałas za ich plecami i nad głowami lekko przycichł. Czuć tam było stęchlizną i starością. Na dole schodów znajdował się wielki pokój, po lewej stronie otwarty. Po prawej były francuskie drzwi prowadzące do jeszcze większego pomieszczenia.

Łącznie było tam pięć pokoi, wszystkie zatęchłe. Przez kilka chwil krążyli po nich ostrożnie, nie wiedząc za bardzo, czego szukają… i czy w ogóle czegoś szukają.

Na końcu korytarza znaleźli pomieszczenie z półkami, na których spoczywały różne narzędzia. Obce, złowrogie narzędzia. Przerażające, upiorne narzędzia. Stalowe urządzenia pociemniałe od wieku. Rurki, wężyki i ostrza. Naprzeciwko półek stało coś, co okazało się kanistrem, starym i usmolonym, i mały stół, a na nim kilka solidnych pudeł. Al i Carmen kucnęli i znaleźli w nich prostokątne, metalowe płytki. Były puste, ale Al i Carmen w milczeniu popatrzyli na siebie, doskonale wiedząc, na co patrzą. Leżały w tych pudłach od nie wiadomo jak dawna… czekając, żeby ktoś ich użył… czekając, aż pojawiają na nich nazwiska i zostaną umieszczone na nagrobkach.

Wyszli stamtąd i przeszli korytarzem, na końcu którego znajdowała się rampa, która przez boczne drzwi prowadziła do piwnicy domu. Przypominała ona podjazd dla niepełnosprawnych albo jakąś rampę załadunkową.

Carmen sięgnęła po dłoń Ala, bardziej szukając oparcia emocjonalnego niż fizycznego. To, co widzieli dotąd, było wystarczające, żeby stwierdzić, że miała rację… ale było tego więcej.

Nad każdymi mijanymi drzwiami wisiał ciężki, metalowy krzyż. Krzyże wyglądały na srebrne, ale były tak spatynowane wiekiem, że trudno to było jednoznacznie określić. Przez chwilę patrzyli na jeden z nich, potem spojrzeli po sobie, ale cisza była zbyt ciężka, żeby ją przerwać; żadne z nich się nie odezwało.

Skręcili w prawo i weszli do kolejnego dużego pomieszczenia z kolejną półką, jeszcze jednymi schodami i…

– O mój Boże – zachłysnęła się Carmen. – *Co to jest?*

Wskazywała na coś, co wyglądało jak rekwizyt prosto ze starego, czarno-białego filmu o Frankensteinie. Do wielkiego wyciągu łańcuchami przymocowana była platforma przypominająca łoże. Al i Carmen spojrzeli w górę i zobaczyli, że w suficie, dokładnie nad tą platformą, znajduje się zapadnia.

Buty Ala szurały po betonowej podłodze, gdy szedł przez pomieszczenie w stronę kawałka sklejki wielkości jakichś czterech stóp kwadratowych, która leżała na podłodze pod schodami. Pochylił się, uniósł ją na kilka cali, zajrzał pod spód i podniósł ją wyżej. Carmen stanęła obok niego i spojrzała na tunelowane boki i dno cementowego, poznaczonego ciemnymi smugami otworu. Wokół okrągłego odpływu leżały wióry drewna.

Przez dwa brudne okienka po lewej stronie sączyło się słabe światło, rzucając mgliste cienie na dziurę, w którą bez słowa wpatrywali się Al i Carmen.

– Ciekawe, czy to jest… – zaczął Al.

– Chyba nie chcę wiedzieć – wyszeptała Carmen, odwracając się i idąc w stronę drzwi, które otwierały się na kolejne, mniejsze pomieszczenie. Stanęła w progu i patrzyła.

Dokładnie przed sobą ujrzała solidny, prostokątny stół, taki, jaki można znaleźć w laboratorium albo w szpitalu… albo w kostnicy. Na ścianie, po jej lewej stronie, widoczne były czerwonawo-brązowe plamy. Na dużym, głębokim zlewie po prawej były takie same rdzawe zacieki.

Głośny huk za jej plecami sprawił, że sapnęła i odwróciła się na pięcie. Zobaczyła Ala, który pocierając dłonie, szedł w jej stronę. Huk pochodził od płyty sklejki, którą właśnie puścił.

– Co tu jest? – zapytał.

Carmen zaczęła mówić coś o tym, że tutaj akurat to wielki bałagan do posprzątania, ale w gardle miała sucho, a gdy dotarło do niej, że chwilowo straciła głos, zamknęła usta i po prostu wpatrywała się w plamy. Podobnie jak Al.

W tym pomieszczeniu panował inny zapach, bardziej mroczny i mdły niż woń panująca w reszcie piwnicy. Ten zapach był gęsty, niemal oleisty, z rodzaju tych, które zostają w nozdrzach jeszcze przez jakiś czas po tym, gdy wyjdzie się z jego zasięgu.

Al podszedł do ściany, ostrożnie dotknął jej palcami i odwrócił się do Carmen. Brwi miał zmarszczone; górną wargę lekko wygiętą. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale podobnie jak przed chwilą Carmen, znowu je zamknął. Nie było potrzeby, by cokolwiek mówić.

Oboje wiedzieli, co to za plamy.

– Po prostu je zamaluję – powiedział Al, gdy wracali na górę. – I to od razu. Wezmę i wszystko zamaluję.

– I nic nie powiemy dzieciom – dodała Carmen.

– Oczywiście, że nie. No i trzeba będzie… no, po prostu pozbyć się tych wszystkich rzeczy. Wtedy to będzie po prostu duża piwnica i tyle.

Stanęli na górze schodów.

– Nie podołam szukaniu jakiegoś innego miejsca – powiedziała do niego Carmen. – Chcę, żebyśmy spokojnie gdzieś zamieszkali. *Musimy* to zrobić, żeby Stephen wydobrzał.

– I tak zrobimy. Nie martw się, kotku. – Pocałował ją lekko i uśmiechnął się, po czym objął ją ramieniem i razem wyszli na górę.

Zobaczyli, że nawet tu nad każdymi drzwiami prowadzącymi do piwnicy wisi krzyż.

Pod domem pojawił się pan Lawson. Miał wydatny brzuszek, nosił sprane jeansy i koszulę w kratkę. Gdy Al rozmawiał ze swoją rodziną, Carmen poprosiła go na bok.

– Chciałabym pana o coś zapytać – powiedziała ostrożnie. – Ten dom… czy kiedyś, przypadkiem… był tu może dom pogrzebowy?

Wciąż miała wrażenie, że to śmieszne – nawet mimo tego, co znaleźli w piwnicy – żeby jej niejasne przeczucia się potwierdziły. Przy słowach „dom pogrzebowy" aż się skrzywiła.

Pan Lawson uśmiechnął się ironicznie.

– Jak się pani dowiedziała? – spytał.

Ten uśmieszek ją zirytował, a w głosie pojawiła się twarda nuta.

– Cóż, w piwnicy jest aż nadto dowodów. Był tam pan w ogóle?

Zamknął oczy i z uśmiechem skinął głową.

– Tak, widziałem, co tam jest. Jeśli to państwu nie przeszkadza, wolałbym zostawić tam te rzeczy. Nie chciałbym, żeby coś uległo zniszczeniu. To świetny sposób na zagajenie rozmowy, nie sądzi pani?

Zamrugała kilka razy. To było niedorzeczne, ale nie miała odpowiedniej pozycji, żeby się kłócić z osobą, od której chce wynająć dom.

– Taa, ich właściciel ma już koło dziewięćdziesiątki. Wyjechał zamieszkać u syna. Gdy kupiłem ten budynek, zamierzałem przekształcić go na biura, ale – wzruszył ramionami – problemy z planem zagospodarowania przestrzennego. Nie dało się. Więc stwierdziłem, że dzięki pobliskiemu szpitalowi będzie to cenna nieruchomość. Mnóstwo ludzi potrzebuje jakiegoś mieszkania w pobliżu. Tak jak państwo – uśmiechnął się szeroko i założył ręce za plecami. Carmen nie odwzajemniła jego uśmiechu. – Och, niech się pani nie martwi. Nic tu się nie działo od… jakichś dwóch lat czy coś koło tego. To znaczy tylko kilka razy. Na specjalne okazje.

Carmen zmarszczyła brwi.

– Jakie specjalne okazje?

– Związane z członkami rodziny poprzedniego właściciela. – Odwrócił się w stronę budynku i oparł ręce na biodrach. – Taa, dla tego domu skończyły się czasy biznesu funeralnego. Pewnie już się państwo zorientowali, że mieszkanie na dole nie jest jeszcze wykończone. Może chcecie zostawić swoje rzeczy w garażu i zatrzymać się motelu lub u przyjaciół, czy coś…

Carmen też patrzyła na dom. Kiwnęła głową.

– Tak, okay. – Głos jednak miała płaski i bez wyrazu; nie potrafiła powiedzieć, czy jest rozczarowana tym, że nie mogą się z marszu wprowadzić… czy raczej czuje ulgę.

Al musiał wracać do Hurleyville do pracy, więc Carmen i dzieci wprowadzili się do motelu. Jednak pokój w motelu, jak to pokój w motelu, przy trójce dzieci był nader ciasny. Po dwóch dniach Carmen uznała, że lepsze już będzie nawet niewykończone mieszkanie.

Wrócili do domu przy Meridian Road i wyciągnęli materace z garażu. Wraz z dziećmi ułożyła je w jadalni, gdzie zdecydowali się spać, póki robotnicy nie skończą remontu. Jednak wkrótce od nagich ścian zaczął się odbijać świszczący oddech Petera; atak astmy, bez wątpienia wywołany przez pył unoszący się w powietrzu. Zawieźli go do miejscowej przychodni, gdzie dostał leki, a potem wrócili do motelu. Następnego dnia malec czuł się znacznie lepiej. Wrócili więc do domu i zaczęli uprzątać pył, żeby spróbować jeszcze raz.

Do weekendu dom był w stanie pozwalającym w nim mieszkać, zatem zabrali się za nużące zadanie rozpakowania rzeczy. Al przyjechał na weekend i wraz ze swoim bratem wnieśli meble, podczas gdy Carmen zaczęła rozpakowywać i myć naczynia. Stephen poszedł na dół obejrzeć swój pierwszy w życiu, zupełnie własny pokój…

✞ ✞ ✞

Carmen przerwała zmywanie i popatrzyła w okno nad zlewem, zastanawiając się nad tym, co powiedział jej syn.

Tak, w tym budynku był kiedyś dom pogrzebowy. Ale zło? Nie wierzyła, żeby *rzecz* mogła być zła. To był piękny, stary dom, a ich mieszkanie było idealne. Ale… co mogło skłonić Stephena do mówienia takich rzeczy? Dlaczego w ogóle przyszło mu coś takiego do głowy? Musiał być jakiś powód.

Opłukała dłonie, wytarła je i złapała Ala, gdy ten szedł do garażu. Przekazała mu, co powiedział Stephen.

Zmarszczył brwi.

– *Ja* mu nic nie powiedziałem o tym domu – powiedział odrobinę defensywnie. – A ty?

– Oczywiście, że nie. Przecież to ustaliliśmy.

– No to… co o tym myślisz?

– Cóż… – Rozłożyła ręce. – Nie sądzę, żeby dom był *zły*, jeśli to masz na myśli. Jak budynek mógłby być zły? Trochę upiorny, jasne, to mogę zrozumieć, ale nie sądzę, żeby to nawet o to chodziło. W każdym razie… nie *bardzo* upiorny. Nic, czego nie naprawi odrobina farby.

Al wepchnął dłonie w tylne kieszenie i rozejrzał się. Stephena nie było nigdzie widać.

– Sama pomyśl – powiedział. – Stephen przez leczenie żyje w dużym napięciu, to wszystko. Nie sądzę, żeby było się czym martwić. Pewnie zaraz i tak o tym zapomni. Ja bym się nie przejmował – powiedziawszy to, poszedł do garażu i wyniósł kolejny mebel.

Carmen stanęła w nieumeblowanym salonie i rozejrzała się wokół. W mieszkaniu było mnóstwo okien, co było dla niej swego rodzaju podstawowym wymogiem. W tej chwili nie było na nich żadnych zasłon. Jednak, mimo tego, że dzień był słoneczny, nie wpadało przez niezbyt dużo światła, a na podłodze nie widać było jasnych

plam. Podeszła do jednego okna i dwoma palcami przeciągnęła po szybie.

– Trzeba je umyć – mruknęła do siebie. – I zrobię to w pierwszej kolejności.

Ale kiedy potarła kciuk o palec wskazujący, nie wydawały się w ogóle brudne.

DWA

CO USŁYSZAŁ STEPHEN

W poniedziałek rano Carmen wstała wcześniej niż zwykle, żeby przygotować śniadanie dla Ala i pożegnać go na tydzień. Zjadł szybko, a zanim sama usiadła do posiłku, dojadał już ostatnie kęsy.

– Już skończyłeś? – zdziwiła się.

– Muszę lecieć. Nie mogę się spóźnić. Znaczy, gdyby coś się stało po drodze… Wiesz, nie jestem przyzwyczajony, żeby rano jechać tak daleko do pracy. Idę umyć zęby.

Wyszedł pospiesznie. Drzwi do łazienki otworzyły się i zamknęły, tłumiąc dźwięk szorowania i wody spływającej do umywalki.

Był podenerwowany, Carmen była tego pewna. Wiedziała, że niechętnie zostawiał ich na cały tydzień i że nie podobało mu się to, że póki przeniesienie nie zostanie zatwierdzone, w domu będzie bywał tylko w weekendy. Ale Al nigdy nie wyrażał swoich obaw na głos; trzymał je w sobie, tłamsił, robiąc takie rzeczy jak pochłonięcie śniadania, żeby tylko możliwie szybko wyjechać, by zatopić się w pracy i nie zamartwiać się o Stephena.

Carmen nie zaczęła jeść; czekała, aż otworzą się drzwi do łazienki, potem wstała i wyszła na korytarz do Ala. Objął ją ramionami i delikatnie oparł podbródek na czubku jej głowy.

– Dacie sobie radę? – zapytał.

– No jasne.

– Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu domowi? – mówił szeptem ze względu na Stephena, który nadal odmawiał samotnego przebywania na dole – spał na sofie w salonie, a Al nie chciał, żeby usłyszał, że rozmawiają o domu. Ten chłopak już i tak miał o czym myśleć.

Carmen już miała powiedzieć, że „Oczywiście, nie mam nic przeciwko, to przepiękny dom", ale od razu wiedziała, o co mu chodziło i zdecydowała się na wymijającą odpowiedź.

– No… – szepnęła – wolałabym, żeby to *nie był* dawny dom pogrzebowy, ale… wszystko będzie w porządku, przecież wiesz.

– Jasne, wiem. Nie martwię się – z jego ust dobiegł zdyszany śmiech – o duchy czy coś takiego, ale co ze Stephenem? Nie może wiecznie spać na sofie.

– Nim się nie przejmuj. Sam mówiłeś, że ostatnio żyje w dużym stresie. Jak już tu trochę pomieszka, to mu przejdzie. A gdy wróci Michael, to już w ogóle o tym zapomni. Myślę, że za nim tęskni. Pewnie to dla niego trudne, że jego brat pojechał na lato do babci, podczas gdy on musiał zostać i jeszcze choruje.

Carmen usłyszała jakiś dźwięk. Odsunęła się od Ala i odwróciła. Zobaczyła, że w drzwiach do salonu stoi Stephen, pocierając zaspane oczy. Koszulka bez rękawów i bokserki wydawały się zbyt duże jak na jego kościste ciało, a ciemnoblond włosy sterczały na wszystkie strony.

– Wołaliście mnie? – spytał głosem zachrypniętym od snu.

Carmen podeszła do niego z uśmiechem.

– Nie. Właśnie żegnałam się z twoim tatą. Jedzie do Nowego Jorku.

– Kiedy wrócisz? – zapytał Stephen, ziewając przeciągle.

– Przed weekendem. – Podszedł do Stephena i ścisnął jego kruche ramiona. – Opiekuj się mamą, gdy mnie nie będzie. I rób to, co ci każą lekarze, okay?

Stephen skinął głową.

– Jedź ostrożnie.

– Wiadomo, młody.

Dorośli się pożegnali i Al pojechał.

Stephen poszedł do kuchni, a Carmen za nim w nadziei, że nie usłyszy, jak Al odjeżdża. Chłopak nalał sobie szklankę wody, a Carmen znowu zasiadła do śniadania. Nagle straciła apetyt; nawet nie była pewna, czy w ogóle była głodna.

– Stephen, zjesz coś? – zapytała. – Przygotowałam to dla siebie, ale w sumie nie mam ochoty. – Wstała, a syn usiadł na jej miejscu, wciąż wyglądając na zaspanego. – Obudziłeś się na tyle, żeby zjeść?

Wzruszył ramionami.

Carmen stanęła za nim i położyła mu ręce na ramionach.

– Pójdę wziąć prysznic, dobrze?

Skinął głową, gapiąc się na jedzenie.

– Rozmawialiście o mnie? – spytał, gdy tylko ruszyła do wyjścia.

Carmen odwróciła się do niego.

– Może. A co?

– Wydawało mi się… no, że ktoś mnie wołał. Obudził mnie.

– Pewnie słyszałeś, jak wspomniałam o tobie. – *Ale*, zastanawiała się, *co jeszcze mogłeś usłyszeć?* Miała nadzieję, że nie jej rozmowę z Alem o tym domu. – Dobrze, idę się wykąpać. Jak chcesz, włącz sobie telewizor, tylko nie obudź Petera i Stephanie. Jest jeszcze wcześnie.

Carmen poszła do łazienki i zamknęła drzwi, ale nie od razu weszła pod prysznic. Ze zmarszczonymi brwiami usiadła na brzegu wanny, modląc się, by Stephen nie słyszał ich rozmowy o poprzedniej funkcji tego domu. Nie potrzebował dodatkowej pożywki dla wyobraźni.

– Coś by powiedział – mruknęła do siebie. – Gdyby coś słyszał, na pewno by coś powiedział.

Wstała, odkręciła wodę i zaczęła się rozbierać.

Stephen zaczerwienionymi oczami gapił się na śniadanie. Kiełbaski wyglądały jak posiniaczone, spuchnięte palce, a widok jajek

sadzonych – chociaż zwykle chętnie jadł jajka na śniadanie – sprawił, że lekko się skrzywił. Wstał od stołu i wziął swoją szklankę wody. Odstawił ją na blat i wyjrzał przez okno. Widać w nim było jeszcze jeden biały, kolonialny dom, taki sam jak ich, i ten obok. Ich nowy dom… z nowymi sąsiadami… w nowym mieście… nawet w nowym stanie… i to wszystko przez niego.

Stephen przypuszczał, że wszystkim było łatwiej zamieszkać w pobliżu szpitala, żeby nie musieli codziennie tak daleko dojeżdżać, ale jednak… czuł się, jak gdyby sam wyrwał całą swoją rodzinę z Nowego Jorku i przeniósł ją tutaj, do Connecticut.

I jeszcze, jakby tego było mało, nienawidził tego domu, do którego sprowadziła ich jego choroba. Tak, był ładny, było w nim mnóstwo miejsca i każdy miał swój pokój. Ale to właśnie tego pokoju nie chciał najbardziej ze wszystkiego.

Wiedział, że mama i tata mu nie uwierzyli, gdy powiedział, że ten dom jest zły. Wiedział, że gdy oświadczył, że nie chce spać w tym pokoju na dole, przynajmniej nie sam, to zgodzili się tylko dlatego, że był chory. Oczywiście niczego takiego nie powiedzieli, ale wiedział, że tak właśnie myśleli; poznawał to po tym, jak z nim rozmawiali i jak na niego popatrzyli, gdy im to oznajmił.

Ale to niczego nie zmieniło. Nadal czuł – wiedział – że z tym domem było coś nie w porządku, że było z nim coś nie tak, tyle że nie miał pojęcia, co takiego… i tego właśnie chciał się dowiedzieć.

Zrozumiał to już w momencie, gdy po raz pierwszy zszedł na dół obejrzeć swój pokój. Niczego nie zobaczył, poczuł tylko zapach starej, zatęchłej piwnicy, ale było w tym miejscu coś tak nie w porządku, że od pasa w górę pokrył się gęsią skórką. Coś w atmosferze tego pomieszczenia sprawiło, że zjeżyły mu się włosy na karku i zrobiło mu się niedobrze, jakby miał zaraz zwymiotować. W tym pokoju czuło się coś złego, mrocznego… *tajemniczego*.

I nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że nie jest sam, że jest obserwowany, że jeśli się odwróci, to zobaczy, że ktoś – albo coś –

jest z nim w pokoju, że zbliża się do niego cicho, gładko… szybko. *Odwrócił się*… ale niczego ani nikogo tam nie było. Jednak to, że niczego nie zobaczył, nie uspokoiło go. Serce zaczęło mu walić, ręce zwilgotniały, a oddech przyspieszył. Wrócił na górę, walcząc ze sobą, żeby nie zrobić tego biegiem, i powiedział o tym – czy raczej próbował powiedzieć – swojej matce.

Oczywiście mu nie uwierzyła. Ale to niczego nie zmieniało.

W tym domu było coś bardzo złego.

A rodzina Stephena wprowadziła się tu przez niego.

Gapił się przez okno i zastanawiał, jacy będą sąsiedzi, czy mają dzieci w jego wieku… czy wiedzą, że z tym domem jest coś nie tak.

Poranne słońce przeświecało przez czubki drzew i rzucało na ziemię plamki zamglonego światła, jakby wciąż było za wcześnie, żeby włączyć górną lampę.

Stephen odwrócił się od okna i ziewając potężnie, wyszedł z kuchni, zastanawiając się, czy o tak wczesnej porze w telewizji będzie coś ciekawego. Idąc korytarzem, słyszał z łazienki szum prysznica, głos matki, która mówiła sama do siebie tak, jak czasem jej się zdarzało, gdy upuściła mydło albo chwyciła niewłaściwy szampon. Przeszedł przez klatkę schodową i zmierzał w stronę salonu, gdy usłyszał mocny, męski głos.

– Stephen?

Zatrzymał się w miejscu jak wryty. Głos nie dochodził z łazienki, i z pewnością nie spod prysznica. Zresztą jego matka nie miała tak głębokiego głosu.

To był głos mężczyzny.

– Stephen?

Powoli obrócił się dookoła. Czekał.

– Stephen?

W głosie pobrzmiewało zniecierpliwienie.

Nie był głośny, ale bardzo wyraźny.

– Stephen, podejdź *tutaj*!

Powoli, ostrożnie cofnął się do klatki schodowej i z drżącą dłonią opartą na poręczy ruszył w stronę łazienki.

– Stephen?

Zatrzymał się i spojrzał nad balustradą na schody prowadzące w dół, do piwnicy… do jego pokoju.

Głos dochodził właśnie stamtąd.

Nalegający. Tracący cierpliwość.

Prysznic wciąż szumiał.

– Stephen, zejdź na dół.

Z otwartymi ustami, z chudymi dłońmi i z pobielałymi kostkami ściskającymi poręcz, z wybałuszonymi ze strachu oczami, pochylił się odrobinę. Niemal natychmiast zaschło mu w ustach.

– Stephen? – Teraz rozległ się śmiech, cichy i konspiracyjny. – Chodź na dół, musisz to zobaczyć.

Odwrócił się w stronę łazienki. Nadal słyszał prysznic.

– Stephen, chodź. Chcę ci coś pokazać.

Peter i Stephanie mocno spali w swoich pokojach, ale i tak żadne z nich nie mogło tak brzmieć.

Na dole nikogo nie było. A w każdym razie nikogo nie powinno tam być.

Spróbował podejść do szczytu schodów, żeby spojrzeć na półpiętro poniżej, ale poczuł, jak jego ciało pokrywa się gęsią skórką, a w żołądku zaczyna mu się lekko kotłować jak wtedy, gdy poprzednio był na dole, i…

– Stephen?

Pomyślał o tym, co czuł, gdy był tam, na dole, jak miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, że nie jest sam… Zastanawiając się, czy miał rację, czy cokolwiek, co było na dole kilka dni temu, po prostu nie miało ochoty się odzywać, zaczął się cofać. Zatoczył się, odwracając, poszedł do salonu i opadł na sofę.

Ze względu na odległość dzielącą go od schodów do piwnicy głos był słabszy, ale całkowicie zrozumiały.

– Stephen, przyjdź na dół.

Pochylił się i zakrył uszy dłońmi, ale to w niczym nie pomogło; głos był stłumiony, ale wciąż go słyszał. Wstał, podszedł do telewizora i włączył go, dźwięk nastawił głośniejszy niż zazwyczaj, a potem wrócił na sofę i zwinął się pod kocem, naciągając go na uszy.

W telewizji Królik Bugs kłócił się z Kaczorem Daffym, czy obowiązuje właśnie sezon na króliki czy na kaczki… a z dołu wciąż słychać było wzywający go głos.

„Sezon na khhhóliki!”

– Stephen?

„Na kaczki”.

– Stephen, przyjdź na dół.

„Na khhhóliki!”

– Stephen, powiedziałem, żebyś tu przyszedł.

„Na kaczki!”

– Co ty robisz? – Głos teraz był z nim w tym pokoju. Stephen wstrzymał oddech, naciągnął koc na głowę i zacisnął oczy. Telewizor nagle przycichł, a głos odezwał się znowu. – Mówiłam ci, żebyś nie obudził dzieci. – Cisza. – Stephen? Co się stało?

Poprzez dudnienie własnego serca w uszach dotarło do niego, że to nie był ten głos. Coś było inaczej. Powoli opuścił koc i otworzył oczy. Zobaczył matkę, która stała nad nim w niebieskim szlafroku frotte i włosami zawiniętymi w ręcznik.

Miała zmarszczone brwi, ale gdy znów się odezwała, w jej głosie nie było już słychać złości.

– Wszystko okay?

Pokiwał głową.

– Dlaczego nastawiłeś telewizor tak głośno?

– Nie obudziły się.

– Wiem, ale *dlaczego*?

Oblizał wargi i zastanawiając się, co powiedzieć, próbował ukryć drżące dłonie. Wreszcie zdecydował się, by powiedzieć prawdę.

– Słyszałem, no… jakiś głos.

– Głos? Któregoś z dzieci?

Pokręcił głową w niemym zaprzeczeniu.

– Mężczyzny.

– Och, kotku, pewnie mój, mówiłam do siebie w…

Z uporem pokręcił głową.

– Nie, z dołu. Wołał mnie, żebym tam przyszedł. Po imieniu.

Patrzyła na niego przez chwilę, przyciskając dłonie do ust, a potem usiadła na skraju sofy.

– Przecież to niedorzeczne.

Nie odpowiedział.

– Stephen, zastanów się. Nikogo tam nie ma.

Znowu nie odpowiedział.

– Zgadza się? To znaczy… ja byłam pod prysznicem, a dzieci śpią… chyba. Poza tym wiemy, że na dole nikogo nie ma. Tak?

– To… to nie był człowiek. I pró… próbowało mnie tam ściągnąć. – Głos mu drgnął, a na ramionach poczuł zimno. – Tam, na dół.

– A co to było?

– Coś, co tam jest.

– Stephen, tam nikogo nie ma.

– *Powiedziałem… że* to *nie jest… człowiek.*

Carmen jeszcze bardziej zmarszczyła brwi i na chwilę przymknęła oczy.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że słyszałeś głos.

– Tak, ale… wiem, że tam nikogo nie ma. Ale wiem też, że z tym domem jest coś nie w porządku… coś *złego*. Myślę, że tutaj był…

– Rany, Stephen, przestań! Rozmawialiśmy o tym. Domy nie bywają złe. I nie ma czegoś takiego jak duchy i głosy znikąd.

Stephen odwrócił od niej wzrok, sfrustrowany i nadal trochę przestraszony… bo co, jeśli nikt *nigdy* nie uwierzy w to, co, jak wiedział, było prawdą?

– *Ten* dom jest zły – wyszeptał, wpatrując się w oparcie sofy. – Nie wiem, dlaczego, ale *jest*.

Jego matka westchnęła cicho.

– Wiesz, co według mnie jest tutaj nie tak? Myślę, że leżałeś tutaj parę chwil temu, może na wpół spałeś, i usłyszałeś, jak twój tata i ja rozmawialiśmy na korytarzu. Rozmawialiśmy o tym domu.

Stephen spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– A co z nim?

– Cóż… jeśli mam ci powiedzieć, to musisz mi obiecać, że zatrzymasz to dla siebie. Nie chcę, żeby Peter i Stephanie o tym wiedzieli. Jesteś starszy, myślę, że sobie z tym poradzisz. I byłoby najlepiej, gdybyś nie powiedział też nic Michaelowi. Twój tata i ja chcieliśmy to przemilczeć, ale myślę, że to może tłumaczyć twoje…

– Co? – zapytał Stephen ze zniecierpliwieniem, prostując się na sofie.

– No, ten dom… zanim się wprowadziliśmy… był tu zakład pogrzebowy.

Oczy chłopaka zrobiły się okrągłe.

Zakład pogrzebowy…

Z jakiegoś powodu wydawało się to na miejscu. Prawie, jakby… no, to oczywiście było niemożliwe, ale było prawie tak, jak gdyby Stephen cały czas w jakiś sposób o tym wiedział, wiedział, chociaż tak naprawdę *nie miał pojęcia*. To zabrzmiało tak prawdopodobnie, że złapał się na tym, że lekko kiwa głową, potakując.

– Ale już nie jest zakładem pogrzebowym – kontynuowała jego matka. – A poza tym nikt tutaj nie umarł, po prostu przywożono tutaj zmarłych, żeby ich przygotować do pochówku. Nie stało się tutaj nic złego, złe rzeczy – znaczy, umierający ludzie – byli gdzie indziej. Czyli sam widzisz, że nie ma tu nic…

– Co było na dole?

Zamrugała i spojrzała na niego.

– Co?

– Robili to na dole? Te wszystkie rzeczy z ciałami?

– No, nie wiem na pewno, ale myślę… – Głos jej zmiękł. – Tak. Myślę, że tak.

Stephen znowu lekko skinął głową.

– Chcę powiedzieć, że tutaj nie ma niczego złego. Okay? Wierzysz mi?

Znowu na nią popatrzył, ale nic nie powiedział, nic nie zrobił. Wiedział… *wiedział*, że miał rację. To, co powiedziała mu matka, nie uspokoiło go. Jedynie utwierdziło w przekonaniu.

TRZY

WRASTANIE

Po pierwszym tygodniu dom wyglądał na uporządkowany, ale i zamieszkany. Carmen spędziła mnóstwo czasu, przestawiając meble tak, żeby wyglądały jak najlepiej. Zadbała, by na ścianach znalazły się zdjęcia i obrazy, wypakowała delikatne bibeloty, niektóre starsze niż ona, i umieściła je we właściwych pomieszczeniach na właściwych półkach.

Zaczęło tu wyglądać jak w domu, jak w *ich* domu. Brakowało tylko Ala… i zdrowia Stephena.

Co wieczór rozmawiała z mężem, ale to nie było to samo. Chciała, żeby był w domu, z nią, by sama jego obecność sprawiała, że będzie jej lżej na sercu.

Stephen nadal miał naświetlania kobaltem. Codziennie zawoziła go do szpitala i czekała na niego na jednej z tych antyseptycznych, obitych winylem sof. Po naświetlaniu zawsze był bez sił i skarżył się, że przez resztę dnia czuje ten zapach i smak – ostry, metaliczny i suchy.

Któregoś popołudnia Carmen uznała, że nie podobają jej się stare żaluzje w oknach. Zatrzymywały światło słońca. A przynajmniej sądziła, że to kwestia żaluzji.

Mimo słońca na dworze pokój wydawał się ciemnawy. Ale kiedy nawet całkowicie uniosła żaluzje, nie zauważyła różnicy. Tak czy

inaczej, dobrze będzie się ich pozbyć. Najpierw będzie musiała porozmawiać o tym z panem Lawsonem. Przypomniało jej się, co sobie obiecała pierwszego dnia w tym domu: że pomyje okna. Zatem założyła swoje ubranie do sprzątania i zabrała się do pracy.

Gdy pracowała, przyszedł Stephen ze swoim nowym kolegą, Jasonem. Cieszyła się, że tak szybko się z kimś zaprzyjaźnił. Martwiła się, że przez tę przeprowadzkę zrobi się jeszcze bardziej introwertyczny niż przez raka, i pomyślała, że dzięki nowemu znajomemu poprawi mu się nastrój, a może – kto wie? – nawet zdrowie. W ciągu ostatnich kilku dni Stephen wychodził z domu tylko wtedy, gdy rano jechała z nim na naświetlanie. Teraz gdy miał towarzystwo, liczyła, że będzie więcej czasu spędzał na dworze, będzie bardziej aktywny i nałyka się świeżego powietrza.

Jason mieszkał w dole ulicy. Był mocno zbudowanym rudzielcem w wieku Stephena, pełnym nerwowej energii, ale rzadko się uśmiechał, a oczy miał równie rozbiegane, co wiecznie poruszające się dłonie i stopy.

– Co planujecie, chłopcy? – spytała przyjaźnie Carmen, klęcząc przed oknem i szorując szybę.

– Idziemy na dół – odpowiedział z korytarza Stephen.

Zamarła, po czym wstała.

– Ekhm, Stephen… możesz tu podejść na moment?

Ich kroki na dębowej podłodze ucichły. Chłopcy chwilę coś szeptali. Potem usłyszała pojedyncze kroki i do salonu wszedł Stephen.

– No? – powiedział, lekko unosząc brwi nad zapadniętymi oczami.

– Myślałam, że nie lubisz przebywać na dole – wyszeptała.

– Nie lubię. Ale tylko wtedy, gdy jestem sam.

– I idziesz tam z Jasonem?

Kiwnął głową.

– Powiedziałem mu, co kiedyś było w tym domu – uśmiechnął się Stephen – a on uważa, że to super. Więc idziemy na dół trochę się rozejrzeć.

– Stephen, wolałabym, żebyś nie rozpowiadał ludziom o tym domu. Wiem, że powiedziałam, że nie jest zły, ale… no, nie sądzę też, żeby był taki *super*.

– Nie martw się, mamo. Nie będę.

Odwrócił się i wyszedł. Usłyszała przejęte głosy i cichnące kroki na schodach.

Najpierw jest zły i musimy się z niego wynieść, pomyślała. *A teraz jest super i oprowadza po nim wycieczki.*

Carmen uśmiechnęła się z ulgą i wróciła do pracy. Stephen zaczął się pozbywać lęku przed tym domem.

✞ ✞ ✞

Czas do piątku wlókł się jak mucha w smole, a Carmen myślała, że ten wieczór, gdy do domu wróci Al, już nigdy nie nadejdzie. Właśnie skończyła szykować lunch dla dzieci – kanapki i chrupki, do tego mleko i różne owoce – gdy przyjechał pan Lawson.

– Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, jak sobie radzicie – powiedział z uśmiechem, gdy Carmen zaprosiła go do środka. Stojąc w holu, rozejrzał się po salonie i jadalni, i kiwnął głową. – Wygląda bardzo ładnie. Widzę, że się zadomowiliście.

– Nie do końca, ale prawie – odparła Carmen. Zabrzmiała nieco nieprzytomnie, bo zastanawiała się, czy to dobra chwila na kilka pytań.

– Potrzeba wam czegoś? – spytał pan Lawson. – Mogę coś dla was zrobić?

– W sumie to tak. Mógłby pan zejść ze mną na dół?

Pan Lawson skinął głową i poszedł za nią korytarzem, potem schodami w dół do pokoju Michaela, gdy ten już w końcu wróci, i do pokoju, w którym było to urządzenie na łańcuchach i obudowany odpływ.

– Ma pan jakiś pomysł, do czego to służy? – spytała Carmen, głową wskazując na wielokrążek.

Pan Lawson skrzyżował ramiona na piersi.

– Tak, to jest winda do zwłok.

Carmen drgnęła.

– Rozumie pani, ciała były tutaj wnoszone rampą z zewnątrz – pokazał na hol – i przygotowywane w tym pomieszczeniu. – Odwrócił się i wskazał na pokój ze śladami krwi na ścianach i nad zlewem. – To była kostnica. Gdy ciało było gotowe, wyjeżdżało przez tę zapadnię na tym podnośniku.

– Do naszej sypialni – mruknęła Carmen. Zanim pan Lawson odpowiedział, odwróciła się w kierunku odpływu. – A to co?

– Cóż, z tego, co zrozumiałem, to był zbiornik na krew. Ciała były do niego wykrwawiane, stamtąd krew przepływała do osobnego pojemnika, a z niego do, powiedzmy, septycznego zbiornika. Potrzebny był osobny zbiornik, bo… no, bo inaczej to by było niehigieniczne.

Carmen wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Mówił o tym, jakby to było coś zupełnie zwyczajnego. Uznała, że powinna podejść do tego tak samo, bo mimo wszystko była to kwestia przeszłości… ale nie była w stanie.

– Cóż, tak też myślałam – powiedziała cicho, kiwając głową. Potem odwróciła się i wyprowadziła go z pomieszczenia.

– Och, a tak przy okazji – powiedział pan Lawson, nieznacznym gestem wskazując w górę. – Widzi pani te krzyże nad drzwiami?

– Tak, zwróciłam na nie uwagę już za pierwszym razem, kiedy tutaj zeszłam.

– Byłbym wdzięczny, gdyby ich państwo nie ruszali. Nawet, żeby je wyczyścić. Po prostu… zostawcie je tam, gdzie są.

Carmen spojrzała na niego zdziwiona.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

Wzruszył ramionami.

– Są stare. Chciałbym je zachować w takim stanie.

– W porządku.

Pan Lawson zatrzymał się przy pokoju Stephena.

– Ktoś śpi w tych pokojach na dole?

– Cóż… ten jest dla mojego syna Michaela, który na razie jest u babci. To pokój Stephena, ale on… on tu nie śpi.

– Dlaczego?

– Nie podoba mu się.

Na ustach pana Lawsona pojawił się uśmieszek.

– Ale dlaczego? Czy coś się tutaj stało? Coś, hm… osobliwego? Może dziwnego?

– Słucham?

Lawson znowu wzruszył ramionami, nadal ze śladem uśmieszku pełzającym na wargach.

– Tak się tylko zastanawiam.

– Cóż, mówi, że po prostu mu się nie podoba. I, hm… mówi, że słyszy tutaj głosy.

Skinienie głową… ale bardzo powolne, pełne namysłu.

– Rozumiem. Dzieciaki – powiedział mężczyzna, unosząc brew.

Ruszył dalej. Przeszedł przez francuskie drzwi i wszedł do pokoju czekającego na Michaela. Rozejrzał się z uśmiechem.

– Ten pokój nazywano południową salą trumienną.

Potem wrócił na górę.

✞ ✞ ✞

Carmen siedziała przy biurku w słonecznym pokoiku przylegającym do salonu, przeglądając pocztę i zastanawiając się, co ugotować na kolację, gdy usłyszała wrzask Stephanie. Rzuciła pocztę, która rozsypała się po biurku, i pobiegła przez salon, a potem przez krótki korytarzyk, by wpaść do pokoju córki, która wybiegła z niego na oślep i wpadła prosto w jej ramiona.

– Skarbie, co się stało? – spytała Carmen, klękając przed Stephanie.

– Mamo, tam jest jakaś pani, w moim pokoju!

– Co?

Gwałtowne kiwanie głową.

– Pani, tam była *jakaś* pani, stała tam i miała taaakie ramiona!

Oczy dziewczynki były szeroko otwarte ze strachu. Paluszki wbijała w przedramiona Carmen, gdy wykrzykiwane słowa zlewały się w podniecony bełkot.

– Hola, hola, Stephy, zaraz, uspokój się odrobinę, dobrze? – Gdy mała zamilkła, Carmen wzięła ją za rękę i poprowadziła do sypialni. – Okay, pójdziemy teraz do twojego pokoju i pokażesz mi, co widziałaś.

Stephanie się szarpnęła.

– To była *pani*!

– No to chodźmy i przypatrzmy się jej. Pewnie nadal tam jest, tak?

Stephanie bojaźliwie weszła wraz z mamą do pokoju.

– Dobrze, to gdzie ona była? – spytała Carmen.

Stephanie pokazała na swoją komodę z lustrem, która stała pod ścianą.

– Tam. Stała tam, o tak. – Stephanie rozpostarła ramiona, jakby chciała objąć Carmen, i uśmiechnęła się do niej osobliwym, rozmarzonym uśmiechem.

– Steph, jak myślisz, dokąd mogła pójść?

Stephanie rozejrzała się nerwowo po pomieszczeniu, cała sztywna z napięcia, a potem wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – wymamrotała.

Carmen podeszła do łóżka córki i przysiadła na jego brzegu. Czuła, że w piersi wzbiera jej złość. Stephen obiecał, że nie powie dzieciom o tym domu, ale najwyraźniej złamał tę obietnicę. Tak, był chory, i nie, nie mogła po nim oczekiwać, żeby był w pełni sobą, ale dla *tego* nie było usprawiedliwienia.

– Steph, czy Stephen coś ci ostatnio opowiadał? Coś, co może cię… przestraszyło?

Stephanie pokręciła głową.

– Na pewno nie opowiada ci żadnych strasznych historii?

– Nie.

– Gdzie on teraz jest?

– Na dworze, z Jasonem.

Carmen odwróciła się do okna, które było dokładnie naprzeciwko lustra zawieszonego na komodzie Stephanie.

– Skarbie, a może zrobił ci jakiegoś psikusa?

Oczy dziewczynki się zaokrągliły. Pokręciła głową.

– Nie! Jak? Ona stała dokładnie tam!

– Wiesz, co myślę, skarbie? – Gestem poprosiła córkę, by do niej podeszła, objęła ją i pokazała na okno. – Jeśli ktoś stał przed oknem, to w lustrze widać było jego odbicie. A jeśli ktoś – na przykład Stephen – chciałby cię przestraszyć, robiąc coś dziwnego i odbijając się w lustrze, to mogłaś pomyśleć, że ktoś tu jest.

Stephanie zamknęła oczy, zacisnęła wargi i znowu pokręciła mocno głową.

– Nie. *Widziałam* ją. Była *tam*.

– Ale, słoneczko, wiesz, że to niemożliwe. Jak się tutaj dostała? Jak wyszła?

Dziewczynka powoli opuściła głowę i nic nie odpowiedziała.

– Co się dzieje?

– Nie wierzysz mi.

– Nie, skarbie, wierzę, że coś widziałaś. Mówię tylko, że to nie mogła być jakaś kobieta. Zobaczyłaś w lustrze coś, co przypuszczalnie *wyglądało* jak kobieta. Ale *wierzę*, że coś widziałaś. Okay?

Stephanie, nie podnosząc głowy, wzruszyła ramionami.

– Mhm – mruknęła.

Carmen wstała i pocałowała ją w czubek głowy.

– Chcesz szklankę soku?

Dziewczynka odmownie pokręciła głową.

– Chcesz pobawić się na dworze?

Kolejne zaprzeczenie.

– No dobrze.

Uścisk, całus i Carmen poszła szukać Stephena.

✞ ✞ ✞

– Obiecałeś mi, że nie powiesz braciom i siostrze o tym, co myślisz o tym domu – powiedziała Carmen do Stephena. Zawołała go na ganek, gdzie usiedli na najwyższym stopniu, podczas gdy Jason czekał kawałek dalej.

– No wiem – odparł Stephen.

– No to dlaczego powiedziałeś Stephanie?

– *Nie powiedziałem.*

– Byłeś pod jej oknem, żeby ją wystraszyć?

– Nie. Nie, byłem z Jasonem i…

– Powiedziała, że widziała jakąś kobietę, która stała przed jej komodą, z rozłożonymi ramionami i dziwną miną. Lustro na jej komodzie jest dokładnie naprzeciwko okna, więc nie byłoby ci trudno ją nabrać.

Oczy Stephena się rozszerzyły, a plecy zesztywniały, co Carmen w pierwszej chwili wzięła za objaw poczucia winy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to był raczej strach.

– Widziała? – szepnął. – To znaczy… *zobaczyła* kogoś w swoim pokoju?

Carmen skinęła głową potakująco.

– Nie chcę, żeby to się powtórzyło, rozumiemy się, Stephen? Masz natychmiast przestać.

– Ale ja nic nie zrobiłem…

– No to dlaczego twoja siostra powiedziała, że widziała…

– Bo może *widziała*!

Carmen zamrugała gwałtownie, a potem westchnęła.

– Okay, Stephen, posłuchaj. Może podsłuchała, jak o tym mówiłeś albo coś. Nie wiem, ale jeszcze przed chwilą była bardzo przestraszona. Nie życzę sobie, że to się powtórzyło, słyszysz mnie? Zachowaj to dla siebie, okay? Jeśli chcesz, możesz ze mną porozmawiać na osobności, ale… przy reszcie dzieci nic nie mów. Dobrze?

– Ale ja nic nie powiedziałem.

– Proszę, zrobisz to dla mnie?

Brwi miał mocno ściągnięte, bladą twarz tak napiętą i wyglądał na tak zdenerwowanego jej oskarżeniem, że nie miała siły dalej się z nim spierać.

Kiwnął głową, a Carmen pocałowała go mimochodem i wróciła do domu.

Miała nadzieję, że już po wszystkim.

✞ ✞ ✞

– Chyba pójdę na chwilę do domu – powiedział Stephen.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytał Jason.

– Nie. A co?

– Bo twoja mama chciała z tobą porozmawiać i była dosyć zdenerwowana, no i… wyglądasz… no… bo ja wiem, jakbyś się zmartwił. Jakby coś cię gryzło.

Stephen nieprzytomnie potrząsnął głową.

– Widzimy się później – powiedział i powoli ruszył w stronę domu.

Czyli Stephanie widziała kogoś w swoim pokoju. Czy to był ten sam ktoś, kogo on słyszał? Mama powiedziała, że to była kobieta, ale nawet… jeśli to coś mogło pojawiać się i znikać jak ta kobieta, to pewnie mogło się też posługiwać dowolnym głosem. Czyli nie

zwariował, niczego sobie nie wyobraził. Ale nie czuł się dzięki temu ani trochę lepiej. Teraz mama nie wierzyła ani jemu, ani Stephanie.

Nieważne, w której części domu przebywał, Stephen nie mógł się pozbyć niejasnego wrażenia, że był tam ktoś jeszcze, obecność inna niż wyłącznie jego rodziny. Czuł, że coś ich obserwuje… może na coś czekając. Ale zachował te wrażenia dla siebie, głównie dlatego, że i tak nikt by mu nie uwierzył. Jednak czuł się lepiej ze świadomością, że nie jest z tym sam.

Ale tylko *trochę* lepiej.

Ze znużeniem wszedł po schodach na ganek i poczłapał do środka, zastanawiając się, czy jeszcze ktoś z jego rodziny natknie się na tę obecność… A jeśli tak, to kto?

✞ ✞ ✞

Wieczorem, gdy przyjechał Al, Stephen, Stephanie i Peter byli w salonie i oglądali telewizję, a Carmen w kuchni, z której roznosił się przyjemny zapach pieczonego kurczaka. Usłyszawszy, jak Al parkuje, rzuciła to, czym się zajmowała, i pobiegła spotkać się z nim przed domem.

– Och, tak się cieszę, że jesteś – wyszeptała w jego szyję, gdy go objęła. Na lewym ramieniu trzymał papierową torbę, która zgniotła się między nimi.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Po prostu za tobą tęskniłam. Wszyscy za tobą tęskniliśmy.

Dzieci przywitały go w drzwiach, uśmiechając się, śmiejąc, tuląc… wszystkie, poza Stephenem, który trzymał się kilka stóp z tyłu, melancholijny i bez uśmiechu, z chudymi ramionami założonymi na piersi.

W salonie Al oznajmił, że ma dla każdego niespodziankę i sięgnął do torby. Wyciągnął z niej włochatego pingwina przytulankę dla Petera, kolorowanki i pudełko kredek dla Stephanie, i nowiutką

wędkę dla Stephena, który ledwie zareagował na prezent. Razem z wędką dostał nowe haczyki i ciężarki, i szpulkę żyłki. Obejrzał wędkę, uśmiechnął się słabo i cicho podziękował Alowi.

Wędkowanie było wspólną pasją Stephena i Ala, jednak od jakiegoś czasu nie wybierali się razem na ryby, bo wędka Stephena się złamała. Teraz potrzebował tylko karty wędkarskiej z Connecticut, jeziora albo rzeki z rybami… i może odrobiny entuzjazmu.

– A gdzie *moja* niespodzianka? – spytała Carmen.

Al objął ją ramieniem, uścisnął i uśmiechnął się zawadiacko.

– Ty swoją dostaniesz później.

Kolacja była radosna, sztućce szczękały o talerze, toczyła się pogawędka. Później częściowo poszli do salonu – Al z piwem, które Carmen kupiła podczas ostatniej wyprawy do supermarketu – żeby poszukać czegoś w telewizji. Carmen zaczęła sprzątać ze stołu. Bez pytania i bez słowa skargi Stephen przyszedł do jadalni i zaczął jej pomagać.

– No proszę – powiedziała, nieco zaskoczona – czym sobie zasłużyłam na taki honor?

Stephen się uśmiechnął, ale nie odezwał, póki stół nie był pusty, a naczynia gotowe do mycia.

– Pomogę ci ze zmywaniem, jeśli coś dla mnie zrobisz – powiedział zażenowany.

– Och? A co takiego?

Opuścił głowę i namyślał się przez chwilę.

– Mogłabyś, hm… pójść na dół i przynieść mi z pokoju przybornik wędkarski?

Uśmiechnęła się, ale powstrzymała chichot, który chciał się jej wyrwać.

– Jasne, kotku – powiedziała. – I nie musisz mi nawet pomagać ze zmywaniem, jeśli nie chcesz.

Stephen, gdy dostał swój przybornik, położył go na stole w jadalni wraz ze swoją wędką, ciężarkami i żyłką, usadowił się i niespiesznie,

niemal nabożnie, otworzył pudełko. Gdy wkładał do niego nowe nabytki, Al odsunął sąsiednie krzesło i usiadł obok, otwierając sobie kolejne piwo.

– Ale masz tutaj porządek.

– Mhm – skinął głową Stephen.

Al położył coś na blacie. Był to mały, prostokątny kartonik.

– Może byśmy jutro wyskoczyli, co powiesz?

Stephen mimowolnie uśmiechnął się na widok pozwolenia, po czym spojrzał na Ala.

– Naprawdę? Byłoby super – powiedział nieco beznamiętnie.

Przez chwilę rozmawiali o łowieniu ryb i dyskutowali, dokąd mogliby pojechać, choć mówił głównie Al. Potem obaj zamilkli. Nastrój między nimi się zmienił, pojawiło się jakieś napięcie, aż wreszcie Stephen odezwał się ochrypłym szeptem.

– Tato, jak myślisz, czy jak ktoś słyszy… no, głosy, to znaczy, że jest wariatem?

Al pociągnął łyk piwa.

– Nie – powiedział. – Nie, wielu ludzi słyszy głosy. Niektórzy nawet widzą różne rzeczy. Czasami, jeśli ktoś przebywa w dużym stresie, mogą mu się przydarzyć *różne* dziwne rzeczy. Zwłaszcza jeśli ten ktoś choruje, rozumiesz, co mam na myśli?

Stephen popatrzył na niego z podejrzliwym zainteresowaniem.

Al pokiwał głową.

– Twoja mama powiedziała mi o tym przez telefon. I nie, nie sądzę, żebyś był wariatem. Jednak posłuchaj mnie, Stephen. Będziesz musiał zatrzymać to dla siebie, okay? Nie możesz o tym opowiadać reszcie dzieciaków. Już i tak diablo wystraszyłeś Stephanie.

Stephen zamknął oczy i westchnął cicho, myśląc: *Nie powiedziałem, cholera, nie powiedziałem im.*

– Musisz się wyluzować, to wszystko – ciągnął Al. – I właśnie to zrobimy jutro, ty i ja. Wyluzujemy się i podenerwujemy *ryby*, okay?

Stephen kiwnął głową.

– Okay.

– Chodź do salonu. Leci stary film o Abbotcie i Costello.

– Zaraz przyjdę.

Al wrócił do salonu, a Stephen ułożył wszystko w przyborniku, po czym go zamknął i zabezpieczył. Zostawił całość na stole i poszedł do łazienki. Zamarł z ręką wyciągniętą w stronę klamki, gdy usłyszał głos.

– Stephen, co robisz? – Pytanie zadano cicho, ale wyraźnie.

Oddech uwiązł mu w gardle. Odwrócił się z ogromnym wysiłkiem, powoli, sztywno. Spojrzał w ciemność panującą w dole schodów.

– Stephen? Naprawdę sądzę, że powinieneś tutaj zejść. – Głos mówił na tyle cicho, by inni nie usłyszeli go przez dźwięki płynące z telewizora.

Stephen cofnął się o kilka kroków, aż plecami oparł się o drzwi do łazienki.

– Stephen?

W ciemności na dole dostrzegł jakiś ruch, leciutkie mgnienie szarości na tle czerni.

Chłopak miał wrażenie, jakby gardło mu spuchło. Serce waliło mu tak, że czuł ból w klatce piersiowej.

– Stephen, chodź tutaj.

Suche szuranie stóp na betonowej podłodze.

– Stephen?

Oderwał się od drzwi, pobiegł korytarzem w stronę salonu i zatrzymał się w holu, żeby złapać oddech. Przez chwilę stał bez ruchu, z zamkniętymi oczami, ramionami szczelnie oplatając pierś, z zaciśniętymi wargami.

Potem poszedł do salonu, usiadł na sofie i zagapił się niewidzącym wzrokiem na czarno-biały film wyświetlany w telewizji. Gdy inni się śmiali, on siedział w ciszy, próbując nie myśleć o swoim pełnym, obolałym pęcherzu.

CZTERY

KOLEJNE GŁOSY

W ciągu kolejnego miesiąca Carmen zaprzyjaźniła się z Tanyą, sąsiadką z ulicy. Tanya była brunetką o silnej budowie ciała, i była *bardzo* w ciąży. Wraz ze swoim mężem, Benjaminem, przeprowadziła się tutaj zaledwie przed kilkoma miesiącami w nadziei, że wszystko uda się ogarnąć, zanim dziecko zdecyduje się przyjść na świat, co mogło nastąpić w każdej chwili.

– Słuchaj, na twoim miejscu bym się nie zamartwiała – powiedziała Tanya do Carmen, gdy któregoś popołudnia siedziały nad mrożoną herbatą. – Choroba Stephena ma wpływ na wszystkich, mieszkacie w nowym domu, w nowym mieście… w sumie nie ma się co dziwić, że dzieci nie są sobą. Mogę zrozumieć, że Stephen coś słyszy, a Stephanie coś widuje. – Pociągnęła łyk napoju. – Nie rób z tego wielkiej sprawy i samo przejdzie.

– No nie wiem. Jestem w stanie jakoś tam zrozumieć, że Stephen sądzi, że słyszał głosy… wiesz, głosy, czy co to tam jest. Ale gdy Stephanie powiedziała…

– Ale sama powiedziałaś, że Stephen przypuszczalnie powiedział jej coś o tych głosach, które słyszał, może nawet o nieprzyjemnej przeszłości tego domu. Poza tym tęsknią za ojcem. Wiesz, jak to jest, sama za nim tęsknisz. Nie czujesz się przez to trochę na marginesie?

– Taa, masz rację – uśmiechnęła się Carmen. – Ale wiesz, dostaję przez to fioła.

– Jeśli przestaną robić rzeczy, od których dostajesz fioła, to *wtedy* powinnaś się martwić.

Carmen parsknęła śmiechem.

– Mówisz, jakbyś była matką równie długo co ja, a nawet jeszcze nie urodziłaś.

Tanya wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– No co, trenuję.

Tego wieczoru, gdy słońce miało się już ku zachodowi, a Stephanie była na dworze, pilnując Petera, Carmen, siedząc na sofie, rozmawiała przez telefon z matką. Telewizor szemrał cicho, Stephen był gdzieś w domu. Opowiadała matce, jak miewa się jej syn, mówiła o reszcie dzieciaków, gdy Stephen, zapinając pasek, z wybałuszonymi oczami wpadł do salonu.

– Tata… tata jest w domu? – zapytał, rozglądając się z niemym pytaniem w oczach.

– Nie, oczywiście, że nie, przecież wiesz. Aż do weekendu jest w Nowym Jorku.

– Słyszałem, jak mnie wołał.

– Co takiego?

– Właśnie słyszałem, jak mnie woła. Brzmiał, jakby był w holu, jak gdyby właśnie wszedł – powiedział, oglądając się przez ramię w stronę drzwi frontowych.

– Mamo, oddzwonię do ciebie za chwilę – powiedziała Carmen, pożegnała się i odłożyła słuchawkę. – No dobrze, jeszcze raz, od początku – zwróciła się do syna.

– Myślałem… że może tata przyjechał wcześniej czy coś. Przed chwilą słyszałem, jak mnie wołał.

– Skarbie, nie mogłeś go słyszeć. Nie ma go tu. Ale wiesz co? Czasem tak bardzo za nim tęsknię, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mi się wydawało, że go słyszę. Ale już niedługo będzie z nami

przez cały czas i będzie w domu co wieczór, i kiedy uznamy, że go słyszymy, to będzie tak dlatego, że faktycznie znajdzie się tuż obok.

Stephen gapił się na nią tak, jak gdyby właśnie mu oznajmiła, że woda jest mokra.

– Słyszałem go – powiedział spokojnie, głosem bez wyrazu. Potem odwrócił się i ruszył do drzwi frontowych.

Carmen nagle poczuła w gardle palącą frustrację i złość. Skoro zamierzał się upierać, że słyszy głosy, to nic nie mogła na to poradzić.

– Okay – warknęła, podrywając się z sofy i idąc za nim. – Okay, świetnie, skoro chcesz w to wierzyć, to proszę bardzo. To raczej oczywiste, że go tutaj nie ma, prawda? Och, ale niech cię to nie powstrzymuje. Tylko jak już się tak drzesz, to nie mów o tym siostrze, okay?

Odwrócił się do niej z wyrazem zmęczenia w oczach.

– Wyjdę na chwilę na dwór – powiedział cicho.

Gdy wyszedł, zamykając za sobą drzwi, Carmen przez kilka chwil stała w progu salonu, wpatrując się w pustkę.

To się musi skończyć. Stephen musi skończyć z gadaniem o tych głosach, głosach, które nie istniały. Już zdążył zdenerwować Stephanie – i co dalej? Będzie musiała porozmawiać z Alem. Będą musieli coś z tym zrobić. Może powinna pomówić z lekarzem, przekonać się, co on powie. Może jednak miała powody do zmartwienia.

Carmen zaczynało to już drażnić. Sama nie wiedziała, co bardziej działa jej na nerwy: to, że Stephen upierał się, że słyszy głosy, których ona jakoś nie słyszała, czy to, że Stephanie upiera się, że widziała w swoim pokoju kobietę, której tam nie było, a może niejasna, dręcząca niepewność kiełkująca w Carmen, która sprawiała, że zaczynała się zastanawiać, czy może… tylko *może*…

– Nie – powiedziała do siebie, wracając do salonu. – Nie ma opcji. To idiotyczne.

✞ ✞ ✞

W sobotni wieczór, gdy Peter i Stephanie leżeli już w łóżkach, a Stephen spał na sofie, Al i Carmen ściszonymi głosami rozmawiali w jadalni.

– No dobrze, to jak uważasz, co powinniśmy zrobić? – zapytał Al. – Myślisz, że mogą potrzebować jakiejś terapii?

– O Boże, mam nadzieję, że to jeszcze nic tak drastycznego. Martwię się tylko, że… No, że może się to zrobić poważne, jeśli nie ukrócimy tego od razu. Jak sądzisz?

– Nie wiem. Ty spędzasz z nimi cały tydzień, to ty słyszysz o tych… głosach czy czym tam. Myślę, że w ich życiu ostatnio było za dużo zmian i potrzebują uwagi, chcą się znowu poczuć normalnie. A Stephen… cóż, naświetlanie kobaltem to nie bułka z masłem. Przynajmniej tak mi się wydaje. Myślisz, że potrzebują terapii? Cholera, czy nas na to w ogóle *stać*?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie. Nie, masz rację. Tyle że… no, działa mi to na nerwy.

– To im o tym powiedz. Jeśli to tylko walka o uwagę, to im ją daj, ale niech wiedzą, że masz dość opowieści o duchach. Myślę, że przestaną.

– Tak. – Kiwnęła głową, wpatrując się w swoją herbatę. – Tak trzeba będzie zrobić. Tak. – Kiwała głową, ale rosło w niej i nie chciało zniknąć to dręczące poczucie niepewności, lekkiego zagubienia, czyli to, co *naprawdę* ostatnio wytrącało ją z równowagi.

✞ ✞ ✞

Stephen czekał na ciszę, żeby móc bezpiecznie wstać. Nie miał zamiaru podsłuchiwać, ale nie mógł zasnąć – generalnie ostatnio

miał problemy ze snem – a ich głosy w wieczornej ciszy niosły się wyraźnie, więc słyszał wszystko, co mama i tata mówili w jadalni. Poczuł, jakby miał kamień w piersi, gdy obracał w głowie myśl: *Nigdy mi nie uwierzą. Nigdy. Nie ma możliwości, żeby mi kiedykolwiek uwierzyli.*

Zrzucił kołdrę, podniósł się z sofy i włączył lampkę, która stała obok niej, po czym poszedł do kuchni napić się wody. Ze względu na naświetlania przestały mu pracować ślinianki i bez przerwy miał sucho w ustach, więc pił bardzo dużo. Gdy skończył, cicho przeszedł przez hol do pokoju Stephanie i zastukał do drzwi czubkiem palca, zanim je otworzył i ostrożnie wszedł do środka.

– Stephanie? Śpisz? – delikatnie zamknął drzwi i popatrzył w ciemność. – Steph? To ja. – Zawczasu mrużąc oczy, włączył górną lampę.

Leżała na plecach, napięta i drżąca, z kocem naciągniętym po same wielkie, przerażone oczy. Gdy go zobaczyła, jej ciało się rozluźniło. Z westchnieniem zamknęła oczy i opuściła głowę na poduszkę.

– Co się stało? – zapytał szeptem Stephen.

– Myślałam, że jesteś duchem.

Chłopak przez chwilę spoglądał na nią w zamyśleniu.

– Myślisz, że to właśnie to? – powiedział, siadając na skraju łóżka. – Duchy?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – A co innego?

– Czujesz je?

Zmrużyła oczy, przekręciła głowę w bok i przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Mmm… czasami. Chyba.

– Ja też – wyszeptał. – Czasami mam wrażenie… Nie wiem, jakby coś *tutaj* było. Nawet jeśli tego nie widać.

– Chciałabym, żeby Michael już wrócił – westchnęła.

Stephen też tego chciał, jednak zapytał.

– Dlaczego?

– No… bo myślę, że *on* by nam uwierzył. A ty?

Stephen przez długą chwilę patrzył na siostrę. Przez większość czasu była irytująca, jak wrzód na tyłku. Odkąd się rozchorował, trochę inaczej zaczął podchodzić do różnych rzeczy – w tym i do swojej młodszej siostrzyczki. Stała się sprzymierzeńcem, przyjaciółką. Chwycił jej malutką dłoń.

– Steph, posłuchaj – powiedział szeptem. – Gdyby coś się stało, możesz mi powiedzieć. Przyjdź do mnie od razu i powiedz, okay? *Ja* ci uwierzę.

– A powiesz mi, jeśli tobie się coś przydarzy?

Kiwnął głową i ścisnął jej rączkę.

✞ ✞ ✞

Carmen zaczęła możliwie dużo czasu spędzać z dziećmi. W przypadku Petera to było łatwe; nie odchodził daleko. Ale Stephanie była aktywna, wraz z innymi dziewczynkami ganiała po całej ulicy, a Stephen dużo czasu spędzał z Jasonem. Nie wydawało się, by potrzebowali jakiejś wyjątkowej uwagi, ale Carmen zdecydowała, że nie odpuści.

Jak zawsze tęskniła za Alem; przez cały czas mając na głowie dzieci i dom, czuła, że to więcej niż była w stanie udźwignąć. Pomagało zajmowanie się domem i częste odwiedziny u Tanyi. Woziła Stephena do szpitala na leczenie i patrzyła, jak powoli robi się coraz bledszy i słabszy. Czasami miała ochotę przytulić go i już nie puszczać, trzymać z daleka od szpitala, bojąc się, że terapia tylko pogorszy jego stan. Jednak lekarze zapewniali ją, że to najlepsze wyjście dla jej syna.

Czas umilały jej opowieści dzieci, pochodzące głównie od Stephena. Opowieści o głosach w domu.

Któregoś ranka Carmen wstała i zobaczyła, że w salonie palą się wszystkie światła, a Stephen rozciągnięty jest na sofie, jak gdyby miał za sobą nieprzespaną noc. Obeszła pokój i pogasiła wszystkie lampy, po czym obudziła syna. Powiedział, że w ciemności słyszał głos, więc włączył lampę obok sofy. Ale nadal słyszał ten głos – męski głos – który dobiegał z najciemniejszego kąta pokoju, więc wstał, zapalił kolejną lampę, potem kolejną, aż świeciły się wszystkie, i dopiero wtedy był w stanie usnąć. Powiedział, że wie doskonale, że mu nie wierzy i nie wydawał się tym przejmować. Ale to, że go nie obchodziło, czy mu wierzy, czy nie, obeszło *ją*. Jego podejście nie pasowało do teorii o potrzebie uwagi.

To zdarzało się wciąż i wciąż: Stephanie słyszała jakiś głos w łazience albo Stephen donosił o słowach słyszanych w holu. I nieważne jak Carmen by z nimi nie rozmawiała, kiwali tylko głowami i przepraszali, że ją denerwują, wciąż sprawiając wrażenie, że wiedzą o czymś, o czym ona nie ma pojęcia…

Te incydenty tak bardzo niepokoiły Carmen, że opisywała je w swoim dzienniku. Zapisywanie myśli i przeżyć tak weszło jej w nawyk, że pisała może nie codziennie, ale kilka razy w tygodniu, nawet jeśli nie zdarzyło się nic szczególnie istotnego. Przelewanie swoich uczuć na papier uspokajało ją, podobnie jak świadomość, że nikt nigdy nie przeczyta tego, co napisała, że nikt nie będzie jej krytykował ani oceniał.

W któryś piątek, wczesnym popołudniem, siedziała przy biurku w salonie, pisząc swój dziennik. Z zestawu stereo cicho sączyła się muzyka. Stephanie i Stephen byli na dworze, a Peter ucinał sobie drzemkę. Carmen starała się jakoś zapełnić swój czas do wieczornego przyjazdu Ala.

Właśnie opisywała ostatni głos – męski głos, który z dołu wołał Stephena – gdy zawołał ją jakiś mężczyzna:

– Carm? Jesteś tu?

Upuściła długopis i wstała, myśląc: *Al wcześniej przyjechał*. Zakręciła się dookoła.

– Al? – odpowiedziała z uśmiechem. – Tutaj jestem.

Cisza.

– Al?

Weszła do salonu i stanęła, wpatrując się w puste przejście, które otwierało się na hol i drzwi frontowe.

– Al? – spytała ponownie, teraz jednak jej głos był cichszy i odrobinę drżący.

Była sama.

Al wcale nie przyjechał.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że nie ma jeszcze jego samochodu.

Carmen odetchnęła głęboko i zmusiła się do uśmiechu.

– No cóż – mruknęła tylko.

Tęsknię za nim, to wszystko, po prostu za nim tęsknię i myślę o nim, i… to wszystko.

Odwróciła się i wróciła do gabinetu, żeby podjąć pisanie, ale wcześniej pogłośniła muzykę.

PIĘĆ

LATO/JESIEŃ I

To było gorące lato – dzień po dniu nad głowami widniało nieskończone, niebieskie niebo, które nocą migotało świecącymi jasno gwiazdami. Powietrze pachniało wiciokrzewem, a w okolicy całymi dniami słychać było dziecięcy śmiech.

Tanya urodziła dziewczynkę i nadała jej imię Kara. Czasami do Carmen docierał jej płacz niosący się wraz z letnim wiatrem. Ten dźwięk wywoływał jej uśmiech; z jakiegoś powodu sprawiał, że sąsiedztwo stało kompletne, bardziej swojskie.

No to dlaczego coś wydaje się być nie w porządku? – raz po raz pytała samą siebie. Pytanie to zadawał wewnętrzny głos, tak cichy, że niemal niesłyszalny… bo Carmen robiła co mogła, żeby go uciszyć.

Stephen z każdym dniem bardziej nienawidził swojego leczenia i przejawiał coraz większy opór. Był opryskliwy dla lekarzy i pielęgniarek, i czasami warczał nawet na Carmen. Starała się nie brać tego do siebie, próbowała sobie tłumaczyć, że można się tego spodziewać, biorąc pod uwagę napięcie, z jakim wiąże się leczenie. Ale i tak się martwiła. Na dodatek jeszcze stracił na wadze i wyglądał na bardziej kruchego niż kiedykolwiek przedtem. Czasami, gdy go przytulała, bała się, że go połamie.

Jednak doktor Simon powiedział, że to dobry znak.

– Skoro jest kłótliwy – powiedział lekarz – to znaczy, że się trzyma. Skoro walczy z nami, to z rakiem też walczy. To bardzo dobrze.

Więc może mimo wszystko nie było to nic złego. Według lekarza Stephen radził sobie świetnie i wszystko szło ku dobremu.

Tylko się cieszyć. Co wobec tego było nie w porządku?

Al nadal pracował w Nowym Jorku, ale co weekend, jak w zegarku, przyjeżdżał do domu. Ciężka praca i długie dojazdy, nie wspominając już o ciągłym lęku o Stephena, wyraźnie odcisnęły na nim swe piętno; gdy przyjeżdżał na weekendy do domu, więcej pił i coraz łatwiej tracił cierpliwość. Jednak mimo swojego zrzędzenia chętnie pomagał w domu. Pomalował poplamione ściany na dole.

Co niedziela chodzili do kościoła; Carmen zaangażowała się w przykościelne działania, tak jak to było w Nowym Jorku, i nawiązała tam kilka przyjaźni z kobietami, z którymi spędzała czas w dni powszednie. Do tego często widywała się z Tanyą, z którą na zmianę zajmowały się swoimi dziećmi tak, żeby każda z nich chociaż na chwilę mogła się wyrwać z domu.

Więc o co chodziło?

Pozostałe dzieci, Stephanie i Peter, miały się dobrze. Michael nadal był w Alabamie, ale regularnie dzwonił. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

Z wyjątkiem… czegoś.

To odczucie pojawiło się kiedyś, gdy myła podłogę w kuchni.

W domu pełnym dzieci kuchnia była pierwszym oddziałem urazowym i nie minęło wiele czasu, gdy podłoga pokryta linoleum we wzór z czerwonych cegieł straciła swój blask, pomimo regularnego, jakkolwiek pospiesznego mycia. Więc któregoś dnia kilka tygodni temu Carmen wzięła mopa i wiadro, zdjęła buty, podwinęła nogawki do pół łydki i zaczęła ją szorować.

Dzieci były na dworze, a w domu panowała cisza.

Przeciągała mokrym mopem w tę i z powrotem, jego nasiąknięte wodą sznurki wiły się jak macki nad śladami po pepsi i innymi

plamami. Carmen umyła w życiu już tyle podłóg, że robiła to kompletnie bezmyślnie, więc kilkakrotnie zdążyła zanurzyć mopa w wiadrze, zanim wreszcie zarejestrowała, że coś śmierdzi.

Woń przypominała miedź; nie była silna, ale zdecydowanie nieprzyjemna.

Potem spojrzała na wodę w wiaderku.

Miała kolor głębokiej, ciemnej czerwieni.

Sznurki mopa połyskiwały szkarłatem.

A bose stopy Carmen całe były usmarowane na czerwono. Cała podłoga była usmarowana na czerwono. Gapiła się na swoje nogi z miną pełną obrzydzenia. Zapach wisiał w powietrzu jak dym.

Nagle Carmen pomyślała o tym, co powiedział Stephen pierwszego dnia w tym domu – „Mamo, musimy się stąd wynieść. Tutaj jest coś złego" – i serce zaczęło jej walić w piersi, gdy tak patrzyła na czerwony płyn na podłodze, rozlany wszędzie dookoła, czując jego słaby, ale obrzydliwy zapach.

– Nie, to niemożliwe – wyszeptała do siebie. – To niemożliwe, to tylko… tylko linoleum, to wszystko. To *wszystko*.

Uznała, że dzieci nie mogą tego zobaczyć. Posprzątała wszystko pospiesznie przy pomocy starych ścierek kuchennych i prawie połowy rolki papierowych ręczników. Potem kilka razy psiknęła odświeżaczem powietrza.

– Powiem Alowi, żeby zdarł to linoleum – wymamrotała. – Tak właśnie zrobię.

Jednak męczyło ją to przez cały dzień i jeszcze długo później.

Nie powiedziała Alowi, co jej się przydarzyło. Co, gdyby to wyśmiał? Jakoś jednak nie miała wielkiej ochoty ponownie myć podłóg.

Podłoga w kuchni wpłynęła na to dziwne poczucie niepewności Carmen. Do tego dokładało się jeszcze to, że Stephen przestał mówić o głosach, jakie słyszał w domu. Nie robił więcej aluzji co do tego, że dom jest zły. W ciągu kilku tygodni po prostu przestał o tym opowiadać, jak gdyby nigdy nic.

Carmen powtarzała sobie, że to dobrze, że to znak, że synowi się poprawia. Ale za każdym razem, gdy to sobie mówiła, jej wewnętrzny głos szeptał szyderczo: *Doprawdy?*

Czasami wchodziła do któregoś pokoju i natykała się na Stephena i Stephanie, gdy rozmawiali ściszonymi, tajemniczymi głosami. Na jej widok milkli i odsuwali się od siebie, jakby przyłapała ich na robieniu czegoś złego. Początkowo się nad tym nie zastanawiała, ale gdy ta sytuacja zaczęła się powtarzać – jakieś pół tuzina razy – zaczęła sądzić, że coś przed nią ukrywają.

– O czym tak gadacie, dzieciaki? – spytała któregoś dnia, gdy zastała ich szepczących na sofie w salonie. Usiadła w fotelu Ala i obserwowała ich reakcje.

Stephen wzruszył ramionami.

– O niczym – burknął i zaczął oglądać kreskówki w telewizji.

– Zastanawialiśmy się, kiedy tata przyjedzie na stałe – powiedziała Stephanie.

– Już niedługo – odparła Carmen. – Miesiąc, może trochę mniej, i dostanie przeniesienie.

Stephanie skinęła głową i też odwróciła się w stronę telewizora.

To tylko twoja wyobraźnia, powiedziała sobie w myślach Carmen. *Nie mają żadnych tajemnic, Stephanowi się poprawia i wszystko jest w zupełnym porządku!*

Ale, jak to ostatnio często się zdarzało, cichutki głos w piwnicy jej umysłu wyszeptał: No to dlaczego coś wydaje się być nie w porządku?

✞ ✞ ✞

Stephan przestał mówić mamie o głosach, które słyszał, bo nie prowadziło to do niczego dobrego. Nie wierzyła mu. Z Alem też o nich nie rozmawiał; ojciec stał się ostatnio tak drażliwy, że gdy tylko

Stephen wspominał o temacie bezcielesnych głosów, warczał na niego, żeby dał sobie spokój i zachowywał się poważnie.

Jedyną osobą, z którą Stephen mógł o tym porozmawiać, była Stephanie. Co prawda nadal się upierała, że widziała w swoim pokoju kobietę, jednak głosów nie słyszała.

– Ale – powiedziała mu któregoś dnia, gdy szeptali na sofie w salonie – czasami… ja… – Twarz miała ściągniętą z frustracji, że nie może znaleźć odpowiednich słów. To było zbyt duże napięcie jak dla sześciolatki. – Czuję, że nie jestem sama, kiedy jestem. Nikogo ze mną nie ma, nikogo nie widzę, ale… czuję, że ktoś tam jest.

Jednak nie słyszała głosów, które słyszał Stephen: głosów zimnych, oślizgłych… głosów gniewnych, szyderczych…

Te słyszał tylko on.

Ale Stephanie zawsze była chętna, żeby go wysłuchać i o nich porozmawiać, i obiecała, że nic nie powie mamie. W jej odpowiedziach nie było ani osądu, ani niewiary, tylko troska małej dziewczynki. Stephen uważał te ich rozmowy za uspokajające; sprawiały, że nie czuł się taki osamotniony.

Mimo to głos stał się bardziej natarczywy, bardziej rozkazujący. Wydawał się wiedzieć, kiedy się go bał – i wydawał się cieszyć jego strachem.

– Stephen?

Stephen zamarł. Wszyscy już dawno poszli do łóżek, ale Stephena obudził pełen pęcherz. Głos odezwał się, gdy wracał z łazienki.

– Stephen, przyjdź na dół.

Chłopak szedł przez hol, zmrożony ze strachu, z nogami sztywnymi od napięcia. Jednak poruszał się wolno, bo chociaż się bał, to ten głos go kusił, sprawiał, że miał ochotę się zatrzymać i posłuchać, co miał mu do powiedzenia.

– Stephen, mamy coś do omówienia – ciągnął głos. – Trzeba zrobić kilka rzeczy. Stephen, nie ma czasu do stracenia. Bierzmy się do roboty.

Co za rzeczy? – pomyślał, ruszając się nieco szybciej. *Bierzmy się do czego?*

– Trzeba przestać to odkładać – powiedział głos, a potem zachichotał. Brzmiało to tak, jakby kostki lodu obijały się o siebie.

Stephen minął narożnik i wszedł do ciemnego salonu.

– Stephen, mam ci do powiedzenia kilka rzeczy. Mamy coś do zrobienia. – Głos nadal szeptał, jednak Stephen słyszał go bardzo wyraźnie.

Włączył jedną lampę przy sofie, potem drugą. Pod poduszką miał walkmana z radiem i parę dousznych słuchawek. Poprosił mamę, żeby mu go przyniosła z dołu. Wepchnął małe dyski w uszy, włączył radio i podkręcił dźwięk.

W głowie zadudniła mu muzyka z lokalnej stacji nadającej rocka i poczuł, że jego ciało zaczyna się rozluźniać.

Ale przez muzykę, przez ogłuszającą perkusję i chrapliwe głosy Stephenowi wydało się przez chwilę, że słyszy twardy, zimny śmiech…

To się zdarzało o różnym czasie w różnych częściach domu, ale nie słyszał tego nikt inny. Stephen zaczął się zastanawiać, czy ten głos nie odzywał się przypadkiem tylko w jego głowie; bo dlaczego nikt poza nim nie słyszał, jak mówi o rzeczach, o których chce powiedzieć Stephenowi, o rzeczach, które trzeba zrobić? Dlaczego odzywał się tylko do niego?

Zdarzało mu się także widywać rzeczy… tak jakby. Czasami kątem oka dostrzegał, jak coś porusza się szybko z jego prawej albo lewej strony, nic więcej jak jakaś szara smuga; gdy się ku niej odwracał, niczego tam nie było. Kilka pierwszych razy było tak niespodziewane, że uznał, że coś mu się przywidziało, albo że to Willy przemknął przez pokój. Potem uświadomił sobie, że cokolwiek to było, przeskakuje od jednego mebla do drugiego, jakby próbowało się przed nim ukryć. Stephen nikomu nie powiedział o tym, co widuje – albo przynajmniej co mu się wydaje, że widuje – nawet

Stephanie. Było to zbyt ulotne, żeby o tym mówić; już i tak czuł się głupio przez to, co zdążył powiedzieć do tej pory.

Ale także się bał. Najpierw ten głos, który stawał się coraz bardziej złowieszczy, potem przebłyski czegoś małego i szarego, co przemykało obok niego i kpiło z niego, ukrywając się. Co będzie dalej?

Tego właśnie się bał. Nie wiedział, co będzie dalej, ale skądś, głęboko w trzewiach, w kościach, wiedział, że coś się stanie… i jakoś nie miał ochoty się przekonać, co takiego.

✞ ✞ ✞

Wraz z kończącym się latem nadszedł czas, by do domu wrócił Michael, żeby przygotować się na rozpoczęcie kolejnego roku szkolnego. W sobotę, koło południa, Al wraz z dziećmi pojechali na lotnisko, żeby odebrać syna, a Carmen została w domu i gotowała wielki obiad.

Carmen wychowała się w rodzinie, która wierzyła w świętowanie różnych rzeczy – dużych czy małych – jedzeniem. Był weekend Święta Pracy i chciała, żeby się dobrze zaczął, przygotowała więc mnóstwo smażonego kurczaka, kolb kukurydzy i bułeczek; zrobiła surówkę, sałatkę ziemniaczaną, dwa rodzaje frytek i litry mrożonej herbaty. Potem, gdy wiedziała, że pozostali będą w domu lada chwila, rozstawiła wszystko na stole w jadalni.

Poszła do kuchni, wzięła z szafki stosik talerzy i postawiała je na końcu stołu, a potem położyła przy nich sztućce. Właśnie sięgała po serwetki, gdy zadzwonił telefon. Carmen poszła odebrać do salonu.

To była Wanda Jean.

– Mój wnuczek już dotarł? – spytała.

– Nie, mamo, jeszcze nie. Będą lada chwila.

– Jak się czuje Stephen?

– Och, bez zmian. W przyszłym tygodniu ma skończyć naświetlania, chyba że lekarze zdecydują inaczej.

– I co potem?

– Potem będziemy się dużo modlić.

Carmen przeprosiła, mówiąc, że jest w środku przygotowań do dużego lunchu, i obiecała zadzwonić później. Rozłączyła się i ruszyła w stronę jadalni, ale zamarła w połowie holu, gdzie stanęła jak wryta, wpatrując się w stół w jadalni.

Stos talerzy zniknął, podobnie jak sztućce.

Carmen na moment zamknęła oczy, potem je otworzyła, po części w nadziei, że przekona się, że tylko jej się coś przywidziało, a talerze i sztućce są tam, gdzie je zostawiła.

Ale nie były.

Powoli, niemal ostrożnie, przeszła przez jadalnię i ruszyła do kuchni, gdzie otworzyła szafkę.

Wszystkie talerze stały tam, gdzie zwykle.

Zmarszczyła brwi, otworzyła usta i wydała taki dźwięk, jakby miała coś powiedzieć, ale tego nie zrobiła. Zamknęła szafkę i otworzyła szufladę na sztućce.

Sztućce, które z niej zabrała – lub tak jej się wydawało – były na swoim miejscu.

Zamknęła usta i zacisnęła wargi. Słyszała własny, przyspieszony oddech. Z hukiem zamknęła szufladę, odwróciła się, oparła o blat i zaczęła mamrotać pod nosem.

Przecież je wyjęłam, ledwo co… Myślałam, że je wyjęłam i tyle, tylko…

Myślałam, że je wyjęłam, ale nie wyjęłam, i to wszystko, chociaż dosyć to… Upał dziś, i całe to stanie przy garach, i… To stres, mamy tu mnóstwo stresów i… Tak, tak, to tylko jakiś drobny… błąd.

W domu nagle wybuchł rozgardiasz i Carmen drgnęła, przyciskając dłoń do piersi. Wymknął się jej cichy okrzyk.

– Hej, mamo! – krzyknął Michael, z łomotem przebiegając przez hol i jadalnię, i z uśmiechem wpadając do kuchni.

Reszta była zaraz za nim, śmiejąc się i rozmawiając.

Carmen wzięła głęboki wdech, dwoma palcami ścisnęła krzyżyk, który nosiła na szyi, i pomodliła się milcząco.

SZEŚĆ

SPANIE NA DOLE

Stephen schodził po schodach. Powietrze zrobiło się chłodniejsze i było to przyjemne uczucie. Carmen, Al i Michael byli na dole od dłuższej chwili i Stephen słyszał okrzyki Michaela: „Super!”, „Git!”. Najwyraźniej piwnica mu się spodobała, a już najbardziej jego własny pokój.

Wcześniej, gdy pozostali jedli, Stephen wziął matkę na bok i poprosił, żeby nie mówiła Michaelowi, dlaczego nie sypia na dole.

– Okay, ale dlaczego? – spytała. – Prędzej czy później i tak się dowie.

– Tak, ale chcę mu sam powiedzieć. Pewnie dzisiaj. Bo chyba zacznę tam spać. Znaczy od dziś.

– Naprawdę?

– No, skoro Michael jest w domu. Ale… nie sam.

– Co masz na myśli, że nie sam? Będzie przecież…

– Znaczy, nie w moim pokoju.

– Chcesz mieć wspólny pokój z Michaelem? – Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tym. – Ale przecież każde z was ma mieć własny.

– Wiem, mamo, ale… proszę – szepnął. – Będę spał na dole. Ale nie, jeśli będę musiał spać sam w pokoju.

– Nadal boisz się tej piwnicy? – Uniosła głowę, jakby trudno jej było w to uwierzyć.

Odwrócił wzrok i nic nie powiedział.

– Okay – westchnęła. – Porozmawiam z Alem, żeby przeniósł łóżko. Ale raczej powinieneś zapytać Michaela, czy *on* nie ma nic przeciwko temu.

– Nie będzie miał – odparł Stephen.

I miał rację. Michaelowi ten pomysł całkiem przypadł do gustu. Przenieśli łóżko Stephena do pokoju Michaela, a Carmen dała im świeże powłoczki, chociaż w żadnym z tych łóżek nikt jeszcze nie spał.

Carmen i Al wyglądali na zadowolonych, że Stephen zdecydował się wreszcie sypiać na dole, nawet jeśli chciał być z bratem w pokoju. W sumie to byli tak zadowoleni i tak im ulżyło, że Stephenowi było aż trochę głupio.

– No i co myślisz? – spytał Al, gdy Stephen zszedł na dół.

Rozejrzał się po pokoju, popatrzył na łóżka, komodę, drewnianą półkę, która ciągnęła się przez trzy ściany. Pokój wyglądał tak, jakby od samego początku był przeznaczony dla dwóch chłopców.

Problem był oczywiście w tym, że Stephen wiedział, że zupełnie nie o to chodzi. To pomieszczenie miało służyć zupełnie innym, znacznie mroczniejszym, celom.

– Wygląda super – powiedział z uśmiechem, gdy wszedł do pokoju.

– Będziecie musieli ustalić, kto bierze które łóżko – powiedziała Carmen. – I sam zdecyduj, gdzie chcesz trzymać swoje rzeczy. Będziesz musiał je przynieść z drugiego pokoju.

– Dzięki – powiedział Stephen do Ala.

– Nie ma sprawy, młody.

Carmen ruszyła w stronę schodów.

– No dobra, sami się tu ogarniajcie.

Wraz z Alem ruszyli w górę schodów.

– Na kolację może być to, co zostało z obiadu? – spytała jeszcze przez ramię.

– Jasne, mamo – odparł Stephen.

Gdy rodzice sobie poszli, w pokoju zapadła cisza i chłopcy po prostu stali przez chwilę.

– No to dlaczego właściwie nie spałeś na dole? – spytał Michael.

Stephen oblizał suche wargi i ruchem głowy wskazał na francuskie drzwi prowadzące do jego dawnego pokoju.

– Powiem ci, jak będziemy przenosić rzeczy. Ale będziesz mi musiał coś obiecać – dodał, unosząc wyprostowany palec wskazujący. – To zostanie między nami, dobra?

Michael wzruszył ramionami.

– Spoko.

Zatem, gdy weszli do sąsiedniego pokoju i zaczęli przenosić rzeczy Stephena, chłopak powiedział swojemu bratu o wszystkim: że odkąd się tu wprowadzili, słyszy jakieś przerażające głosy, że Stephanie mówi, że w swoim pokoju widziała jakąś obcą kobietę, która stała z ramionami rozłożonymi jak do uścisku, oraz że, najlepsze zostawiając na koniec, w tym domu był kiedyś zakład pogrzebowy.

– Serio? – powiedział z uśmiechem Michael. – Ale czad!

– Nie bardzo rozumiem, co w tym takiego czadowego.

Uśmiech Michaela nieco zbladł.

– No… tak mi się wydaje. A nie?

– Znaczy, że przywozili tutaj trupy? Uważasz, że to super, że balsamowali tutaj zwłoki? Z tego, co wiemy, to może nawet w tym pokoju.

Michael odłożył pudło z rzeczami i popatrzył na Stephena. Już się nie uśmiechał.

– O tym nie pomyślałem – powiedział cicho. – Uważasz, że to stąd te głosy, które niby słyszałeś?

– Nie *niby* je słyszałem, tylko *słyszałem*. Rany. – Odwrócił się i poszedł po kolejne pudło, mamrocząc do siebie. – Stephanie

mówiła, że nam uwierzysz, ale chyba nie miała racji.

– Nie, nie to miałem na myśli – bronił się Michael, idąc za nim. – Wierzę ci. Zastanawiam się tylko, czy… no, wiesz, czy to nie jest trochę… *dziwne*, kumasz?

Przynieśli do pokoju ostatnie dwa pudła, a potem usiedli na podłodze i zaczęli przeglądać ich zawartość.

– Myślisz, że ten dom jest nawiedzony? To masz na myśli? – zapytał Michael.

– Mam na myśli tylko to, że słyszałem ten głos. I zwykle dobiega z dołu. Woła mnie.

– Co to za głos? Co mówi?

– Zawsze męski. Czasami brzmi jak tata, ale tylko wtedy, gdy on jest w Nowym Jorku. Zwykle po prostu woła mnie po imieniu. – Stephen podniósł wzrok znad pudła i rozejrzał się wokół siebie. Powoli obracał głowę i mówiąc nerwowo, coraz bardziej marszczył brwi. – Ciągle mi powtarza, że chce, żebym zszedł na dół, i… nie wiem, mówi, że mam coś do zrobienia i że musimy się brać do roboty, ale… no, nigdy nie mówi, do jakiej.

Uśmiech Michaela zniknął; już nie sprawiał wrażenia, jakby podobała mu się ta rozmowa. Słuchając Stephena, sam marszczył brwi.

– No to… może nie powinniśmy tutaj mieszkać – powiedział po długiej chwili stłumionym głosem.

– Mamy i taty nie stać na kolejną przeprowadzkę. Po tych wszystkich rachunkach za leczenie, które mają przeze mnie, pewnie ledwie ich w ogóle stać na to miejsce.

– A jak twój… yyy, znaczy, w sumie to jak się czujesz? Nic nie mówiłeś.

Stephen wzruszył ramionami.

– Chyba bez zmian. A mama już dawno temu powiedziała mi, że to rak, więc nie musisz się bać tego słowa.

Zamilkli; to milczenie miało w sobie jakieś dziwne napięcie. Nie patrzyli sobie w oczy, a Stephen się zastanawiał, czy nie popełnił błędu, mówiąc Michaelowi o tych głosach, czy brat nie uzna, że mu odbiło, że to wynik jego choroby albo leczenia.

– Stephen, no to co zrobimy? – odezwał się wreszcie Michael. – Znaczy z tym domem? I z tymi głosami, i tą kobietą, którą widziała Stephanie?

Michael starał się zgrywać dzielnego, ale Stephen widział w jego oczach błysk strachu.

– Nie wiem – odpowiedział spokojnie, nie chcąc wystraszyć brata jeszcze bardziej. – Chyba poczekamy i zobaczymy, co będzie.

Michael powoli skinął głową.

– Poczekamy. No dobra. Okay, poczekamy i zobaczymy – uśmiechnął się lekko, jakby mówił o pogodzie, a nie o dziwnych głosach wołających z ciemności.

✞ ✞ ✞

W miarę, jak robiło się coraz ciemniej, Stephen czuł coraz większy niepokój. Złapał się na tym, że się kręci, nie mogąc się skoncentrować nawet na najgłupszych programach telewizyjnych i wciąż zerkając na zegar.

Która była godzina?

Ile jeszcze potrwa, zanim wszyscy zaczną się szykować do łóżek?

Stephen zdecydował, że nie pójdzie na dół, póki Michael nie będzie gotowy, żeby się położyć. Głupio to brzmiało, ale nie chciał tam iść i spać samemu, jeszcze nie; może później, gdy już trochę tam pośpi, będzie w stanie to zrobić, ale jeszcze nie teraz.

Po kilku godzinach oglądania telewizji, podczas których opowiadał wszystkim, co robił u babci, Michael wstał z podłogi.

– Idę do łóżka – oświadczył. – Zmęczony jestem.

W głowie Stephena zaczęły się kłębić myśli: *Czy to będzie dziwnie wyglądać, jeśli pójdę na dół razem z nim? Powinienem chwilę odczekać i dopiero iść? Ale wtedy może już spać, więc i tak będę sam. Nawet nie jestem jeszcze zmęczony.*

– No, to ja też – powiedział Stephen, powoli podnosząc się z sofy, jakby był zmęczony i chciał się położyć.

Wszyscy powiedzieli sobie dobranoc i Stephen poszedł za Michaelem na dół.

– Nie powiedziałeś, które chcesz łóżko – powiedział Stephen na schodach.

– To, którego nie weźmiesz.

– No, wezmę to, którego ty nie chcesz. To w końcu twój pokój.

Michael się zaśmiał.

– Dobra, to biorę to przy ścianie – powiedział.

U dołu schodów Stephen bez namysłu sięgnął, żeby zamknąć francuskie drzwi. Nie do końca się to udało i została w nich kilkucalowa przerwa. Uznał, że to idiotyczne, że czuje potrzebę ich zamknięcia, więc zostawił je w spokoju.

Stephen od razu zaczął się rozbierać. Nie mógł się doczekać, żeby znowu położyć się w łóżku. Chwilę to trwało. Gdy już był w samych bokserkach, odsunął kołdrę, usiadł na brzegu łóżka i w tym samym momencie zobaczył, że Michael idzie na po schodach na górę.

– Dokąd idziesz? – zapytał, próbując ukryć rosnącą w nim panikę.

– Umyć zęby. Zaraz wracam.

Stephen wbił palce w materac, aż pobielały mu kłykcie. Patrzył, jak Michael wspina się po schodach i znika po kawałku: najpierw głowa i barki, potem ramiona, tors, nogi, stopy…

I nagle zniknął cały. A Stephen został sam.

✞ ✞ ✞

– Myślisz, że będzie z nim okay? – spytała Carmen.

Siedziała na sofie. Al siedział w fotelu; oglądał telewizję i nic nie odpowiedział.

Peter zasnął na podłodze, a Stephanie patrzyła w telewizor wraz z Alem. Oglądali stary film o Sindbadzie Żeglarzu.

– Al, jak myślisz, Stephan przestanie teraz cudować z tym domem? – spróbowała ponownie Carmen.

Nadal żadnej odpowiedzi; pociągnął tylko kilka łyków piwa.

– Al!

Odwrócił się do niej, zaskoczony.

– Co? – powiedział, najpierw cicho, a potem warknął. – Co?

– Mówię do ciebie.

– Oglądam film, w porządku? Co mówiłaś?

– Pytałam, czy według ciebie teraz, gdy przeniósł się na dół z Michaelem, Stephen przestanie cudować z tym domem.

Dokończył piwo i dopiero odpowiedział.

– Lepiej, żeby tak. Miło by było nie słuchać już tych bzdur o głosach.

– Ostatnio nic nie mówił.

– Nie wprost, ale raz po raz robi uwagi, jakieś sugestie, że w tym domu dzieje się coś dziwnego. No, chyba już czas, żeby dał sobie z tym spokój. – Ziewnął i wyciągnął pustą butelkę po piwie. – Skarbie, przyniesiesz mi jeszcze jedno?

✞ ✞ ✞

Stephen popatrzył na swoje dłonie, którymi nadal ściskał materac, i rozluźnił je. To przecież idiotyczne, żeby tak siedział i czekał na powrót Michaela. Przecież on poszedł tylko umyć zęby. Ile to może potrwać? Na tyle krótko, że nic nie zdąży się wydarzyć. Poza tym światła były zapalone, więc co mogło się stać? Jedyna ciemność kryła się za francuskimi drzwiami, przyciskając się do prostokątnych tafli szkła.

Otworzył szufladę stolika nocnego i wyciągnął swojego walkmana, potem położył się na plecach i naciągnął na siebie kołdrę. Wsadził słuchawki do uszu, po czym obrócił się na bok i oparł na łokciu, żeby przeszukać stacje. Patrzył, jak czerwony wskaźnik przesuwa się wzdłuż skali, od stacji do stacji, póki kątem oka nie uchwycił jakiegoś ruchu, jakby cienia, co jednak wystarczyło, żeby podniósł głowę i spojrzał na francuskie drzwi.

Walkman wyślizgnął mu się z rąk i spadł na podłogę, w którą uderzył z trzaskiem pękającego plastiku, jednocześnie wyrywając mu słuchawki z uszu.

Nie poruszył się. Przez chwilę Stephen *nie był w stanie* się poruszyć. Wpatrywał się we francuskie drzwi – w twarz, która wpatrywała się w niego przez małą szparę pomiędzy ich skrzydłami.

To była twarz młodego mężczyzny, najwyżej dwudziestoletniego, ale blada, tak blada, że wydawała się nierealna, jak twarz pomalowanego na biało manekina. To była pociągła, wymizerowana twarz z zapadniętymi policzkami i oczami trupa. Nie miała żadnego wyrazu, po prostu patrzyła.

Włosy tego młodego człowieka były czarne, zbite w strąki, i opadały poniżej ramion. Z krótkich rękawów jego koszulki wyglądały blade ramiona, a długie, kościste palce drgały na tle niebieskich jeansów. Pozbawione koloru wargi zaczęły się lekko poruszać, milcząco, jakby mamrotał coś do siebie.

Ale najgorsze ze wszystkiego było coś, co sprawiło, że Stephen czuł się, jak gdyby tracił rozum. Ten młody mężczyzna raz po raz migotał, robił się przezroczysty i prawie znikał, po czym znowu nabierał kształtu, jak miraż, jak opar.

Stephen wstrzymywał oddech od dłuższej chwili i poczuł, że gardło zaczyna mu się zaciskać, jakby powoli puchło, aż wreszcie miał wrażenie, że zaraz w ogóle nie będzie w stanie zaczerpnąć tchu.

Żeby dostać się na schody musiałby minąć w odległości kilku cali tego napawającego obrzydzeniem młodego człowieka za drzwiami do

drugiego pokoju.

Białe usta zaczęły się poruszać odrobinę szybciej, jakkolwiek twarz nadal była bez wyrazu, a oczy puste. Jedna drgająca, koścista dłoń zaczęła poruszać się w górę i przed siebie, żeby szerzej otworzyć drzwi.

Stephen kopnął kołdrę, żeby ją z siebie zrzucić, ale stopy zaplątały mu się w pościeli. Walczył, żeby się oswobodzić, podczas gdy długie, kościste palce uchwyciły brzeg drzwi. Stephen pozbył się wreszcie okrycia, spadł z łóżka, podniósł się i runął w stronę schodów, słysząc, tylko przez moment, gdy mijał tego mężczyznę, suchy, podobny do trzepotu owada szept dochodzący z jego ust. Potem wbiegł po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz. Gdy dotarł do podestu, niemal zderzył się z Michaelem, który zrobił wielkie oczy z zaskoczenia i troski, gdy patrzył, jak mija go brat.

Stephen przebiegł przez hol i wpadł do salonu.

– Stephen! – wykrzyknęła Carmen, gdy się potknął i upadł na kolana. Podbiegła do niego i otoczyła go ramieniem. – Co się stało? Stephen?

Nie był w stanie odpowiedzieć. Usta miał suche i sklejone i słowa brzmiały jak jakiś bezsensowny bełkot.

Do pokoju wszedł Michael.

– Co mu się stało? – spytała go Carmen.

– Nie wiem! Wracałem z łazienki, a on po prostu…

– Przynieś mu szklankę wody.

Gdy Michael wrócił z wodą, wokół Stephena zebrali się już wszyscy, poza Peterem, który nadal twardo spał na podłodze.

– Tam był jakiś człowiek –wyrzucił z siebie bez tchu Stephen, gdy przełknął kilka łyków wody. – Po drugiej stronie d… drzwi. Blady. Taki naprawdę biały. Wysoki. Z długimi, czarnymi włosami. Gapił się na mnie.

Al odwrócił się i wypadł z salonu. Słyszeli, jak idzie na dół. Siedzieli cicho, czekając… na coś, na cokolwiek, co mogłoby im

powiedzieć, co jest na dole.

Stephen wypił jeszcze trochę wody.

Carmen obgryzała paznokieć kciuka.

Michael wyłamywał sobie palce.

Wszyscy patrzyli na drzwi.

Na schodach rozległy się kroki Ala. Gdy pojawił się w drzwiach, oczy miał zmęczone i ciężkie spojrzenie.

– Nikogo tam nie ma – powiedział.

Oczy Stephena się rozszerzyły.

– Ale on tam był. *Widziałem* go. Facet z długimi, czarnymi włosami, bardzo blady i… był, no, przezroczysty.

– Nikogo tam nie ma. – Głos Ala zrobił się nagle stanowczy, twardy. – Obszedłem całą piwnicę. Przezroczysty? Stephen, serio? – Zaciekawiony Al zmrużył oczy. – Coś jakby duch?

Stephen pokiwał głową.

– Rany, Stephen, odpuść wreszcie. Myślę, że wszyscy mamy już dosyć. Przezroczyści ludzie to już szczyt.

Choć wydawało się to niemożliwe, to oczy Stephena, gdy patrzył na Ala, powiększyły się jeszcze bardziej.

– Aaa… ale ja… ja go *widziałem*! Szykował się, żeby przejść przez te drzwi, gdy ja…

– Stephen, dosyć tego! – powiedział Al, i nie była to prośba. Jego spojrzenie lekko stwardniało. – Na dole nie ma nikogo ani teraz, ani nie było wcześniej. Okay? Rozumiemy się?

Stephen niechętnie skinął głową. Zęby miał zaciśnięte, oczy pod uniesionymi brwiami nadal wielkie.

– A teraz idźcie do łóżek – cicho powiedział Al.

– Ja… ja chyba wolałbym spać na sofie.

Al odetchnął powoli.

– Stephen, to jest salon, nie sypialnia. Czas najwyższy, żebyś zaczął sypiać na dole. Z Michaelem. Czeka tam na ciebie łóżko, masz tam wszystkie swoje rzeczy. Odpuść, okay? Wracaj na dół i idź spać.

Stephen nagle zrobił się bledszy niż zwykle.

– Wo… naprawdę wolałbym spać tutaj, na…

– Do cholery, Stephen, przestań! – warknął Al, na chwilę zamykając oczy. – Po prostu przestań. Nie zachowuj się jak dzieciak.

Stephen przez kilka sekund wpatrywał się w Ala, po czym powoli wstał. Wziął szklankę z wodą, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Pozostali słuchali jego kroków cichnących na schodach.

– Al, chyba byłeś dla niego trochę za ostry – powiedziała cicho Carmen. – Przecież nic by się nie stało, gdyby przespał się tu jeszcze raz.

– Tak, a potem jeszcze raz i jeszcze. Jezu, to jakby mieć gościa na jedną noc, ale codziennie. Cokolwiek twierdzi, że widział w tej piwnicy, na dole nikogo nie ma.

– Nie wiem – odezwał się cicho, niemal bojaźliwie Michael. – Stephen mówi, że słyszy głosy w domu. Może naprawdę coś widział…

– Powiedział ci o tym? – przerwał mu Al.

Michael kiwnął głową.

– Niech to szlag – warknął Al, odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

– Rany, Al, dajże mu spokój – powiedziała Carmen, ale mąż ją zignorował. Wraz z Michaelem poszli za nim na dół i weszli do pokoju akurat, gdy mężczyzna zaczął mówić.

– Posłuchaj mnie, Stephen – powiedział Al głosem cichym, ale drżącym leciutko z tłumionego gniewu. – Cokolwiek wydaje ci się, że tu widzisz, cokolwiek wydaje ci się, że słyszysz, od tej pory masz to zachować dla siebie, w porządku?

Stephen leżał w łóżku, nakryty kołdrą, ze słuchawkami w uszach. Gapił się w sufit i nie przyjmował do wiadomości obecności Ala.

– Słyszysz mnie? – ciągnął Al. – Nie strasz pozostałych domowników swoimi opowieściami. A jeśli będziesz, to tego pożałujesz, rozumiesz?

Po chwili Stephen ledwo zauważalnie skinął głową.

Gdy Al wrócił na górę, Carmen podeszła do Stephena, pochyliła się i pocałowała go.

– Przykro mi, skarbie. Jest dziś jakiś podenerwowany.

– Jest dziś jakiś pijany, chciałaś powiedzieć – wyszeptał Stephen.

– Nie jest pijany. Nie chce, żebyś siał panikę u dzieci, to wszystko. Śpij już, dobrze? Dobrej nocy.

Michael po wyjściu matki przysiadł na brzegu łóżka.

– Nie wierzą ci? – zapytał. – Kompletnie?

Stephen obrócił się do niego.

– Witaj w domu – powiedział z goryczą.

SIEDEM

KOLEJNI GOŚCIE

W ciągu kolejnych dni Carmen była bardzo spięta. Al przez cały weekend chodził wkurzony i w sobotę pozwolił sobie na wybuch w stosunku do Stephena. Była pewna, że mieszkanie w motelu i dojeżdżanie do nich co weekend wcale mu nie służyło, ale uważała, że był dla Stephena trochę za ostry i czuła, że jej obowiązkiem jest mu to wynagrodzić.

Weekendowy nastrój Ala zostawił po sobie niesmak, a po jego wyjeździe nie czuła się wypoczęta ani zrelaksowana, jak to bywało zazwyczaj. Planowała, że ten weekend będzie szczególnie radosny, ale nic z tego nie wyszło.

Niestety to, przy czym upierał się Stephen, że w piwnicy widział bladego, młodego mężczyznę z długimi, czarnymi włosami, nie poprawiło jej samopoczucia. W zasadzie to podejrzewała – jakkolwiek nie miała zamiaru się do tego przyznać nawet sama przed sobą – że to przede wszystkim historia Stephena odpowiadała za jej dyskomfort.

Dlaczego? – pytała się siebie już kilka razy. *Dlaczego jakaś niemądra historia sprawia, że jesteś tak nerwowa?*

Ale za każdym razem, gdy zadawała sobie to pytanie, przypominała sobie talerze i sztućce, które wróciły tam, skąd je wyciągnęła. Raz za razem próbowała wmówić samej sobie, że to było zwykłe przeoczenie,

że po prostu nie wyjęła zastawy z szafki ani sztućców z szuflady, że tylko sądziła, że to zrobiła, ale jakoś nie była w stanie się do tego przekonać. Wiedziała, że wyjęła, nadal czuła je w dłoniach, gdy o tym myślała, ale w jakiś sposób wróciły do szafki, do szuflady.

Nie mogąc o tym zapomnieć, opowiedziała o tym Tanyi, gdy siedziały u niej na ganku, pijąc mrożoną herbatę, podczas gdy jej córeczka spała wewnątrz domu.

– Rany, bez przerwy mi się to zdarza – powiedziała Tanya. – Idę po coś przez cały dom, po czym zapominam, po co. To rozkojarzenie i tyle. Gdy masz dużo na głowie, to robisz takie głupie, żenujące rzeczy. Nie przejmuj się tym. Wszyscy tak mają.

– Ale byłam całkowicie przekonana, że…

– No wiem, zawsze się tak czuję. Ale tak już do tego przywykłam, że przestałam o tym myśleć.

Carmen uznała, że nadszedł czas, żeby zmienić temat. Jednak, chociaż nic nie powiedziała, nie zgadzała się z Tanyą.

✞ ✞ ✞

Tego wieczoru – w poniedziałek – Stephen i Michael poszli wcześnie do łóżek. Obaj byli zmęczeni jeszcze od soboty, bo żaden z nich za bardzo nie pospał. Większą część sobotniej i niedzielnej nocy spędzili, rozmawiając ze sobą po ciemku. Nie mówili o niczym szczególnym – gadali o muzyce, filmach, o tym, co Michael robił u babci – o niczym, co mogłoby ich naprowadzić na temat tego, co zobaczył Stephen. Więc w poniedziałek wieczorem byli wykończeni. Wiedzieli, że został im już tylko tydzień lata przed powrotem do szkoły, więc chcieli posiedzieć do późna i pooglądać telewizję, ale nie dali rady.

A jednak, gdy już znaleźli się w łóżkach, nie bardzo mogli zasnąć. Leżeli na plecach i wpatrywali się w ciemność, od czasu do czasu rozmawiając cicho o zbliżającym się roku szkolnym i o nowym filmie

ze Schwarzeneggerem, gdy w pokoju rozległ się jakiś dźwięk i obaj unieśli głowy z poduszek. Michael wciągnął drżący, przestraszony oddech…

✞ ✞ ✞

Carmen była w kuchni i przygotowywała sobie kubek kakao. Położyła Petera do łóżka i kazała Stephanie szykować się do spania, a teraz chciała tylko odrobiny relaksu przed snem.

Z parującym kubkiem wróciła do salonu i zastała córkę, która wciąż siedziała na podłodze, mażąc kredkami po kolorowance.

– Zdaje się, że miałaś iść do łóżka – powiedziała Carmen.

– Mogę zostać jeszcze trochę? Nie jestem zmęczona.

– Ale rano będziesz, a idziesz do szkoły. A to znaczy, że będę musiała wysłuchiwać twojego jęczenia, więc marsz do łóżka. Natychmiast! – Nagle złagodziła swój ton, dodając: – Dobrze, kotku?

– Jacie, no dobra.

Stephanie wstała, cmoknęła mamę, a potem, z kolorowanką pod pachą, poszła do swojej sypialni.

Carmen zasiadła w fotelu Ala i włączyła telewizję na *Murder, She Wrote*, wyciągając się wygodnie…

✞ ✞ ✞

Stephen i Michael wpatrywali się w komodę, która stała pod przeciwległą ścianą. Na niej stał zabawkowy robot, który należał do Michaela.

Obok mebla stało trzech ludzi, którzy wpatrywali się w robota, dotykali go, badali. Stali w mroku, odchylając głowy tak, by obejrzeć zabawkę pod różnymi kątami.

Jeden z nich, najwyższy, miał na sobie garnitur w prążki i fedorę. Pozostali dwaj ubrani byli w ciemne kolory i stapiali się z ciemnością w nieokreśloną masę cienia.

Ich głosy posykiwały w ciszy, gdy ten w garniturze podniósł robota i go obejrzał. Odwrócił się do chłopców.

Ani Stephen, ani Michael nie mogli się ruszyć.

Mężczyzna trzymał zabawkę w ręce i patrzył na nich przez długi czas, aż tamci dwaj, stojący po jego bokach, odwrócili się i też zaczęli w nich wpatrywać.

Szeptali, wskazując na chłopców, słów nie dało się rozróżnić, ale głosy mieli syczące, tajemnicze.

Ten w garniturze obrócił się, uniósł robota wysoko nad głowę i trzymał go tak, patrząc na Stephena.

– Zabawki – syknął, pokazując w uśmiechu pociemniałe i połamane zęby. – Zwyczajne zabawki.

Potem gwałtownie opuścił rękę i roztrzaskał robota o komodę.

Stephen patrzył zaszokowany, jak mężczyzna znowu tłucze robotem o szafkę, a kawałki plastiku śmigają w ciemności, uderzając o ściany i podłogę.

Jeden z pozostałych się roześmiał, cichym, gardłowym śmiechem.

– Wiejemy! – krzyknął Stephen, wyskakując z łóżka i biegnąć w stronę schodów, mając tuż za sobą Michaela.

Chłopcy biegli po dwa stopnie naraz.

– Mamo! *Maaaaamoooo!* – wrzeszczeli.

Carmen ochlapała się kakao.

– Ożeż cholera – mruknęła, pochylając się w fotelu i krzywiąc od krzyków synów. – Okay – powiedziała, odstawiając kubek na stolik kawowy – okay, okay!

Chłopcy wpadli do salonu, ubrani tylko w bieliznę, bez tchu, z oczami jak spodki, mówiąc jeden przez drugiego.

– Mamo, ludzie, tam są ludzie, na dole w pokoju, teraz, teraz! – wrzasnął Stephen.

– Mój robot – wysapał Michael. – Zniszczyli mojego robota, wzięli się znikąd i…

– W tej chwili przestańcie! – krzyknęła Carmen.

Chłopcy umilkli i próbowali odzyskać oddech.

– No dobrze, o czym wy, do diabła, mówicie? Czy raczej wrzeszczycie? Bardzo proszę, byście mówili powoli, cicho i nie jeden przez drugiego.

Chłopcy popatrzyli po sobie.

– Mamo, w naszym pokoju było trzech ludzi – powiedział Stephen. – Stali przy komodzie i śmiali się z robota Michaela, i…

– Zaraz, chwila – powiedziała Carmen, podnosząc dłoń. – A jak się tam dostali?

– Po prostu tam *byli* – odparł Michael.

– Ale okna są pozamykane, a przez frontowe drzwi nikt nie wchodził, więc w jaki sposób…

– Mamo, oni rozmawiali o nas – przerwał jej Stephen. – Szeptali sobie o nas i śmiali się.

– Okay, okay, niech wam będzie.

Przeszła między chłopcami, wyszła z salonu i ruszyła w dół schodów. Będąc na dole, zapaliła światło w sypialni i spojrzała w górę schodów, gdzie stali chłopcy, tuląc się do siebie.

Odeszła od schodów, a potem zamarła na środku pokoju.

A co, jeśli w tej piwnicy faktycznie ktoś jest? Zeszła na dół nieuzbrojona, nieprzygotowana, automatycznie zakładając, że chłopcy po prostu się nawzajem nastraszyli. Poczuła, że przyspiesza jej serce, a dłonie zaczynają się pocić.

Powoli, ostrożnie, rozejrzała się po pomieszczeniu. Im dłużej tak patrzyła, tym bardziej się rozluźniała, a w kącikach jej ust pojawił się lekki uśmiech.

– Chłopaki, nikogo tutaj nie ma – zawołała przez ramię, ukrywając nagłą ulgę stanowczym tonem głosu.

Usłyszała ich kroki na schodach.

Znowu poczuła gniew.

– A teraz proszę mi powiedzieć, co, do cholery, właściwie próbujecie… – zaczęła mówić, ale przerwała, gdy jej wzrok spoczął na robocie Michaela znajdującym się na komodzie. Leżał na boku; nie miał ramienia i nogi, a przezroczysty plastik, który pokrywał jego twarz, zniknął. Na meblu i na podłodze pod nim leżały kawałki czarnego plastiku.

– Któryś z was to zrobił? – spytała ze złością, gdy chłopcy weszli do pokoju.

– Nie, mamo, to *oni* – upierał się Michael.

– Poza wami dwoma nikogo tutaj nie było, więc przestań wreszcie opowiadać te głupoty.

– Mamo – zaczął Michael spokojnie, jakby mówił do małego dziecka – ten facet podniósł robota i…

– Okay, zaraz, zaczekaj chwilę – powiedziała Carmen, unosząc obie dłonie. Przez chwilę wpatrywała się w chłopców. Wyglądali nie tylko na szczerych, lecz także przerażonych. Ale to niemożliwe, żeby ktoś dostał się do piwnicy. Spojrzała na francuskie drzwi; były zamknięte, a za nimi panowała tylko ciemność. Wszystkie okna były zamknięte, tego była pewna.

No… mniej więcej.

Nie, to musiała być ich sprawka. A najprawdopodobniej był to po prostu wynik tego, że Stephen opowiadał Michaelowi o tych wszystkich głosach, które podobno słyszał. Pewnie diablo wystraszył brata i zanim się zorientowali, zaczęły pracować wyobraźnie ich obu.

A Carmen była pewna, że to udowodni.

– Stephen, idź na chwilę na górę – powiedziała.

– Co?

– Idź na górę i zostaw mnie na chwilę z Michaelem. To nie potrwa długo.

Stephen, zdziwiony i trochę zły, niechętnie ruszył po schodach.

– No dobra, Michael – zaczęła Carmen, siadając na brzegu łóżka syna i poklepując materac obok siebie – usiądź i opowiedz mi o tym. Opowiedz mi o wszystkim, co widziałeś.

– No, było tych trzech facetów. Stali tam, koło komody, śmiali się z robota i szeptali do siebie.

– Jak wyglądali? Co mieli na sobie?

– No, dwóch słabo było widać, bo mieli ciemne ciuchy, no i w pokoju było ciemno, więc… ale ten trzeci miał na sobie garnitur. Był w paski… takie wąskie paseczki, jakby staroświeckie.

– Prążki?

– Taa. I kapelusz. Też taki staroświecki, jakie noszą mężczyźni w starych filmach.

– Co robili?

– Patrzyli na robota i szeptali. Jeden z nich się śmiał. Potem ten facet w garniturze powiedział coś o… o zabawkach, podniósł robota i rozwalił go o komodę.

– Dokąd poszli?

Michael wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Uciekliśmy.

– A oni tak stali i pozwolili wam uciec po tym, jak widzieliście ich w waszym pokoju, gdy niszczyli zabawkę? Czy to ci się nie wydaje dziwne?

– Może i tak, ale… chciałaś, żebym ci opowiedział, co się stało. To właśnie się stało.

Carmen wpatrywała się w twarz syna, szukając jakichś oznak poczucia winy, jednej ze znajomych wskazówek, że właśnie kłamie. A kiepski był z niego kłamca. Stephen był w tym lepszy, ale jego pokerową twarz widywała tylko wtedy, gdy robił dowcipy jej albo Alowi, nieszkodliwe figle, które wymagały kamiennej miny aż do końca, nigdy w przypadku czegoś tak bezcelowego jak to.

Lecz w twarzy Michaela nie dopatrzyła się niczego, co wskazywałoby, że kłamał, więc albo przejął od starszego brata talent

do panowania nad mimiką, albo…

Albo mówił prawdę.

– Okay, zostań tutaj – powiedziała, wstając i ruszając na górę.

– Nie wierzysz nam, co? – zapytał cicho Michael.

Carmen zatrzymała się i popatrzyła na niego.

– Zostań tutaj, skarbie. Zaraz wracam.

Na górze zastała Stephena siedzącego na sofie z ramionami założonymi na chudej piersi. Wyglądał na zniechęconego, gdy szeptał coś pochylony do Stephanie, która siedziała obok. W chwili, gdy do pokoju weszła Carmen, chłopak zamilkł, a jego siostra odsunęła się od niego.

– Steph, zdaje się, że kazałam ci iść do łóżka – powiedziała Carmen.

Stephanie wstała i poszła do swojego pokoju, mamrocząc na odchodne:

– No już idę, idę.

Carmen usiadła obok Stephena.

– Okay. Chcę, żebyś opowiedział mi dokładnie, co wydarzyło się na dole.

Słuchała uważnie, gdy powiedział jej dokładnie to samo, co Michael. Gdy go pytała: jak wyglądali? co mieli na sobie? – opowiadał to samo, co brat, łącznie z tym, co powiedział jeden z tych ludzi: „Zabawki. Zwyczajne zabawki".

Gdy skończył, Carmen uświadomiła sobie, że marszczy brwi. Jeżeli chłopcy kłamali, to musieli przygotować historyjkę co do każdego szczegółu, zanim zepsuli robota i ją o tym poinformowali, inaczej ich opowieści nie byłyby identyczne w każdym detalu.

Opadł na nią strach, gdy po raz pierwszy poważnie wzięła pod uwagę możliwość, że w pokoju chłopców było trzech ludzi.

Dlaczego mieliby szeptać do siebie tuż przed Stephenem i Michaelem, niszczyć zabawkowego robota, a potem znikać?

To właśnie uznała za przerażające: to było kompletnie bez sensu.

Powinnam zadzwonić na policję? – zastanawiała się. *Ale co, jeśli przyjadą i okaże się, że chłopcy kłamią?*

Zdecydowała, że jeśli do domu faktycznie włamało się trzech mężczyzn, to gdzieś będą musiały być ślady tego zajścia, i że znajdzie je na dole, w piwnicy.

– Okay – powiedziała zdecydowanie i się podniosła. – To wszystko, co chciałam wiedzieć.

Wyszła z pokoju i idąc na dół, usłyszała pytanie Stephena.

– Co teraz zrobisz?

Nic nie odpowiedziała.

Na dole o to samo zapytał ją Michael.

– Zostań tutaj – powiedziała, otwierając francuskie drzwi i wchodząc do drugiego pokoju, w którym zapaliła światło. Rozejrzała się po pomieszczeniu, które miało być pokojem Stephena, zobaczyła, że oba okna są nadal zamknięte, i wyszła do szerokiego holu, zapalając kolejną lampę.

Sprawdziła wysokie pomieszczenie na jego końcu; znajdujące się tam okno także było nietknięte.

Weszła na rampę na drugim końcu holu i sprawdziła drzwi. Zamknięte na klucz.

W kolejnym pomieszczeniu starała się nie patrzeć na arkusz sklejki zakrywający zbiornik na krew – starała się nawet o tym nie myśleć – i całą uwagę skierowała na okna.

Żadne nie było uszkodzone ani otwarte.

Odwróciła się do drzwi prowadzących do kostnicy. Chociaż nie przyznała się Alowi ani nikomu innemu, nie lubiła tutaj przychodzić. Nie sądziła, żeby to była kwestia zła, czy czegoś w tym rodzaju; po prostu czuła się tutaj… nieszczególnie. Były tam jednak trzy okna, i chociaż była praktycznie pewna, że chłopcy ją nabierali, to uznała, że tutaj też powinna sprawdzić.

Z westchnieniem weszła do brudnego pomieszczenia i zapaliła światło. Wyglądało tu znacznie lepiej, odkąd Al pomalował ściany,

jednak…

Sprawdziła okno naprzeciwko drzwi, a potem pozostałe dwa.

Za sobą usłyszała kroki.

– Michael? – powiedziała. – Nie ma opcji, żeby ktokolwiek… – Odwróciła się i głos uwiązł jej w gardle. Zamarła z otwartymi ustami, gdy powietrze wokół zrobiło się lodowato zimne, jak gdyby stanęła przed otwartą zamrażarką. Gdy się odwracała, poczuła, że ktoś przepycha się obok niej, ocierając się o nią lekko. Zimne powietrze drgnęło, jakby ktoś właśnie przed momentem przeszedł.

Nikogo tam jednak nie było.

✞ ✞ ✞

Stephen zszedł na dół i zobaczył, że Michael siedzi na brzegu łóżka i ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się uważnie w drugi pokój, w którym paliło się światło.

– Gdzie mama? – spytał Stephen.

Michael głową wskazał na drzwi.

– Tam poszła. Chyba…

Nagle w drugiej części piwnicy usłyszeli gwałtowny ruch: kroki, szybkie pstrykanie wyłączanych świateł, trzaskanie drzwiami, i przez sąsiednie drzwi pospiesznie wyszła Carmen, gwałtownie je zamykając i gasząc lampę.

Stephen przez moment sądził, że mama zacznie krzyczeć. Miała dziwną minę, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widział. W pierwszej chwili pomyślał, że to paniczny strach. Potem stanęła przed nim, zacisnęła zęby i oparła pięści na biodrach.

– Nikogo tutaj nie było, rozumiesz? – powiedziała. Głos miała cichy, ale drżący. – Nikt się tutaj nie włamał. Wszystko jest pozamykane. *Nikogo* tutaj nie było. A jeśli uważacie, że to zabawne, to się grubo mylicie, i jeśli raz jeszcze zrobicie coś takiego, obaj będziecie mieć duże kłopoty.

Odwróciła się od nich i wmaszerowała na schody.

Stephen i Michael popatrzyli na siebie.

– Mamo? – Stephen raz jeszcze próbował coś powiedzieć. – Ale tu naprawdę byli…

– Stephen, nie chcę tego słuchać! – krzyknęła, odwracając się i mierząc w niego palcem. – Już dawno ci powiedziałam, że masz zatrzymać swoje historyjki dla siebie, ale nie, ty musiałeś opowiedzieć je Michaelowi i teraz obaj jesteście zdenerwowani, a jeśli sobie przypominasz, dokładnie to przewidziałam. *Pamiętasz?*

Chłopak powoli skinął głową.

Carmen znowu ruszyła po schodach.

Stephen odwrócił się do Michaela, westchnął głęboko i niechętnie ruszył po schodach za matką.

– A ty niby dokąd się wybierasz? – rzuciła przez ramię.

– Na… yyy… na górę, pooglądać trochę…

– Marsz do łóżka, i to już! Obaj! I nie chcę słyszeć od was już ani słowa, jasne?

– Mogę sobie przynajmniej nalać szklankę wody? – cicho zapytał Stephen.

– Jasne, proszę bardzo.

Czekał na stopniu, aż mama sobie pójdzie, a potem znowu odwrócił się do Michaela.

– Rany – szepnął Michael. – Ale się wkurzyła.

– Noo… – mruknął Stephen i poszedł na górę.

✞ ✞ ✞

Carmen weszła do salonu i opadła na fotel. Gdy jej oczy zapiekły od łez, obraz w telewizorze zmienił się w zamazaną plamę kolorów. Wzięła głęboki wdech, szybko potarła powieki i wzięła ze stolika paczkę marlboro. Gdy zapalała papierosa, ręce jej drżały. Zgasiła

zapałkę energiczniej niż zwykle, jakby chciała strząsnąć dygot z kości.

Oparła głowę, zamknęła oczy i zaczęła trawić swój gniew. Była zła, ponieważ tą swoją żywą historyjką i wielkimi, przerażonymi oczami chłopcy zdołali ją przekonać, że w domu są jacyś obcy. I to trzech! Pozwoliła, żeby jej wyobraźnia dała się złapać na haczyk ich kłamstw.

– Taaa… – mruknęła, rozmyślając. *To było to. Moja wyobraźnia i ich głupia historia. Zgadza się?*

Jednak cichy głos rozsądku, który zwykle odzywał się w jej głowie, tym razem milczał.

OSIEM

SZKOŁA

— Jazda, chłopaki, wstawać! – krzyknęła Carmen ze szczytu schodów, trzy razy ostro klaszcząc.

Stephen przykrył głowę poduszką, jednak usłyszał stłumiony jęk dobiegający z łóżka Michaela, a potem ochrypłe: „No i lato się skończyło”.

Ziewając i wzdychając, kręcili się w łóżkach, potem usiedli i rozejrzeli spuchniętymi oczami.

– Chcesz pierwszy iść pod prysznic? – wymamrotał Michael.

– Niee. Możesz iść.

– Dalej, bo się spóźnicie! – zawołała Carmen.

– Czemu? – spytał Michael, człapiąc po schodach.

– Bo mi się budzik nie włączył, temu. Śniadanie gotowe!

Stephen opadł na plecy, potarł oczy i zapatrzył się w sufit.

On nie jedzie wraz z Michaelem i Stephanie. Najpierw będzie musiał pojechać do szpitala. W zeszłym tygodniu mama spotkała się dyrektorem szkoły, do której miał chodzić, i z jednym z doradców. Wyłuszczyła problemy z nauką, jakie miał w szkole w Hurleyville, i poinformowała o jego chorobie, i o tym, że ze względu na leczenie przez pierwszy tydzień codziennie będzie się spóźniał. Powiedziała, że wykazali się dużym zrozumieniem i zapewnili, że zrobią wszystko,

co w ich mocy, żeby czuł się pewnie, i że odpowiednio podejdą do jego problemów.

Stephen oczywiście nie miał pojęcia, czy mówili szczerze, ale miał nadzieję, że tak. Szkoła już sama w sobie była trudna, ale znalezienie się w nowej budzie z totalnie obcymi ludźmi było jeszcze trudniejsze; a jemu z całą pewnością nie było trzeba *większych* kłopotów.

W sumie, to gdy o tym pomyśleć, to już samo leczenie konkretnie dawało w kość. Było już wystarczająco kłopotliwe, wielkie dzięki. Nienawidził go jeszcze bardziej niż lekarzy i pielęgniarek, z którymi codziennie miał do czynienia. Nie było w nich nic szczególnie złego – poza tym, że nadzorowali jego leczenie.

Co dzień był podłączany do złowieszczo wyglądającego urządzenia, które przypominało maszynę do robienia zdjęć rentgenowskich, tylko była większa, brzydsza i bardziej przerażająca. Najgorsze było to, że na czas naświetlania zostawał zupełnie sam. Skoro wszyscy się tego bali, to dlaczego go tam porzucali?

Miał koszmar – nawet kilka razy – w którym wszyscy wychodzili z tego sterylnego, białego pomieszczenia, zostawiając go pod tą upiorną maszyną… i już nie wracali.

No nic, już tylko kilka dni, a potem… jak powiedział doktor Simon – „A potem zobaczymy”.

Stephen nie mógł się doczekać zakończenia leczenia i miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał tego przechodzić. Nie potrafił sobie wyobrazić niczego gorszego.

– Stephen?

Poza tym głosem.

Poderwał się na łóżku i zaczął nasłuchiwać.

– Stephen? Jesteś gotowy?

Odwrócił się w stronę francuskich drzwi, ale przez szklane panele niczego nie zobaczył.

– Stephen, jesteś gotowy?

To był ten sam męski głos, ale teraz dochodził z drugiej części piwnicy.

– Stephen, czekam.

Za każdy razem, gdy się odzywał, wydawał się być bliżej.

Starając się dostrzec coś przez szybki, chłopak uznał, że chyba widział coś… jakby lekki ruch… może cień… cień padający przez otwarte drzwi w pokoju obok.

Wyskoczył z łóżka i miotał się po pokoju, zbierając spodnie, koszulkę, buty, potem…

– Stephen, nie marnuj czasu.

Pobiegł po schodach, słysząc w uszach własny oddech, puścił poręcz i przyciskając ubrania do piersi, ruszył wzdłuż holu.

Wpadł na Carmen, która właśnie wychodziła z kuchni.

– Stephen! – krzyknęła, bardziej sfrustrowana niż zła. – Co ty wyczyniasz?

Zaczął mówić, a potem zamknął usta i tylko na nią patrzył, starając się nie dygotać.

– Stephen, nie chcę słyszeć ani słowa – wyciągnęła w jego stronę palec wskazujący. – Ani teraz, ani nigdy, ale zwłaszcza teraz. Ten ranek jest już wystarczająco zły. Idź i zjedz śniadanie, jest na stole.

Przeszła obok niego i poszła do swojej sypialni.

Stephen stał w holu i nasłuchiwał, ale słychać było tylko dźwięk lejącej się wody dochodzący spod prysznica. Wciąż był spięty, ale poczuł ulgę i poszedł do jadalni.

✞ ✞ ✞

Carmen nie mogła zrozumieć, co z tym porankiem poszło nie tak. *Wiedziała*, że nastawiła budzik na siódmą, ale gdy wreszcie się obudziła, zobaczyła, że przycisk na budziku nadal był w pozycji ON, ale alarm nastawiony był na dwunastą, a ona zaspała aż czterdzieści minut.

Gdy wszystkich pobudziła, zrobiła szybkie śniadanie i narzuciła na siebie jakieś ciuchy – ubrana zawsze czuła się przytomniejsza – położyła torebkę i kluczyki na blacie w kuchni, żeby były pod ręką, gdy będzie jechać ze Stephenem do szpitala, i jakimś cudem udało się jej ubrać i nakarmić Stephanie i Michaela tak, że zdążyli na autobus, jakkolwiek nie omieszkała ich zapytać, czy nie majstrowali przy jej budziku.

Spojrzeli na nią ze zdziwionymi minami i wspólnie odparli, że nie.

– Okay. Tak się tylko zastanawiałam.

Gdy Stephanie i Michael wyszli, została tylko ze Stephenem, który był bardziej milczący niż zwykle, i Peterem, który za to mówił bez przerwy o dniu, gdy też pojedzie do szkoły wielkim, żółtym autobusem.

Carmen usiadła przy stole naprzeciwko starszego z synów.

– No to co, teraz jedziemy do szpitala, a potem zawiozę cię do szkoły.

Włosy, jeszcze mokre po kąpieli, miał zaczesane do tyłu, przez co jego chuda twarz przywodziła na myśl trupią czaszkę.

– A muszę zaraz potem iść do szkoły?

– Nie musisz. Możesz wrócić tutaj, jeśli chcesz. Odpocząć. Dojść do siebie. Potem zawiozę cię do szkoły. W sumie, jeśli wcale nie masz ochoty tam iść, to nie ma sprawy. To tylko ten jeden tydzień, a w szkole wiedzą, o co chodzi. Ale to jak będziesz chciał.

Skinął głową. Przez długą chwilę wpatrywał się w stół, potem spojrzał na nią. Usta miał lekko rozchylone, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem jakby to przemyślał i je zamknął.

– Okay, to jedźmy – mruknął tylko przez zaciśnięte wargi.

Gdy wszystko było gotowe, Carmen poszła do kuchni po torebkę i kluczyki.

Nie było ich.

Gapiła się na puste miejsce na blacie, w którym je położyła.

– Mamo, udaję, że mnie też zawozisz do szkoły! – powiedział Peter, wieszając się jej na ręce.

– W porządku. Gdzie jest moja torebka? – zapytała. – Stephen, widziałeś moją torebkę? – powtórzyła nieco głośniej.

– Nie – doleciało z salonu.

– Była na blacie, razem z kluczykami do samochodu, a teraz zniknęło jedno i drugie, więc bądź tak dobry i ich poszukaj, dobrze?

– Gdzie je zostawiłaś?

– *Tutaj* – warknęła.

– Dobra, dobra, poszukam.

Szukali. Przeryli całe górne piętro, ale torebka i klucze zniknęły. Carmen była bliska łez.

– Myślisz, że mogą być na dole? – spytał Stephen.

– Nie byłam rano na dole.

– Okay, tylko pytam.

Ale to pytanie sprawiło, że Carmen zaczęła się zastanawiać. Zmarszczyła brwi. Potem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wiedząc, że to niemożliwe, żeby jej rzeczy znalazły się na dole, bo przecież tam nie była, poszła do piwnicy i gdy zostało jej już tylko kilka stopni, zamarła.

Jej torebka i kluczyki leżały na łóżku Stephena.

Przez długą chwilę patrzyła w bezsilnej złości na swoje zaciśnięte pięści, aż w końcu podparła się nimi pod boki.

– Stephen! – krzyknęła. – Na dół, ale już!

Carmen nie odwróciła się na dźwięk jego kroków, tylko nadal patrzyła na torebkę i kluczyki leżące na jego łóżku. Potem pokazała na nie palcem.

– Ty je tutaj położyłeś?

– Nie!

– No to jak się tutaj znalazły?

– Nie… nie wiem!

Wreszcie z gniewnym spojrzeniem odwróciła się do niego.

– Stephen, to się musi skończyć – powiedziała głosem cichym niczym szept, ale wprost drżącym z wściekłości. – Mówię poważnie. Nie wiem, co próbujesz tym wszystkim osiągnąć, ale cokolwiek to jest, mam już tego dosyć!

Patrzył na nią z rozdziawioną buzią i przerażeniem rysującym się w oczach.

– A… ale to… to nie ja!

– Zamknij się! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Nie chcę już o tym mówić. Stephen, przyjmij do wiadomości, że te wygłupy mają się skończyć, i to w tej chwili! Mówię poważnie. Jeśli nadal będziesz się tak zabawiał, gdy tata będzie w domu, to gorzko tego pożałujesz, bo on ci tego nie odpuści. Ja też nie!

Przeszła przez pokój, złapała swoje rzeczy z łóżka, a potem ruszyła po schodach na górę.

– Rusz się! – krzyknęła na sam koniec.

Przez chwilę się do siebie nie odzywali; mówił tylko Peter, trajkocząc, że udaje, że mama odwozi go do szkoły. Gdy już jechali przez jakiś czas, Carmen poczuła, że zaczyna się rozluźniać. W głowie pojawiły się inne myśli, pozwalając zapomnieć o torebce i kluczykach, które ktoś zaniósł na dół. Wraz z nimi nawiedziło ją poczucie winy.

– Stephen, przepraszam, że tak na ciebie nakrzyczałam – powiedziała cicho. – Ale bardzo mnie zdenerwowałeś.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

– Ale ja nie… – zaczął i naraz przerwał. Nie powiedział nic więcej.

Carmen jego milczenie przyniosło ulgę. Cieszyła się, że pomyślał, zanim znowu zaczął zaprzeczać. Naprawdę nie chciała znów tego słuchać.

A wszystko dlatego, że cichutki głosik w jej głowie natrętnie szeptał, że Stephen może jednak mówić prawdę.

DZIEWIĘĆ

NOCNE ROZMYŚLANIA

Carmen nie mogła zasnąć, siedziała więc przy stole w jadalni – jej ulubionym miejscu w domu – paliła, bezmyślnie przerzucała strony „Vanity Fair" i jednym uchem słuchała radiowego talk-show.

Leczenie Stephena dobiegło końca – przynajmniej na jakiś czas – i Carmen spodziewała się po nim jakiejś zmiany. Oczywiście na lepsze. Odkąd wprowadzili się do tego mieszkania, był bardzo cichy i zamyślony, zupełnie niepodobny do siebie. Wmawiała sobie, że to przez chorobę, a także, a może przede wszystkim, przez wycieńczającą, codzienną terapię. Ale w ciągu kilku tygodni po zakończeniu naświetlań jedyną zmianą, jaką zauważyła, było to, że jego nastrój wydawał się stopniowo i nieustępliwie pogarszać.

Przynajmniej Jason poprawiał mu humor. Oboje jego rodzice pracowali, więc często był sam, i większość czasu spędzał w ich domu. Carmen nie miała nic przeciwko temu. Nie podobało jej się, że chłopak tyle czasu spędza sam, więc starała się, żeby czuł się u nich jak w domu.

Jakkolwiek cieszyła się, że Stephen ma przyjaciela, to martwiło ją, że naprawdę szczęśliwy wydaje się tylko wtedy, gdy przebywa z Jasonem; poza tym był milczący, przybity, a gdy pytała go, co się dzieje, zbywał ją niejasnymi monosylabami.

Martwiła się o niego, ale powiedziała sobie, że dużo przeszedł i może się jeszcze z tego nie otrząsnął; jak długo miał przyjaciela, który go uszczęśliwiał, i dobrze radził sobie w szkole, ona była zadowolona.

Jedynym problemem był Jason. Nie mogłaby powiedzieć, żeby było z nim coś nie w porządku – był miłym chłopcem, przyjaznym i grzecznym, gdy z kimś rozmawiał, a poza tym dosyć cichym – po prostu wydawał się jakiś… inny, jakby należał do tych dzieci, które raczej mają problem, żeby się z kimś zaprzyjaźnić. A jednak natychmiast przypadli sobie do gustu. No nic. Przyjaźnili się. Póki nie obrabiali sklepów monopolowych ani niczego nie podpalali dla zabawy, to co to komu szkodziło?

Po prostu jesteś matką, powiedziała sobie. *Aż za bardzo matczyną.*

Gdy chodziło o przekonanie Stephena, że w tym domu było coś złego, nie była już wobec siebie taka stanowcza. Od kiedy temat podchwycił Michael, Carmen często przyłapywała chłopców i Stephanie, jak szeptali między sobą, milknąc, gdy tylko się zorientowali, że nie są sami. Oczywiście od jakiegoś czasu tak zachowywali się Stephen i Stephanie, ale od powrotu Michaela zdarzało się to jakby częściej. Działało jej to na nerwy, ale nic nie mówiła.

Al, bywając w domu na weekendy, wydawał się nie zauważać tych tajemniczych szeptów dzieci. Miał inne rzeczy na głowie. Sto sześć mil do przejechania w każdy weekend odbijało się na nim, podobnie jak stres związany ze świadomością, że gdy jego przeniesienie w końcu dojdzie do skutku, to wyląduje na niższym stanowisku i będzie mniej zarabiał, przez co finansowo będzie im jeszcze trudniej niż teraz.

Gdy był w domu, nie rozmawiali o niczym ważnym ani szczególnie poważnym. Jeździł na ryby (chociaż Stephen nie był już zainteresowany wspólnymi wypadami) albo spędzał czas na oglądaniu telewizji. Gdy się kochali, był jakiś odległy, jakby

zatroskany. I on też nie sypiał zbyt dobrze. Ostatnio, gdy był w domu, Carmen obudziła się bardzo wcześnie rano w sobotę i zobaczyła, że jest w łóżku sama; kilka minut później Al wszedł do sypialni i znowu się położył. Wyglądał na zmartwionego, w świetle księżyca jego twarz była bardziej pobrużdżona, a brwi jeszcze mocniej ściągnięte.

– Co się dzieje? – spytała Carmen.

Drgnął na dźwięk jej głosu i patrzył na nią przez chwilę z tymi zmarszczonymi brwiami.

– Nic, nic – powiedział. – Śpij dalej.

Więc Carmen martwiła się nie tylko o swoje sprawy: Stephena, jego chorobę i – nieważne, jak bardzo starała się o tym nie myśleć – o jego przyjaźń z Jasonem; i o pieniądze, i o Ala. Ale po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, cieszyła się, mając takie troski. Były mile widzianą wymówką dla różnych dziwnych rzeczy, które robiła… a w każdym razie, które sądziła, że robiła.

Oczywiście chodziło o ten głos, który słyszała tamtego dnia, gdy była sama w domu. Uznała, że to z tęsknoty za Alem.

Potem, w dniu powrotu Michaela do domu, te talerze i sztućce, które najwyraźniej same wróciły do kuchni, i jej torebka oraz kluczyki, które przeniosły się z kuchni do pokoju Stephena.

W zeszłym tygodniu weszła do łazienki, gdzie z kranu leciała gorąca, parująca woda.

Wczoraj wydawało jej się, że kupiła sześciopak coli, pamiętała nawet, że wsadzała go do lodówki. Wieczorem puszek nie było; żadne z dzieci ich nie wypiło, nawet ich nie widziały. Bezskutecznie próbowała znaleźć paragon, wiedząc, że je kupiła, i chcąc to sobie udowodnić.

Złożyła to wszystko na karb roztargnienia; powiedziała sobie, że to po prostu pomyłki wynikające z zamyślenia. Tylko że to jakoś nie pomagało. Zatem starała się o tym nie myśleć i martwić się innymi rzeczami.

Gdy Carmen zapaliła kolejnego papierosa, w radiu rozległ się głos słuchaczki.

„No, mój problem jest taki, że, no, nie jestem siebie pewna, rozumiesz? Nie jestem pewna, kim jestem. No bo kim jestem? Żoną? Matką? Córką? Nikt nie rozumie kryzysu, jaki przechodzę, ani nie pojmuje, że potrzebuję przestrzeni, żeby to ustalić”.

Carmen spojrzała na radio i wydmuchnęła w jego stronę dym.

– Zajmij się czymś, paniusiu – zaśmiała się chłodno i wróciła do kartkowania magazynu.

✞ ✞ ✞

Al w tym czasie też nie mógł spać. Siedział w swoim pokoju w motelu, pił piwo i palił papierosa. Ciemność rozjaśniał tylko migoczący blask telewizora ze ściszonym dźwiękiem. Al patrzył na obrazy na ekranie, tak naprawdę ich nie widząc. Podobnie jak Carmen rozmyślał… o swoim ostatnim pobycie w domu. Nie mógł przestać o tym myśleć. Robił to w pracy i po niej. Nawet wypad do kina nie zdołał sprawić, żeby wspomnienia przestały wracać.

Och, było całe mnóstwo rzeczy, o które się martwił, bez wątpienia. Choroba Stephena, stopniowa zmiana jego osobowości, no i Al nie był pewien, czy jest zadowolony z tego, że Stephen przyjaźni się z tym dziwnym dzieciakiem, Jasonem, a chociaż nic nie powiedział Carmen, to miał niejasne wrażenie, że ona też ma podobne wątpliwości. I oczywiście była jeszcze kwestia pieniędzy; wkrótce będzie zarabiał mniej i będą musieli się bardzo starać, żeby jego pensja na wszystko wystarczyła. Jednak mimo tego wszystkiego najbardziej ciążył mu ten ostatni weekend.

Pierwsza rzecz zdarzyła się już w piątek wieczorem…

Obudził się dość gwałtownie na dźwięk kroków i głosów w domu. Przez chwilę leżał w łóżku i nasłuchiwał. Głosy były stłumione, do kroków doszły jakieś stuknięcia i szurania. I jeszcze muzyka, bardzo

cicha, niemal niesłyszalna, blaszana i… stara, jak muzyka z minionej ery gramofonów, trzeszczące dźwięki dobiegające z tuby nad kręcącym się talerzem. Nie brzmiało to jak coś, czego mogłoby słuchać któreś z dzieci, chociaż…

Podniósł się z łóżka, ostrożnie, żeby nie obudzić Carmen, i w samych bokserkach ruszył przez hol. Dźwięk był bliżej. Zatrzymał się, posłuchał i uświadomił sobie, że dochodzi z dołu.

Ciche głosy, cicha, żałobna muzyka – na dole najwyraźniej odbywało się jakieś zgromadzenie. Al podejrzewał, że miał z tym coś wspólnego Jason; to pewnie był jego pomysł, żeby przemycić do domu bandę dzieciaków.

Ale dlaczego słuchali *takiej* muzyki?

Uważnie stawiając kroki w mroku, ruszył w dół schodów, ale zatrzymał się w połowie.

Z dołu nie dochodziło żadne światło, nawet najmniejszy blask. Było tam równie ciemno, co w pozostałej części domu. Al zmarszczył brwi i słuchał.

Nadal słyszał głosy i muzykę, nadal słyszał szuranie stóp. Ostrożnie ruszył dalej, choć nie do końca wiedział, dlaczego to robi.

Z sypialni słyszał spokojne, równe oddechy chłopców, gdy nagle…

Nic więcej. Tylko te oddechy. I ciemność.

Głosy i muzyka zamilkły.

Al otworzył francuskie drzwi i zajrzał do sąsiedniego pokoju.

Pusta ciemność była cicha, ale zimna. Al wszedł do środka, mrużąc oczy z niedowierzaniem. W pokoju było tak zimno, że był pewien, że gdyby nie było tak ciemno, to widziałby własny oddech; zupełnie jak w chłodni. Myśląc, że może jakieś okno było otwarte, zrobił jeszcze kilka kroków, po czym stanął, uświadomiwszy sobie, że nawet gdyby było otwarte, to na dworze nie było aż tak zimno.

Potem nagle poczuł, że zimno zniknęło. Temperatura w pokoju wróciła do normy, choć Al i tak miał gęsią skórkę.

Zastanawiał się nad tym faktem przez chwilę, próbując dojść, jak to jest możliwe. Potem uznał, że chyba nie chce wiedzieć i wyszedł z pokoju.

Znowu słuchał oddechów chłopców. Tak, spali, nie było co do tego wątpliwości; Stephen nawet cicho pochrapywał, takim prawdziwym chrapaniem, nieudawanym, które może symulować dziecko, żeby rodzic nie przyłapał go na tym, że nie śpi.

Po powrocie do łóżka Al zobaczył, że Carmen też czuwa. Spytała go, co się dzieje, a on powiedział, żeby spała dalej.

Al jednak już nie zasnął. Leżał i słuchał, czy znów nie rozlegnie się ta muzyka i głosy. Jednak nic nie usłyszał.

Kolejnej nocy znowu się przebudził, tym razem przez jakiś ruch. Otworzył gwałtownie oczy i wpatrywał się w ciemność, podczas gdy łóżko wibrowało.

Nie trzęsło się, nie dygotało, wibrowało.

Oczy powoli mu się zamknęły, gdy uznał, że to pewnie tylko lodówka pracująca w mieszkaniu na górze. Carmen wspominała, że wprowadza się tam jakaś rodzina. Ale znów otworzył oczy, gdy dotarło do niego, że mają się wprowadzić dopiero za tydzień.

Mieszkanie na górze było puste. Nie było tam żadnej lodówki.

Gapił się w sufit, a łóżko nadal wibrowało. Ruch przepływał przez niego, wprawiał mięśnie w drżenie, opływał kości.

Al wstał i poszedł do salonu, włączając po drodze światła. Drżały mu ręce. Przez chwilę oglądał telewizję, palił, wypił kilka piw, a potem, ostrożnie, wrócił do sypialni. Przysiadł na brzegu łóżka.

Wibracje ustały.

Chociaż był wymęczony po poprzedniej bezsennej nocy, nie mógł zasnąć nawet na chwilę. Leżał i czekał na powrót wibracji. Nie wróciły. Al wreszcie zapadł w sen i spał do późna.

Teraz znowu leżał rozbudzony, patrząc na gadające głowy w telewizji z wyłączonym dźwiękiem, pijąc piwo i napełniając ciemnawy pokój dymem.

Pewnie nie myślałby nawet o tamtym incydencie, gdyby nie Stephen… gdyby nie te rzeczy, które Stephen mówi, że widzi i słyszy… rzeczy, które mówił o tym domu…

Było coś jeszcze, coś, o czym Al nie myślał od lat. W zasadzie sądził, że kompletnie o tym zapomniał, co jak dla niego byłoby zupełnie w porządku. To zdarzyło się wiele lat temu, gdy był w wojsku. Zobaczył coś, po czym przez całe lata nękały go koszmary. W sumie to nadal mu się śniły. Dopóki nie zobaczył… tego czegoś… śmiał się ze zjawisk nadprzyrodzonych, i to zupełnie szczerze. Od tamtego czasu nadal się śmiał, ale nerwowo i już bez takiego przekonania. Nikomu nie powiedział, co wtedy widział, nawet Carmen. Nie był pewien, czy kiedykolwiek komuś o tym powie.

Ale to, co w zeszły weekend wydarzyło się w domu, sprawiło, że znowu zaczął o tym myśleć i przypomniało mu, że nie jest już taki zamknięty na tajemnicze nocne dźwięki.

Wkrótce dostanie przeniesienie i będzie mógł zamieszkać w Connecticut, razem z rodziną. Tęsknił za Carmen i dziećmi, i nie mógł się doczekać, żeby przebywać z nimi na co dzień, nie tylko w weekendy.

Jednak nie był przekonany, czy chce się wprowadzać do tego domu.

DZIESIĘĆ

UMOWA

Stephen wiedział, że jego rodzicom nie spodobałaby się muzyka, której słuchali z Jasonem w pokoju, ale uświadomił sobie, że go to nie interesuje. Nie zawsze tak było. Był czas – i to nawet bardzo niedawno, choć wydawało się, jakby minęły wieki – gdy ich aprobata naprawdę była dla niego ważna, i sama świadomość ich niechęci wystarczyłaby, żeby dwa razy się zastanowił, czy powinien leżeć na łóżku i słuchać ostrego głosu Ozzy'ego Osbourne'a.

Teraz jednak Stephen odkrył, że ma w sobie jakąś niechęć wobec Carmen i Ala, dostateczną, by nie przejmować się tym, co mogą sobie pomyśleć.

Transfer Ala doszedł do skutku i większą część tygodnia spędzał w domu, czyli teraz w domu było dwoje ludzi, którzy mu nie wierzyli, którzy mu nawet nie ufali. Nienawidził ich za tę niewiarę, jak również za to, że chętnie obwiniali go o wszystkie drobiazgi, które były nie tak jak trzeba; winili go, gdy pozostałe dzieci czegoś się przestraszyły, i winili go za każdym razem, gdy w domu coś zniknęło albo znajdowało się nie na swoim miejscu. Zastanawiał się, o co zaczną go obwiniać w następnej kolejności.

Ale miał to gdzieś. Skoro nie obchodziło ich to, co myśli, to on nie będzie się dłużej przejmował tym, co myślą oni.

– No to z którą wolałbyś się przespać? – zapytał Jason. – Z Madonną czy z Joan Jett?

Leżał na łóżku Michaela w tej samej pozycji, co Stephen na swoim: twarzą do góry, ze skrzyżowanymi kostkami, z rękami pod głową.

Dzień miał się ku końcowi i przez okna wpadało gasnące światło wczesnego wieczora. Mimo tego w pokoju włączone były wszystkie lampy. Stephen robił to obecnie wszędzie, gdzie wchodził; nie lubił przebywać w pokojach, które nie były dobrze oświetlone.

– Nie wiem – odpowiedział z zadumą Stephen. – A która ma więcej kasy?

– A co za różnica? Obie są gorące.

– Tak, ale po tym, jak z nimi skończę, będą takie wdzięczne, że będą chciały mnie obsypać drogimi prezentami i masą kasy, więc chcę tej, która ma więcej siana. – W głosie Stephena słychać było skrywany śmiech.

Jason odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać.

– Ależ z ciebie cwaniak! – zaśmiał się jeszcze i dodał – Madonna ma większe cycki.

– Myślisz?

– Jasne, ja to *wiem*. Pokażę ci.

Usiadł i schylił się po brązową, papierową torbę leżącą na podłodze przy łóżku. Była pełna magazynów muzycznych, które przyniósł, ale jeszcze ich ze Stephenem nie przejrzeli. Rzucił torbę na łóżko i zaczął szukać jakiegoś konkretnego.

Stephen lubił Jasona z wielu powodów, między innymi dlatego, że w przeciwieństwie do ludzi, z którymi trzymał się w Hurleyville, Jason był *cool*. Tam, w domu, chodził na te cholerne lekcje dla dzieci z problemami w nauce, przez co nie był akceptowany przez najpopularniejsze dzieciaki w szkole; skończył, szwendając się z innymi tępakami z jego klasy, podczas gdy te dzieciaki, z którymi *naprawdę* chciałby się kumplować, spędzały czas, wytykając go palcami, naśmiewając się z niego i przezywając go.

No, Jason nie byo może *cool* w takim sensie, jak one by to rozumiały, ale był dobrym przyjacielem, miał dużo fajnych rzeczy, jak te magazyny muzyczne, które kupował co miesiąc, wielką kolekcję kaset, boomboxa oraz – a przynajmniej tak twierdził – masę pornografii (chociaż Stephen niewiele z tego widział, ponieważ, co zrozumiałe, Jason musiał być ostrożny, pokazując takie rzeczy). Lubił częściowo tę samą muzykę, co Stephen – głównie pop – ale zaznajomił go z mnóstwem kawałków, których Stephen wcześniej nie słuchał… bo wiedział, że jego rodzicom się to nie spodoba.

Ale najbardziej w Jasonie lubił to, że mu wierzył, gdy mówił o rzeczach, które działy się w tym domu. Nie tylko mu wierzył, uznawał te historie za prawdziwe tak swobodnie, jak tylko ktoś mógłby uznawać za prawdziwe nagłówki w gazetach. Nie okazał nawet cienia wątpliwości.

– O, tu jest – powiedział Jason, otwierając jeden z magazynów, była to tylna okładka „Rock Scene", i podnosząc się oraz podchodząc do łóżka Stephena.

Chłopak usiadł i spojrzał na zdjęcie, które wskazywał Jason: ujęcie Joan Jett na scenie, podczas koncertu, ubranej w bardzo skąpe, czarne bikini.

– Widzisz? – powiedział Jason. – Świetne ciało, ale płaska jak deska.

– No spoko, ale ile ma siana? – zapytał Stephen i obaj zaczęli się śmiać, dopóki…

Śmiech Jasona urwał się jak ucięty nożem.

Stephen uniósł wzrok i zobaczył, że Jason ma oczy otwarte szerzej, niż wydawałoby się to możliwe, i wpatruje się w coś po jego prawej stronie. Kilka razy otworzył i zamknął oczy, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku, tylko upuścił magazyn na kolana Stephena i zbladł jak ściana.

Stephen spojrzał w tę samą stronę, na francuskie drzwi, i zobaczył stojącego za nim starego człowieka.

Stephen niezgrabnie poderwał się z łóżka i odwrócił w stronę drugiego pokoju.

Obaj chłopcy przez chwilę stali jak wmurowani.

Skóra tego człowieka była biała. To nie była biel klauna, prześcieradła, czy po prostu bladość; to była biel skóry, z której spuszczono krew i zarazem życie – mleczna, plamista biel. Twarz była pomarszczona bardziej, niż mogłoby to wynikać z wieku, nienaturalnie pobrużdżona i obwisła, jakby pomiędzy nią a kośćmi nie było niczego. Resztki białych włosów wisiały w strąkach i sterczały rzadkimi plackami. Ubrany był w ciemny garnitur, który wyglądał jednocześnie na staroświecki i stary; znoszony i obszarpany, nawet brudny. Białe ręce wystające z rękawów były powykręcane, a długie, grube paznokcie zaginały się w stronę czubków palców.

Starzec nie zrobił żadnego ruchu, po prostu stał. Być może się w nich wpatrywał, jednak jego oczy były pustymi, szklistymi, białymi kulkami umieszczonymi w oczodołach.

Jason pierwszy rzucił się do ucieczki, ale Stephen był tuż za nim. Pędem przebiegli obok francuskich drzwi, potem z łomotem pognali po schodach, zostawiając za sobą włączoną muzykę.

Byli w połowie holu, gdy z jadalni wyszła Carmen.

– Czy wy zawsze musicie tak biegać po tych przeklętych schodach? – krzyknęła. – Ile razy wam mówiłam… – przerwała, gdy zobaczyła wyraz ich twarzy, i to, że łapią powietrze raczej ze strachu niż ze zmęczenia.

Stephen pokazał za siebie.

– Tam b-b-był… – wyjąkał. – W-w-widzieliśmy cz-człowieka…

– O Boże, Stephen, nie zaczynaj znowu. – Przez chwilę miała wyjątkowo znużony głos, jakby syn jej oznajmił, że będzie musiała znowu podbiec pod długą, stromą górę. Potem wpadła w złość. – Stephen, do cholery, to już się robi naprawdę męczące, a ja mam…

– Nie, to my *mamy*! – krzyknął Stephen. – Na dole był jakiś staruch, po prostu s-stał sobie i się na nas gapił!

Popatrzyła na nich – to na Stephena, to na Jasona – milczących i spiętych.

– Stephen, masz szczęście, że nie ma Ala – powiedziała wreszcie.

– A gdzie jest?

– Pojechał do sklepu. On ma już naprawdę dosyć tych bajek o ludziach, których widzisz w swoim pokoju. I ja też mam tego dosyć. Prosisz się o to, żeby cię uziemić, jeśli wciąż…

– Ale to nie tylko *ja*! – wrzasnął chłopak z frustracją w głosie.

– Nie, proszę pani, nie tylko on – dodał Jason. – Ja też widziałem tego faceta. Zobaczyłem go pierwszy!

Carmen westchnęła głęboko, a jej ramiona opadły.

– Dobrze, no to chodźmy. – Ruszyła w dół schodów.

Chłopcy poszli za nią.

– No i znowu – wymamrotał Stephen. – Nic tam nie ma… odpuść sobie wreszcie… przestań kłamać… – Potem spojrzał na Jasona i przewrócił oczami.

Carmen zaczekała na chłopców przy schodach, krzywiąc się na dźwięki, które wydobywały się z boomboxa Jasona stojącego na stoliku nocnym pomiędzy łóżkami.

– Okay, gdzie siedzieliście? Co robiliście?

– Na łóżkach – odparł Stephen.

– I leciała ta, hm… *muzyka*?

Pokiwali głowami.

– Przeglądaliśmy magazyny muzyczne – powiedział Jason.

Carmen z niechęcią spojrzała na gazetę leżącą na łóżku, otwartą na zdjęciu prawie nagiej kobiety z gniewną miną. Odsunęła magazyn na bok i usiadła na łóżku syna.

– Okay – powiedziała – idźcie na górę. Idźcie na dwór, jeśli chcecie, wszystko jedno. Po prostu sobie idźcie.

– Co chcesz… – zaczął Stephen.

– *Idźcie stąd.* – W jej głosie zadrgała taka irytacja, że nie zadawali już dalszych pytań.

Gdy wyszli, Carmen zapatrzyła się we francuskie drzwi.

– Dobra, Carm – westchnęła. Wypowiadane przez nią słowa były ledwie słyszalne. – Co tu robisz, do cholery?

Chociaż trudno było jej się skupić przy upiornych dźwiękach, które dudniły w głośnikach za jej plecami, zdecydowała, że sprawdzi, czy Stephen mówi prawdę. Posiedzi na tym łóżku, poczeka i przekona się, czy cokolwiek zobaczy. Warunki były dokładnie takie same jak w chwili, gdy chłopcy rzekomo zobaczyli tego człowieka. Po prostu dawała sobie szansę, żeby też go zobaczyć.

Wtedy odezwał się jej wewnętrzny głos, niszcząc jej poczucie samozadowolenia i bezpieczeństwa.

Dajesz sobie szansę, żeby go zobaczyć? – wyszeptał. *A przypadkiem to nie jest szansa, żeby samej sobie coś pokazać? Niby nie szukasz tego czegoś, co przesuwa rzeczy… zabiera je… w pustym pokoju odzywa się do ciebie znajomym głosem? No przecież dokładnie o to ci chodzi… czy się do tego przyznajesz, czy nie…*

Carmen gwałtownie potrząsnęła głową, jakby chcąc się pozbyć natrętnego głosu dudniącego pod czaszką.

Pochyliła się, oparła łokcie na kolanach, podbródek na pięściach, i wciąż wpatrywała się w drzwi, czekając.

Muzyka była naprawdę okropna, a gdy przysłuchała się tekstom, to uznała, że będzie musiała porozmawiać ze Stephenem o tym, jaką muzykę można, a jakiej nie można słuchać pod tym dachem.

Czekając, rozmyślała. Nieważne, jak bardzo próbowała zapanować nad błądzącymi myślami, wracały wypowiadane przez wewnętrzny głos, który szeptał o tym, co przydarzało jej się we własnym domu… i przez moment wydawało jej się, że w drugiej części piwnicy słyszy jakieś delikatne poruszenie.

Usiadła prosto, splecione dłonie wsunęła między kolana i nasłuchiwała.

Cisza, poza tą okropną muzyką.

Potem piosenka – o ile można ją było tak nazwać – się skończyła i po chwili zaczęła się kolejna.

Czy w tej krótkiej chwili ciszy Carmen coś słyszała? Jakby bliżej? Czy to była tylko…

Twoja wyobraźnia? – podsunął jej wewnętrzny głos.

Nagle poczuła, jakby jej skóra skurczyła się wokół kości.

Włoski u podstawy czaszki się zjeżyły.

Carmen wprawdzie próbowała nasłuchiwać dźwięków, które wydawało jej się, że usłyszała w głębi piwnicy – bardzo próbowała – nie była jednak w stanie się zmusić, żeby zostać tam choć jeszcze przez chwilę dłużej i poderwała się z łóżka.

W połowie schodów z trudem zwolniła kroku i uspokoiła gwałtowny oddech. Gdy wyszła do holu, wróciła już, jak miała nadzieję, do normalnego stanu; jakkolwiek w środku nadal była zmrożona, roztrzęsiona i przestraszona… ale czego się bała?

– Gdzie byłaś? – spytał Al z kuchni.

Jego głos ją przestraszył. Nie słyszała, jak wchodził. Nie była nawet pewna, ile czasu spędziła na dole i w rezultacie miała jakieś głupie, prawie nastoletnie poczucie winy, jakby została przyłapana na czymś, czego nie powinna robić.

– Na dole. – Weszła do kuchni i zobaczyła, że jej mąż wkłada zakupy do lodówki.

– Co się stało Stephenowi i Jasonowi? Siedzą na schodach frontowych i mają takie miny… nie wiem, jakby napytali sobie biedy, czy coś.

– O, naprawdę? No, może dlatego, że wpadli tu pędem, mówiąc, że widzieli ducha. Kolejnego ducha, powinnam powiedzieć.

– O cholera. – Al otworzył butelkę, zamknął lodówkę i wziął kilka łyków. Gdy spojrzał na Carmen, twarz miał zachmurzoną; miał tę

swoją minę, na wpół rozgniewaną, na wpół zmęczoną. – Dobra, koniec z tym – powiedział wreszcie, wychodząc z kuchni. – Tak dłużej być nie może.

Wyszedł przed drzwi frontowe.

– Jason – powiedział stanowczo – chyba już czas na ciebie.

Chłopcy poderwali głowy.

– Ale jego rodzice są…

– Przykro mi, ale Jason idzie do domu.

– Mogę zabrać swoje rzeczy z pokoju Stephena?

– Oczywiście.

Carmen stała u szczytu schodów, gdy Al zszedł z chłopcami na dół i czekał, żeby Jason zebrał swoje rzeczy, pożegnał się i wyszedł. Potem wymierzył w Stephena palcem.

– Koniec z duchami. Rozumiesz? – powiedział. – Mamy dosyć. Koniec z głosami, koniec z ludźmi w waszym pokoju, *koniec*. Jedno słowo więcej na ten temat, a pożałujesz. A zaczniemy od tego, że zostajesz wieczorem tutaj. Żadnej telewizji, żadnej muzyki – żadnego gówna, które tu przed chwilą słyszałem, rozumiesz? Nie chcę takich śmieci w swoim domu. Możesz stąd wyjść do łazienki i natychmiast wracasz. Koniec. Aż do jutra nie chcę słyszeć od ciebie ani jednego słowa. I pogaś chociaż część tych cholernych świateł! Włączona jest każda lampa w tym pokoju! Zaczynasz nabijać rachunki, i za to też możesz zapłacić.

Al ruszył po schodach, a Carmen spodziewała się, że Stephen coś powie, będzie protestował, zawoła go. Jednak w pokoju na dole panowała cisza. Al, przechodząc obok niej, wziął kolejny łyk piwa.

– Al, nie sądzisz, że byłeś trochę za ostry?

– A niby dlaczego? Przecież oboje mamy tego po dziurki w nosie, prawda? Co innego mamy zrobić, wspierać go? Następnym razem skończy się to dla niego o wiele gorzej. Dostanie szlaban albo nie będzie mógł oglądać telewizji, albo korzystać z telefonu, albo… albo coś. Mam serdecznie dosyć tej *Strefy Mroku*.

Al poszedł do salonu i włączył telewizor.

Stephanie była z Peterem w ogródku na tyłach, a Michael na ulicy bawił się z kolegą; powinni już ich zawołać, by wracali do domu. Ale najpierw chciała porozmawiać ze Stephenem. Czuła się poniekąd winna tej słownej chłosty, którą zebrał, bo powiedziała Alowi, co „widzieli" z Jasonem.

Oczywiście nie miała zamiaru mówić mężowi o swoim małym eksperymencie, o tym, jak siedziała w tym pokoju, czekając, żeby się przekonać, co *ona* zobaczy.

Na dole zastała Stephena leżącego na swoim łóżku, z rękami złożonymi pod głową gapił się w sufit. Usiadła na brzegu łóżka.

– Przepraszam za swój wybuch, ale sądzę…

– W dupie mam, co sądzisz! – powiedział Stephen przez zaciśnięte zęby, nie patrząc na nią.

Carmen sapnęła i wstała.

– *Nigdy* więcej nie odzywaj się do mnie w taki sposób albo naprawdę tego pożałujesz, młody człowieku!

– Nie obchodzi cię to, co ja myślę – powiedział bardzo cicho, wciąż przez zaciśnięte zęby. – A mnie nie obchodzi, co ty myślisz. Nie chcesz słuchać tego, co mówię, a ja nie chcę słuchać tego, co ty mówisz.

Głos Carmen drżał, gdy znowu się odezwała.

– Cokolwiek jest z tobą nie tak, lepiej żeby do rana ci przeszło. Stephen, mówię poważnie. Takie zachowanie nie będzie tutaj tolerowane, więc lepiej przestań się nad sobą użalać, czy cokolwiek, do diabła, robisz, i to w tej chwili. Możesz sobie być nastolatkiem, ale nie oznacza to, że jesteś za stary, żeby sprać ci dupę!

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała na górę, zawołać do domu pozostałe dzieci.

✞ ✞ ✞

Gdy poszła, Stephen rozebrał się, żeby się położyć spać. Nadal nie zgasił świateł w pokoju. Ciemność za oknem była już całkowita; nie ostała się ani odrobina słonecznego blasku. Wyłączenie lamp wpuściłoby ciemność do środka, a tego Stephen nie chciał.

Poszedł do łóżka, nie wyłączając żadnego światła; paliły się nawet lampki nocne.

Obrócił się na bok i próbował zrelaksować, chociaż wiedział, że trochę to potrwa, zanim uda mu się zasnąć. Był zbyt zdenerwowany, w zasadzie to był tak zdenerwowany, że doświadczał uczuć dotąd mu nieznanych. Chciał… chciał coś zniszczyć, po prostu złapać coś i z całej siły rozwalić to o ścianę. Frustracja legła mu w piersi lepkim ciężarem, który wydawał się przesączać przez żebra i napierać na mięśnie i ciało.

Mocno zamknął oczy, odcinając światło, i wcisnął głowę w poduszkę.

– Stephen?

Gwałtownie otworzył oczy.

Był w pokoju sam.

– Stephen? Jesteś gotowy? – zapytał cicho głos.

Przez dłuższą chwilę się nie poruszał, po prostu czekał, co będzie dalej. Gdy nic się nie wydarzyło, otworzył usta, zastanowił się, czy na pewno chce to zrobić, i powiedział:

– Tak.

– Zuch chłopak.

– Jeśli… jeśli tylko zostawisz mnie w spokoju. To zrobię, no… – Uniósł się lekko. – Zrobię, co będziesz chciał, tylko daj mi spokój. Umowa stoi?

Znajomy chichot, jak kostki lodu w szklance.

– Bardzo dobrze. *Bardzo* dobrze. Umowa stoi, mój chłopcze.

– Stoi? Czyli… zostawisz mnie w spokoju?

– Najpierw będziesz musiał wywiązać się ze swojej części tego interesu. Będziesz musiał zrobić to, czego chcę, tak jak powiedziałeś.

A potem… zobaczymy.

Stephen usłyszał, że ktoś idzie po schodach i szybko opadł z powrotem na materac.

– Rozmawiasz z kimś? – spytał Michael.

– Ymm… – Stephen zakrył pół twarzy kołdrą, bojąc się, że będzie po nim widać, że kłamał.

– Miałem wrażenie, że z kimś rozmawiasz.

– Powiedziałem, że nie.

– Okay, okay. Mama i tata powiedzieli, że mam sprawdzić, czy pogasiłeś światła. Przynamniej większość.

Stephen pomyślał o tym, wyobraził sobie, że pokój jest ciemniejszy, nawet całkowicie ciemny. Po raz pierwszy od przeprowadzki idea ciemności nie była przerażająca, ale wręcz nieco uspokajająca.

– Taa – powiedział. – Pogaś. Ale jedną zostaw.

– Stephen, wszystko w porządku?

Nagle Michael zaczął go irytować. Chciał pomyśleć, zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, ale jego brat wciąż gadał. Odwrócił się na brzuch, naciągnął kołdrę wyżej i warknął:

– Tak, nic mi nie jest, do cholery, czegoś się tak uczepił?

Gdy Michael znowu się odezwał, brzmiał, jakby mu się zrobiło przykro.

– Nic. Tak tylko pytałem. – Ruszył w stronę schodów. – Niedługo przyjdę.

Ale Stephen nie odpowiedział. Leżał w łóżku, całkowicie rozbudzony, i rozmyślał o tym, co zrobił. Zastanawiał się, jakiego targu właśnie dobił… i z kim.

JEDENAŚCIE

ZMIANY

Zmiany, które w ciągu kolejnych miesięcy zaszły w rodzinie Snedekerów, były bardzo nieznaczne, jednak nie aż tak nieznaczne, by Carmen i Al ich nie zauważyli; z wyjątkiem zmian w zachowaniu Stephena po prostu się o nich nie mówiło.

Ich życie toczyło się jak zawsze, ze zwykłymi problemami i zwykłymi przyjemnościami. W każdą niedzielę chodzili do kościoła, uczestniczyli w życiu parafii i szkoły, od czasu do czasu wypożyczali jakiś film na video. Jeśli by spojrzeć na nich z zewnątrz, to można by powiedzieć, że osiedli w swoim nowym domu i wreszcie poczuli się w nim dobrze.

Jednakże te zmiany nie były widoczne od zewnątrz. Nie dostrzegłyby ich oczy kogoś obcego; ledwie sami je zauważali. Zachodziły pod skórą, narastały powoli, rozprzestrzeniały się jak rak, który dotknął Stephena, ale robiły to dyskretnie, nie zwracając na siebie uwagi.

Nie wiedząc, że oboje robią dokładnie to samo, Al i Carmen, każde z osobna, walczyli, żeby utrzymać się przy tych pozorach stabilności, próbując jednocześnie ignorować różne drobiazgi, które wciąż im się przydarzały, zupełne głupstwa, które rozpatrywane osobno byłyby zupełnie bez znaczenia. Ale zebrane razem… razem te incydenty układały się we wzór, o którym Al i Carmen nie chcieli nic wiedzieć,

czy wręcz go sobie uświadomić; walczyli więc, żeby go ignorować, i jeszcze bardziej niż zwykle czepiali się tego normalnego, czystego środowiska, które sobie zbudowali.

A przez cały ten czas osobowość i zachowanie Stephena się zmieniały. Później Al i Carmen powiedzieli, że to było nagłe, ale to dlatego, że początkowo zmiany były tak stopniowe, tak subtelne, że gdy transformacja dobiegła końca, całkowicie ich zaskoczyła.

Wiele było takich rzeczy, na które w ciągu następnych kilku miesięcy nie byli przygotowani.

✞ ✞ ✞

– Chyba się wam układa – powiedziała do Carmen Tanya, zmieniając pieluchę.

Carmen siedziała na sofie, popijając colę zero i ciesząc się gaworzeniem dziecka.

– To znaczy?

– No, mówiłaś, że ze Stephenem jest lepiej i…

– Nie, nie. Mówiłam, że jego rak jest w remisji. To nie znaczy, że nie wróci, tyle tylko, że na ten moment jest okay. Jednak jesteśmy za to wdzięczni. A reszta w rękach Boga.

– No tak, ale to lepiej niż wcześniej, nie? Ze Stephenem jest lepiej, przynajmniej na ten moment, a ty wydajesz się… Och, nie wiem, jakby bardziej wyluzowana. Nie jesteś już taka spięta i nerwowa. Jasne, wyobrażam sobie, że nie brakowało ci powodów do zdenerwowania, już sama przeprowadzka i choroba syna… Ale po prostu sprawiasz wrażenie… bo ja wiem, szczęśliwszej? Czy to ma sens?

– Tak, chyba tak – odparła Carmen, choć zmarszczyła brwi. Dokładnie o taki efekt jej chodziło, ale nie wiedziała, że udało jej się go osiągnąć.

– Zaraz wracam – powiedziała Tanya, podnosząc dziecko. – Położę ją na chwilę.

Carmen skinęła głową i wróciła do swoich myśli.

Z całą pewnością *nie czuła się* szczęśliwa ani wyluzowana. Tak naprawdę to zdarzały się dni, gdy, o ile sobie na to pozwoliła, zadawała sobie pytanie o stan swoich zmysłów, zastanawiając się, czy może stres związany z chorobą Stephena i nagłą przeprowadzką mogły wywołać jakąś spóźnioną reakcję, może załamanie nerwowe.

Czasami, gdy była w domu sama, przechodząc z pokoju do pokoju, kątem oka zauważała jakiś ruch, błysk szarości, który prześlizgiwał się od jednego mebla do drugiego. Początkowo sądziła, że to Willy; zwykle był zamknięty na dole, ale czasami udało mu się przemknąć do salonu, gdzie rozrabiał i bawił się z nimi w chowanego. Ale zawsze, gdy zauważała ten rozmazany ruch, okazywało się, że zwierzak pozostaje zamknięty; a gdy się dokładniej przyglądała, nigdy niczego nie znalazła.

Dwukrotnie stała w kuchni plecami do lodówki – raz myjąc naczynia, drugi raz krojąc warzywa – gdy niespodziewanie poczuła na plecach falę lodowatego zimna, jakby ktoś otworzył drzwi chłodziarki. Ale gdy się odwracała, były zamknięte. Zimno szybko znikało, aż wydawało się, że nigdy nie było żadnego spadku temperatury – o ile faktycznie był.

Do tego dwa razy zdarzyło jej się obudzić i poczuć, że łóżko wibruje, jakby to było jedno z tych tandetnych łóżek w motelu, do którego ktoś wrzucił monetę… Ale wszystko odbywało się jakoś tak bezdźwięcznie… Al twardo spał obok. Za każdym razem wstawała, zapalała papierosa, szła do łazienki, a gdy wracała, wibracji już nie czuła.

Za każdym razem, gdy coś się działo – poruszenia, wibracje, krew na kuchennej podłodze czy głos, który zdarzyło jej się usłyszeć raz czy dwa, gdy wiedziała, że jest w domu sama – myślała o swoim synu. Oczywiście myślała głównie o rzeczach, które mówił o tym

domu, o tym, co podobno widywał, ale myślała także o tym, co się z nim stało, odkąd się tutaj wprowadzili.

Przede wszystkim ten jego strach przed zejściem na dół; to było bardzo niepodobne do Stephena, który, pomimo tego, jak traktowano go w szkole, zdołał pozostać otwartym, nawet energicznym chłopakiem, który strach okazywał tylko wtedy, gdy miało to uzasadnienie, a nie wtedy, gdy nie było się czego bać.

Ale ostatnio działo się coś jakby innego. Nie było to nic fizycznego, w rodzaju efektów naświetlania kobaltem; przeciwnie, to była zmiana osobowości. Jej pierwszym przejawem było to, jak na nią warknął, gdy tamtej nocy leżał w łóżku.

„W dupie mam to, co myślisz", powiedział, a jego słowa przecięły ją jak zardzewiałe noże. Nigdy dotąd nie odezwał się do niej w taki sposób i zabolało ją to. Ból wyszedł z niej jako gniew, chociaż tak naprawdę chciała przykucnąć przy łóżku i zapytać: „Kochanie, dlaczego mówisz do mnie w taki sposób? Dlaczego?".

Ale to był dopiero początek. Potem stał się bardzo cichy. Wydawało się, że nie chce utrzymywać kontaktów z kimkolwiek z rodziny. Odzywał się tylko wtedy, kiedy musiał, a nawet wtedy sprawiał wrażenie, jakby rozmawiał z ludźmi, których darzył najgłębszą pogardą. Trzy razy się zdarzyło, że odezwał się do Carmen w grubiański, okropny sposób. Czuła ból na samo wspomnienie. A gdy mówił te rzeczy, nawet wyglądał inaczej; twarz miał ściągniętą, niemal gadzią.

Często się zastanawiała, czy w Stephenie zaszłyby te zmiany, gdyby nie zignorowała tego, co mówił o tym domu – a przede wszystkim, gdyby się do niego nie przeprowadzili.

– … dziś na kolację?

Podskoczyła nerwowo, odwróciła się i zobaczyła przed sobą Tanyę.

– Co? – zapytała zdezorientowana Carmen. – Znaczy, yyy, co mówiłaś?

– Pytałam, co robisz dziś na kolację?

– Yyy, no, yyy… w sumie to jeszcze nie wiem. – Była zdenerwowana, niespokojna, jakby Tanya, całkiem niezauważona, podglądała jej myśli. – A ty?

– Och, pewnie jakaś mrożonka. Benjamin wraca dziś bardzo późno.

Carmen zaproponowała, żeby Tanya z dzieckiem przyszli na kolację do nich, o ile nie przeszkadza jej prosty posiłek. Dziewczyna chętnie przyjęła zaproszenie.

– Wiesz – powiedziała – w sumie byłam u ciebie w domu tylko raz, i tylko na chwilę.

Carmen zastanowiła się; koleżanka miała rację. Zastanawiała się, jak to możliwe, że tak długo jej nie zapraszała. W końcu dużo czasu spędzała w jej domu.

Może wstydzisz się swojego mieszkania? – zapytał wewnętrzny głos. *Boisz się, co mogłaby zobaczyć albo usłyszeć?*

Odwróciła wzrok od Tanyi, zamrugała gwałtownie i pospiesznie odsunęła tę myśl od siebie.

Carmen już szykowała kolację, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Uśmiechnięta Tanya, z dzieckiem na rękach, weszła do środka.

Ale jej uśmiech nieco zbladł, gdy zmarszczyła brwi i rozejrzała się dookoła.

– Coś bardzo smakowicie pachnie – powiedziała, szybko odzyskując rezon.

Carmen to zauważyła, ale nie miała zamiaru zadawać pytań.

– Duszone mięso z ziemniakami i warzywami. Jak mówiłam, coś prostego. Napijesz się czegoś?

Tanya poprosiła o piwo, Carmen wzięła sobie dietetyczną colę i usiadły we dwie przy stole w jadalni. Tanya na kolanach trzymała dziecko, które gaworzyło z zadowoleniem i rozglądało się wielkimi oczami.

– Gdzie dzieciaki? – spytała Tanya.

– Na dworze. Poza Stephenem. Siedzi na dole.

– Myślałam, że mu się tam nie podoba.

– Już nie. Spędza tam sporo czasu. Coś nawet powiedział, że przeniesie się z powrotem do swojego pokoju. Sama nie wiem, jest jakiś… – Carmen wzruszyła ramionami, ale nie kontynuowała.

Tanya znowu zmarszczyła brwi, zerkając w lewo, jakby coś tam zauważyła.

– Co się dzieje?

Dziewczyna zamrugała.

– Yyy… nic. Wydawało mi się, yyy… sama nie wiem.

– Może Al przyjechał. Powinien być lada chwila.

Tanya znowu zerknęła na lewo.

– Nie, nie wydaje mi się… – wymamrotała. – Och, nieważne – uśmiechnęła się do Carmen z wymuszoną wesołością. – Pomóc ci z kolacją?

– Nie, spokojnie, dam sobie radę.

Zaczęły rozmawiać. W miarę rozwoju konwersacji Tanya sprawiała wrażenie coraz bardziej niespokojnej, jakby krzesło, na którym siedziała, było niewygodne. Na jej twarzy pojawiały się dziwne tiki i rozglądała się nerwowo, przyciskając do siebie dziecko.

– Tanya, czy coś jest nie tak? – zapytała cicho Carmen.

– Co? Yyy, nie. To znaczy, yyy… – Znowu strzeliła oczami i uśmiechnęła się nerwowo. – Przepraszam. – Spojrzała w dół, pocałowała dziecko w czubek głowy i pociągnęła łyk piwa.

– Za co?

Tanya przez dłuższą chwilę nie podnosiła wzroku. Wreszcie się odezwała.

– Carmen, czy byłoby ci bardzo przykro, gdybym jednak nie została na kolacji?

Carmen drgnęła.

– Cóż, myślałam…

– W sumie nie jestem głodna i zwykle kładę ją dosyć wcześnie, i, yyy… – Wstała. – Mogłabym wpaść kiedy indziej? A może ty i Al przyjdziecie w przyszły weekend na grill?

Carmen też się podniosła.

– Tanya, zaczekaj chwilę, proszę. – Poszła za nią do holu. Poczuła, że ma ciarki na karku, i zrozumiała, że coś jest tutaj bardzo nie w porządku. – Coś jest nie tak. Co takiego?

Sąsiadka, unikając patrzenia Carmen w oczy, sięgnęła do klamki.

– Yyy, Carmen, ja, no… – zaśmiała się dziwnym, urywanym śmiechem. Uchyliła drzwi o kilka cali i niepewnie odwróciła się do Carmen. – Obiecasz, że nie będziesz się ze mnie śmiać?

– Jasne, że nie będę. Co się dzieje?

– Po prostu ja… no… jakoś się tutaj nie czuję.

– Co? Co masz na myśli, mówiąc, że nie…

– To ten dom. Jest… jest w nim coś… no… – Pokręciła głową i znowu zaczęła otwierać drzwi.

Carmen chwyciła ją za łokieć, nieco mocniej niż miała zamiar, przytrzymując wychodzącą dziewczynę. Serce waliło jej w piersi, czuła je nawet w gardle, i bała się zadać pytanie, które jednak zadać musiała.

– Tanya, co jest z tym domem?

Koleżanka odpowiedziała po długiej chwili, połowę słów wypowiadając szeptem.

– Nie jestem pewna. Ale jest tu coś, no, coś nie w porządku. To nawet nie sam dom, ale coś w… *powietrzu*. Cały czas to czuję. Jakbym została uwięziona w małym pokoju, który robi się coraz mniejszy i mniejszy. Takie klaustrofobiczne odczucie.

– Ale bywałaś już tutaj i nigdy nie zauważyłaś…

– Tylko przez kilka minut, nigdy nie weszłam na tak długo. Nie wydaje mi się, żebym miała czas coś zobaczyć. I nie…

– *Widziałaś* coś? Co takiego? – Carmen zaschło w ustach, a dłonie się spociły. Puściła łokieć Tanyi i wytarła je o biodra. – Nic nie mówiłaś, że coś *widziałaś*.

Kolejny ostry śmiech.

– Carmen, to nic takiego, po prostu…

– *Co* widziałaś?

– Nie jestem pewna. Cały czas widziałam… No, to wyglądało tak, jakby po holu cały czas coś krążyło. Bardzo szybko. Coś małego. Jestem pewna, że coś mi się uroiło. Serio, to tylko ja – znowu śmiech – i nie będę za dobrym towarzystwem, to wszystko. Wiesz co, zobaczymy się później, okay? – Otworzyła drzwi. – Zadzwoń do mnie wieczorem, umówimy się jakoś na ten weekend, okay? – Wyszła na ganek. – Na grill. U nas. Na razie.

Pospiesznie ruszyła przez trawnik w stronę swojego domu.

Carmen jeszcze przez jakiś czas po wyjściu Tanyi stała w drzwiach, a potem zamknęła je z hukiem i oparła się o nie z zamkniętymi oczami.

Próbowała spowolnić myśli przelatujące jej przez głowę. *Może to przez to, co jej powiedziałam o Stephenie, o tym, co mówił, o tym, co dzieci twierdziły, że widziały,* pomyślała.

Poczuła zapach jedzenia, przypomniała sobie, że ma mięso w piekarniku i poszła do kuchni przygotować resztę posiłku, próbując ignorować uporczywe drżenie rąk.

✞ ✞ ✞

Al także próbował ignorować różne rzeczy.

Na przykład muzykę i głosy dochodzące z dołu. Słyszał je już kilka razy. W sumie to już na tyle często, że nawet nie wstawał z łóżka, by je sprawdzić, po prostu leżał rozbudzony i nasłuchiwał, wpatrując się w ciemność.

Czasami łóżko wibrowało, tak jak tamtej pierwszej nocy. Oczywiście na górę wprowadziła się rodzina – Terrence i Linda Vanowen, wraz z synem i córką, mili, sympatyczni ludzie – więc Al mógł się trzymać swojej teorii o pracującej na górze lodówce; musiał nad tym trochę popracować, ale udało mu się przekonać samego siebie, a kilka dodatkowych piw przez pójściem do łóżka pomagało

mu zasnąć pomimo niepokojących myśli, których starał się do siebie nie dopuszczać.

Jednak nawet wtedy, gdy spał równie dobrze jak zazwyczaj, miał wrażenie, że nie spał, jakby noc zeszła mu na kręceniu się i przewracaniu z boku na bok w przepoconej pościeli. Pracował tylko dzięki dużej ilości wypijanej kawy, a zaczynał szykować się do łóżka w chwili, gdy wchodził do domu i otwierał pierwszą butelkę piwa.

Którejś nocy leżał w łóżku, nie spał, ale miał zamknięte oczy. Zastanawiał się, czy nie pije za dużo piwa, że może to właśnie mogło się kryć za rzeczami, które słyszał, czuł i o których tyle myślał; może, ale tylko *może*, Stephen miał rację co do tego domu? Ale potem powiedział sobie, że pije więcej *przez* te rzeczy, i nie mógł sobie wyobrazić, że miałby nie pić, nie, jeśli nie chciał ześwirować, nie, jeśli nie chciał wyrzucić tego wszystkiego przed Carmen i *wyjść* na kompletnego świra.

Po chwili, przy stałym i uspokajającym tykaniu budzika stojącego na szafce nocnej, Al zasnął…

Obudził się nagle i nieprzyjemnie odkrył, że się trzęsie, a pierwszą jego myślą było: *O Boże, o mój Boże, to już nie wibracje, teraz się trzęsie! Trzęsie!*

To była Carmen. Ściskała go za ramię i potrząsała nim mocno.

– Al! Al! Obudź się! – syczała. – Łóżko! Coś się dzieje z łóżkiem!

– Co? – usiadł, mrużąc mimo ciemności oczy i mrugając wściekle, jakby coś wpadło mu do oka.

– Al, łóżko! Łóżko!

Gdy już otrząsnął się z gęstej mgły snu, uświadomił sobie, że to się znowu działo. Łóżko wibrowało. Przez ciało Ala przenikał cichy pomruk, owijając się wokół jego kości niczym sznurek.

Zastanowił się szybko i podjął decyzję: skoro sprawdzało się u niego, to u Carmen też się sprawdzi.

– A co z nim? – spytał niedbale, odsuwając kołdrę i starając się nie sprawiać wrażenia, jakby mu się spieszyło, żeby wstać. Stanął, trąc

oczy i przeczesując palcami włosy.

– Nie czujesz tego? – odpowiedziała Carmen nieco głośniej. Stała po drugiej stronie łóżka, ubrana w długą koszulę nocną z pingwinem. – *Wibruje*. Sam zobacz.

– Co?

– Po prostu zobacz!

Al próbował się nie wzdrygnąć, gdy położył dłoń na łóżku i poczuł znajome, jakby nieprzyjemne odczucie sunące w górę jego ramienia. Po chwili zabrał rękę i spojrzał na Carmen.

– No i?

– No i? *No i?* Al, łóżko wibruje, o co tu chodzi? Dlaczego tak się dzieje?

– To z góry – powiedział cicho, spokojnie, pewnym siebie głosem, choć zachrypniętym od snu.

– Od czego?

– Od lodówki na górze. Po prostu. Włącza się i wibruje, a wibracje przenoszą się na dół i czujemy je w łóżku. Kładź się spać. Za chwilę przestanie.

Patrzyła na niego z rozchylonymi wargami, gdy się odwrócił i poszedł do łazienki.

Zapalił światło i zamknął drzwi na zasuwkę. Nie musiał tego robić, ale to było jedyne miejsce, dokąd mógł pójść w środku nocy, nie musząc się tłumaczyć przed Carmen.

Opuścił klapę od sedesu i usiadł na niej. Łokcie oparł na kolanach, twarz schował w dłoniach i powoli oddychał. Miał nadzieję, że te wibracje ustały i Carmen poszła spać. Nawet pomodlił się o to cicho. Po chwili przeżegnał się, wstał i zatrzymał, gdy usłyszał jakiś głośny dźwięk dochodzący z dworu. Hałas powtarzał się raz za razem, ucichł na chwilę, potem rozległ się znowu.

Al zmarszczył brwi i wyszedł z łazienki, mamrocząc: „Co znowu?”.

To było szczekanie psa. Prawie je zignorował i wrócił do sypialni, ale było tak bliskie, że uznał, że to sprawdzi.

Podszedł do okna w jadalni, które wydawało się najbliżej tego ujadania, i dwoma palcami rozsunął żaluzje.

Jasny księżyc rzucał stłumione światło na ziemię, która wyglądała jak świetlisty siniak. Na skraju ogrodu stał duży pies – w tym świetle trudno było powiedzieć, jakiej był rasy – szczekając na narożnik domu. Szczekał w taki sposób, jakby chciał ostrzec swojego pana przed intruzem, czy tak, jak pies szczekałby na kogoś, kto go zaatakował: wściekłe i szybkie szczeknięcia, przeplatane parsknięciami i warczeniem.

Nigdy wcześniej nie widział tego psa i nie był w stanie stwierdzić, czy miał obrożę. Przez chwilę stał bez ruchu, po prostu obserwował szczekającego napastliwie psa. Cały czas czekał, żeby zwierzak zamilkł i sobie poszedł, ale tak się nie stało. Jeśli już, to szczekanie stało się bardziej zajadłe i groźne, bardziej desperackie.

Poczuł, że po skroni spływa mu strużka potu i wierzchem dłoni przeciągnął po czole. Pocił się. Waliło mu serce.

Ten dom, pomyślał. *Szczeka na ten dom, bo… bo on go przeraża.*

Al zabrał rękę z żaluzji, cofnął się i po prostu dalej stał, wpatrując się w zasłonięte okno, podczas gdy pies szczekał… i szczekał… i szczekał…

✞ ✞ ✞

W domu Snedekerów tajemnice rosły jak rak.

Carmen nie powiedziała Alowi, że słyszała, jak ktoś śmieje się w kuchni, choć była sama w domu.

Al nie powiedział Carmen, gdy w któryś weekend słyszał kroki podążające za nim po domu, chociaż nikogo tam nie było.

A Stephen odzywał się do nich tylko wtedy, kiedy musiał. Gdy nie był w szkole, większość czasu spędzał w swoim pokoju, często z Jasonem, który przynosił kasety do posłuchania, najnowsze albumy najcięższych kapel metalowych, z tekstami, które mówiły

wyłącznie o seksie i śmierci, przemocy i samobójstwie, torturach i nekrofilii. Nie spędzał już wiele czasu z Michaelem, głównie dlatego, że Michael chciał robić takie rzeczy i interesował się takimi tematami, które wcale nie ciekawiły Stephena. W efekcie tego wszystkiego Stephen zastanawiał się, czy aby się nie przenieść do pokoju, który pierwotnie miał być jego.

Idea posiadania własnego pokoju znowu okazała się nad wyraz kusząca.

Wtedy już nic nie przeszkadzałoby głosom…

Późno w nocy Stephen nie spał. Leżał w łóżku i nasłuchiwał szczekania psa na ulicy. Zdarzało mu się już je słyszeć, ale nie zastanawiał się nad tym, dopóki któregoś ranka przy śniadaniu tata nie poskarżył się na nie. Al powiedział, że muszą się dowiedzieć, czyj to pies, i zadzwonić do właściciela; siedział przed ich domem i ujadał przez kilka nocy z rzędu.

Zaciekawiony Stephen wstał z łóżka i poszedł na górę, swobodnie poruszając się w ciemności. Podszedł do okna w jadalni i zobaczył psa siedzącego w świetle księżyca, szczekającego i parskającego na narożnik domu. Nic tam nie było – ani wiewiórki, ani kota – tylko ten dom.

Stephen uśmiechnął się nieświadomie.

Czyli nie był zupełnie sam. Pies jakimś cudem wiedział, że ten dom skrywał coś niezwykłego. Pies skądś wiedział, że mieszka w nim coś jeszcze, nie tylko matka, ojciec i czworo dzieci.

Pies wiedział…

DWANAŚCIE

DUCHY TERAŹNIEJSZYCH ŚWIĄT

Przed Bożym Narodzeniem Stephen zdobył starą, znoszoną kurtkę skórzaną, na której plecach naszył czaszkę i skrzyżowane piszczele oraz logo jakiejś grupy heavymetalowej – odwrócony krzyż i zakrwawiony sztylet.

Miał ją na sobie któregoś dnia, gdy wrócił ze szkoły. To był ostatni dzień nauki przed feriami świątecznymi; wszystko pokrywał śnieg, a Stephen przed drzwiami frontowymi strzepnął jego płatki z szalika i kurtki. Gdy wszedł do domu, zatrzymała go Carmen.

– Stephen? Mógłbyś tu przyjść na moment? – zawołała z jadalni.

Nie miała ochoty na rozmowę, którą musiała z nim przeprowadzić – *spróbować* przeprowadzić – bo całkiem jasno sobie wyobrażała, jak ta się skończy.

Carmen i Al ostatnio dużo rozmawiali ze Stephenem – razem i osobno – o różnych rzeczach, od plugawego języka, jakiego używał w domu, po jego higienę osobistą, która z powodów, których nie potrafili zrozumieć, przez ostatnich kilka tygodni bardzo się pogorszyła.

Ze Stephenem ostatnio działo się wiele rzeczy, których nie rozumieli.

A teraz ta kurtka. Przed ich przeprowadzką nawet by nie pomyślał, żeby włożyć na siebie coś takiego. Zawsze był czystym chłopcem,

schludnie ubranym, takim grzecznym i elokwentnym.

Zawsze, ale ostatnio już nie.

– Stephen, usiądź – powiedziała Carmen cicho, z uśmiechem na ustach.

Wzdychając z irytacją, odsunął sobie krzesło i opadł na nie, z hukiem opierając łokcie na stole, a podbródek na pięściach.

Pomimo tego, że rak był w remisji, Stephen nadal był blady i chudy, i nadal miał żółtawoszare podkówki pod oczami, choć już nie takie wyraźne.

– Skąd masz tę kurtkę? – spytała Carmen.

– Dostałem od kogoś.

– Skórzane kurtki nie są tanie.

Wzruszył ramionami.

– Jest stara. Już jej nie chciał. Dał mi ją.

– Cóż… to w sumie nie jest zła kurtka, naprawdę. Ale dlaczego przyczepiłeś na plecach te naszywki?

Kolejne wzruszenie ramion, długie, powolne mrugnięcie.

– Bo mi się podobają.

Pochyliła się w jego stronę.

– Stephen, wiesz, że nie chcemy, żebyś nosił takie rzeczy.

– Jakie?

– Ten krzyż, który masz na plecach, jest odwrócony.

– No i?

– Och, Stephen, nie udawaj głupiego, przecież wiesz, o czym mówię. – Już była sfrustrowana i zła, i było to słychać w jej głosie. – To świętokradztwo i… jeśli o mnie chodzi… to *ty* raptem kilka miesięcy temu gadałeś o złu, a o ile się orientuję, to właśnie jest zło, to, co masz na plecach. Machnęliśmy ręką na muzykę, więc możesz sobie słuchać dowolnego gówna, póki robisz to sam, ale to już za dużo!

– No ale co to za różnica? Nie rozumiem. To część tej muzyki, o tym ona mówi, to…

– Wiem, i właśnie dlatego mnie i twojemu tacie ta muzyka się nie podoba. Ten krzyż, który nosisz na plecach, to bardzo ważny symbol. Chrystus umarł na krzyżu, byśmy mogli…

Stephen przewrócił oczami.

– Taa, taa, wiem. Uczyłem się o tym wszystkim w szkółce niedzielnej.

– Więc jak możesz nosić coś takiego!

– Tak się martwisz o zło, tak się go boisz, a jak masz je wszędzie dookoła, to go nie widzisz, po prostu je ignorujesz. Mówię ci, że ten dom jest zły!

– I jeszcze to, znowu. Ja… Stephen, ja cię po prostu nie rozumiem. Nie rozumiem, co jest z tobą nie tak.

Wtedy jej syn zrobił coś, co sprawiło, że Carmen opadła szczęka i aż wstrzymała oddech, zaszokowana i zraniona.

Roześmiał się i pokręcił głową.

– Ty w ogóle mało rozumiesz, co? – powiedział.

Wstał od stołu i poszedł do swojego pokoju, zostawiając Carmen wpatrzoną w miejsce, na którym siedział, z otwartymi ustami i z wielkimi oczami pełnymi bólu.

Wreszcie zapaliła papierosa i zaciągnęła się ze znużeniem. W następnej kolejności oczywiście będzie musiała porozmawiać o tym z Alem. Ale na tę rozmowę nie czekała nic a nic.

Al ostatnio łatwo tracił panowanie nad sobą, zwłaszcza jeśli chodziło o Stephena. Brakowało mu tolerancji dla zmian, które zachodziły w tym chłopcu; Carmen musiała przyznać, że sama miała podobne odczucia, ale przynajmniej próbowała być sprawiedliwa i dobrze wychowana, próbowała ze wszystkich sił zrozumieć racje syna (co robiło się coraz trudniejsze, skoro tak bardzo nie chciał z nikim rozmawiać). Bała się, że prędzej czy później powie Alowi coś o tym, co Stephen zrobił lub robi, a Alowi puszczą nerwy i ukarze syna poważnie, naprawdę poważnie, w sposób wykraczający poza zwyczajowy szlaban czy zakaz korzystania z telefonu – na przykład

go spierze. Jakkolwiek rozumiała tę chęć – jej cierpliwość i tolerancję Stephen także bardzo poważnie nadwerężył, zwłaszcza swoją reakcją na jej zastrzeżenia wobec kurtki – to na samą myśl o rękoczynach robiło jej się słabo.

Ale tył kurtki Stephena także sprawiał, że robiło jej się słabo.

Porozmawia z Alem. Jeśli on niczego nie wskóra, będzie musiała zastosować bardziej stanowcze środki…

Choć tego wieczoru czekała aż do kolacji w nadziei, że wtedy Al będzie w lepszym nastroju, ten i tak był wściekły. Poszedł na dół, a Carmen aż w salonie słyszała, jak krzyczy na Stephena. Usłyszała nawet, jakby coś uderzyło o ścianę.

Peter drzemał obok niej na sofie; Stephanie i Michael siedzieli na podłodze i oglądali telewizję, plecy mieli sztywne i nie spuszczali wzroku z ekranu, starając się ignorować dźwięki dobiegające z dołu.

Potem, po krótkiej chwili ciszy, usłyszała dudnienie kroków Ala na schodach i jego wściekły głos.

– Proszę bardzo, ja się poddaję! Chcesz łazić, wyglądając jak jakiś satanistyczny łobuz, to proszę bardzo, tylko nikomu nie mów, że tu mieszkasz! Rozwydrzony gówniarz! Nie wiem, po kim to masz, ale na pewno nie po nas!

Gdy szedł przez hol, nadal prowadząc swoją tyradę, Carmen usłyszała cichy śmiech Stephena dochodzący z dołu. Szybko wyszła Alowi na spotkanie.

– Nie mam cholernego pojęcia, co z nim zrobić – warknął, idąc do kuchni i wyciągając piwo z lodówki. – Chce zatrzymać tę pierdoloną kurtkę…

– Al – zganiła go, krzywiąc się.

– …to niech ją są sobie zatrzyma, mam to w dupie. Chce wyglądać jak szmaciarz, jak jakiś zasrany kryminalista czy coś, jakiś, kurwa, sekciarz, proszę bardzo.

Oparł się o blat i pił łapczywie z odchyloną głową.

– Cóż, *coś* jest nie tak, tylko nie wiem, co.

–To cholerny, rozpuszczony bachor, to jest nie tak.

– Ach, czyli mówisz, że to *moja* wina? To moja wina, że się tak zachowuje?

– Hej – rozłożył ręce i uniósł brwi. – Ty to powiedziałaś, nie ja.

Carmen obróciła się na pięcie, wyciągnęła ramię i oparła o lodówkę. Na chwilę zamknęła oczy i zacisnęła usta. Wiedziała, że jeśli będzie drążyć temat tego kiepsko zawoalowanego oskarżenia, to zaraz paskudnie się pokłócą. Zdecydowała, że da temu spokój, wzięła głęboki wdech i odwróciła się.

– Myślę, że powinniśmy go zabrać do ojca Wheatleya.

Al wziął kolejny łyk piwa i westchnął.

– Myślisz, że to coś pomoże?

– Na pewno nie zaszkodzi.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, zmarszczył brwi, stał się jakiś odległy.

– To się dzieje, odkąd się tutaj wprowadziliśmy… – powiedział cicho, jakby do siebie. – Do tego domu…

Carmen była zaskoczona jego słowami – czyżby dręczyły go takie same myśli, co i ją? – ale szybko ukryła to uczucie.

– Myślisz, że to ma jakiś związek? – spytała.

– Hm? E, nie. Oczywiście, że nie. To tylko… to tylko taka obserwacja. Bardzo się zmienił w dość krótkim czasie.

– I właśnie dlatego uważam, że powinien porozmawiać z ojcem Wheatleyem.

– Tak. Tak, to nie zaszkodzi.

✞ ✞ ✞

Następnego dnia zadzwoniła do ojca Wheatleya i nakreśliła problem, a on zgodził się spotkać ze Stephenem. Nie słuchając jego protestów, Carmen zabrała syna do kościoła i zostawiła go tam, podczas gdy sama poszła na zakupy. Gdy skończyła, wróciła po niego i pojechała

do domu, opierając się palącej chęci, żeby wejść do ojca Wheatleya i zapytać, jak poszło, i co jest nie tak z jej synem. Zamiast tego podjęła próbę porozmawiania ze Stephenem.

– O czym rozmawialiście z ojcem? – spytała.

Nie odwracając wzroku od bocznego okna, wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Po prostu… rozmawialiśmy.

Nie udało jej się wyciągnąć z niego nic więcej. Mogła tylko mieć nadzieję i modlić się, żeby ojciec Wheatley był w stanie coś zdziałać.

Ale to było dla niej za mało. Gdy wróciła do domu z telefonu w sypialni zadzwoniła do księdza.

– Jak poszło, ojcze? – spytała.

–Cóż, Carmen, jeśli pozwolisz, to wolałbym nie mówić o szczegółach. Powiem tylko tyle: dobrze zrobiłaś, przyprowadzając go do mnie. Chciałbym się z nim spotkać jeszcze raz. Najlepiej jutro. Czy to możliwe?

– Oczywiście, że tak. Bardzo się cieszę. To znaczy martwiłam się… Oboje z Alem się martwiliśmy, że… – Nie skończyła w obawie, że głos jej się załamie i popłyną łzy.

– Posłuchaj, Carmen – powiedział łagodnie ojciec Wheatley. – Jestem tutaj również dla was. Myślę, że Stephen potrzebuje teraz tych rozmów, i podejrzewam, że uda nam się zrobić jakiś postęp. Ale jeśli i ty chcesz z kimś porozmawiać, to śmiało.

– Dziękuję, ojcze – wyszeptała.

– Jutro o tej samej porze?

– Tak jest.

Ale następnego Carmen nie mogła zawieźć Stephena do ojca Wheatleya.

Tego wieczoru z Alabamy zadzwonił jej brat Everett. Spięła się, gdy tylko usłyszała jego głos; dzwonił tylko wtedy, gdy czegoś potrzebował – albo gdy coś się stało. Podobnie jak ich ojciec był alkoholikiem i nie miał zamiaru się leczyć; Carmen zawsze pamiętała o nim w swoich modlitwach, ale już lata temu zrozumiała,

że tylko tyle może dla niego zrobić, a jeśli kiedykolwiek miałby się z tego podźwignąć, to sam będzie musiał zrobić pierwszy krok.

– C… Carmen? Będziesz musiała, no, przyjechać do domu. Od razu. – Głos miał mokry od łez i drżący.

– Everett, co się stało?

– Tata. On, no, tego… umarł. Ktoś go zabił. Został zamordowany. Musisz przyjechać.

Carmen przez moment stała jak zamrożona. Gdy odzyskała głos, powiedziała bratu, że w Connecticut pada śnieg, ale złapie najbliższy samolot i będzie tak szybko, jak to tylko możliwe.

Gdy odłożyła telefon, opadła na sofę i myśląc o ojcu, zapatrzyła się w pustkę. Jej rodzice rozwiedli się, gdy miała dwanaście lat, a ona nigdy nie było z tatą blisko, w sumie to ledwie go znała, w przeciwieństwie do jej brata, który pozostawał z nim w stałym kontakcie. Pomimo tego, że Everett zawsze pogardzał stylem życia ich ojca – ciągłym piciem, tym, że o siebie nie dbał, że żył z dnia na dzień – to jednak najwyraźniej nie aż tak, żeby nie powtórzyć tego wzorca. Jego obecność w rodzinie sprawiała, że Carmen nie tykała alkoholu i bardzo się martwiła upodobaniem Ala do piwa, choć jeszcze nie znalazła w sobie odwagi, by mu o tym powiedzieć.

Zadzwoniła na lotnisko. Udało jej się zarezerwować bilet na wieczorny lot. Al musiał tak załatwić wszystko w pracy, żeby pod jej nieobecność móc zająć się dziećmi. Krzywił się na myśl, że musi robić coś takiego niedługo po tym, jak rozpoczął pracę w kamieniołomie, jednak był to jeden z tych niemożliwych do przewidzenia i nieuniknionych kryzysów, które od czasu do czasu przydarzały się każdemu, i jego szef nie robił mu z tego powodu żadnych problemów.

Al wraz ze Stephanie i Peterem odwieźli Carmen na lotnisko, a wracając do domu, kupili pizzę; Al nigdy nie nauczył się gotować i nie miał zamiaru robić tego teraz, zatem aż do powrotu Carmen mieli się żywić jedzeniem na wynos i mrożonkami.

Tego wieczoru, gdy pizza się skończyła, Stephen jak zwykle wycofał się do swojego pokoju. I tak spędził większą część popołudnia, zabrał tam nawet kolację. Pomiędzy Alem i Stephenem narastało napięcie; w pomieszczeniu, w którym przebywali razem, było ciszej, atmosfera stawała się jakby cięższa. Odzywali się do siebie tylko wtedy, gdy musieli, z czasem coraz rzadziej. Alowi to pasowało; nie przejmował się chłopakiem, póki ten się jakoś zachowywał. Może to i było surowe, ale nie miał lepszego pomysłu. Ostatnich zachowań Stephena nie dawało się niczym usprawiedliwić, a zdaniem Ala udawanie, że nie stało się nic złego, było tożsame z mówieniem Stephenowi, że może dalej sobie na nie pozwalać.

Al i Michael oglądali mecz w telewizji, a Stephanie i Peter rysowali przy stole w jadalni. Nazajutrz nie było szkoły, więc Al nie przejmował się tym, że dzieciaki jeszcze nie śpią. Jednak przyzwyczaili się wcześnie kłaść do łóżek i wkrótce wszyscy byli tak śpiący, że porozchodzili się do swoich pokojów.

Al po meczu został sam. Oglądał powtórkę sitcomu. I rozmyślał.

Nie miał ochoty iść spać. Nie sam. Sam mógłby leżeć bezsennie… czekając… na muzykę… na głosy… na wibracje…

Trzy godziny później powieki zaczęły mu ciążyć, a głowa opadać na pierś. Wreszcie się poddał, wyłączył telewizor, pogasił światła i poszedł do łóżka.

Gdy już się umościł, jego zmęczenie momentalnie zniknęło i zgodnie ze swoimi przewidywaniami leżał rozbudzony, wiercąc się i kręcąc w poszukiwaniu wygodnej pozycji.

Wreszcie udało mu się ułożyć. Oczy same mu się zamknęły, poczuł, jak opada na niego ciężki sen, jak jego oddech zwalnia, poczuł, że zasypia, gdy…

Usłyszał muzykę i gwałtownie otworzył oczy. Usiadł. To była ta sama muzyka, co zawsze: stara i blaszana, przywołująca obraz czarno-białych zdjęć pomieszczeń pełnych pajęczyn, starych fotografii w bogato zdobionych ramkach i równie starych mebli.

Al znowu się położył, przyciskając dłonie do oczu i jęcząc.

Słabe głosy się roześmiały. Muzyka grała dalej. Było jednak coś jeszcze.

Szczekanie. Na dworze znowu szczekał ten pies.

Mam to gdzieś, pomyślał. *Mam to wszystko gdzieś. Może i nie śpię, ale nie zamierzam ruszyć się z łóżka.*

Muzyka grała. Głosy rozmawiały i śmiały się radośnie. Pies szczekał coraz zajadlej.

Al odwrócił się na brzuch, wcisnął głowę w materac i naciągnął poduszkę na uszy.

Ale nadal to słyszał. Fantomowe przyjęcie, szczekanie psa…

A wtedy poczuł, jak przez jego ciało przenika znajome wibrowanie, jak wprawia kości w drżenie. Długimi, kościstymi palcami przesunęło po jego kolanach i łokciach, po ramionach i czaszce, wibrując coraz mocniej i mocniej.

Al znowu przetoczył się na plecy i zaczął dziko skopywać z siebie kołdrę. Z sykiem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, gdy stoczył się z łóżka i upadł na podłogę, a potem odpełznął kilka stóp, zanim się podniósł. Idąc tyłem, wpadł na komodę, stanął tam i zagapił się na łóżko.

Niczego nie widział. Nie było żadnych oznak tego, że łóżko podlega jakiemuś złowieszczemu ruchowi. Sięgnął za siebie i zapalił małą lampę stojącą na komodzie, ale nadal niczego nie było widać.

Za to sporo było słychać.

Gdzieś w głębi domu grała muzyka, z którą mieszały się stłumione głosy i śmiechy.

Na dworze pies ujadał tak, jakby był gotów atakować i zabijać.

Al zapalił lampę sufitową, wciągnął spodnie i wyszedł na krótki korytarzyk, szybkimi, gwałtownymi ruchami włączając wszystkie światła po drodze.

Muzyka grała.

Głosy pomrukiwały.

Na dole znowu było zupełnie ciemno.

Al był w połowie schodów, gdy dźwięki zamilkły.

Cisza.

Poczuł ostry ból w ręce i dotarło do niego, że ze wszystkich sił zaciska dłoń na poręczy.

Na dworze pies szczekał tak głośno, że aż zaczynał chrypnąć.

Al zawrócił, wszedł na górę i poszedł do salonu – gdzie zapalił dwie lampy – a potem przez hol do jadalni, gdzie nagle zamarł.

Przy oknie ktoś stał i patrzył w noc; żaluzje były uniesione, a sylwetka tej postaci rysowała się w lekkim świetle księżyca odbijanego przez śnieg.

Al stał w drzwiach w całkowitym bezruchu, nie licząc dłoni, którymi macał ścianę w poszukiwaniu włącznika światła. Postać odwróciła się i spojrzała na niego.

Al zapalił lampę, a jadalnia wypełniła się światłem.

– Stephen – odetchnął z ulgą.

– Czyjemuś psu – zaśmiał się chłopak – kompletnie tam odbija.

– Puszczasz teraz jakąś muzykę?

Stephen podrapał się po karku i powoli ruszył w stronę drzwi.

– Muzykę? Nie, *ja* niczego nie włączałem.

Al łagodnie chwycił go za ramię.

– Nikogo tam nie ma? Nie przemyciłeś do domu jakichś kolegów?

– Co? Tu jest już dostatecznie dużo ludzi.

Al go puścił, a chłopak przeszedł przez hol… w dół schodów…

Później Al będzie się zastanawiał nad słowami Stephena i tym, jak je wypowiedział; będą go męczyć, a nawet przerażać. Ale w tej chwili potraktował je nader powierzchownie. Gdy Stephen wyszedł, Al podszedł do okna i popatrzył na tego psa.

Wyglądał na labradora i teraz był bliżej domu, ale wydawał się być spięty, gotowy uciekać. Jeszcze trochę i mógłby obwąchać narożnik budynku.

Al opuścił żaluzje, wrócił do sypialni, ubrał się i wyszedł na dwór. Ruszył biegiem w stronę psa, wymachując rękami i krzycząc.

– Uciekaj! Już! Do domu!

Rzucił, a nawet kopnął w psa śniegiem, ale zwierzę było tak zaabsorbowane domem, że ledwie zwróciło na niego uwagę. Wreszcie pies się otrząsnął, zamilkł i odwrócił, zaskomlał trochę, kilka razy szczeknął na Ala i odszedł.

Mężczyzna wrócił do środka, rozebrał się i przez chwilę patrzył na łóżko, zastanawiając się, czy można się w nim bezpiecznie położyć. Uświadomił sobie, że to i tak bez znaczenia, bo kompletnie się rozbudził. W szlafroku poszedł do kuchni i otworzył lodówkę.

– A niech to szlag – szepnął. – Nie ma piwa.

Nadal wpatrywał się we wnętrze lodówki, gdy znowu rozległo się szczekanie.

Z hukiem zatrzasnął drzwiczki. Szkło i puszki w środku zadzwoniły. Zacisnął pięści. Szczekanie było bliższe, głośniejsze, bardziej zajadłe. Al zamknął oczy i oddychał głośno przez nos. *O rany*, myślał, *ależ bym się napił piwa*.

Poszedł do salonu i opadł na swój fotel. Kciuk drżał mu na pilocie od telewizora.

– Trzeba będzie z kimś pogadać o tym cholernym psie – wymamrotał, przerzucając kanały.

Jego szczekanie było niezmordowane.

Natrafił na jakiś stary western i odłożył pilota na stolik, na którym zobaczył różaniec. Carmen rozkładała je po całym domu. Chwycił go niezgrabnie drżącą dłonią, mówiąc sobie w duchu, że to nie jest konieczne, że nie jest zdenerwowany, że się nie boi, po prostu nie może zasnąć, to wszystko.

Pies szczekał i szczekał…

– Zdrowaś Mario, łaski pełna… – wyszeptał Al.

Szczekanie… szczekanie…

Gdzieś z tyłu głowy pomyślał – choć nie miał pewności, takie to było stłumione uczucie – że słyszy dźwięk blaszanej muzyki…

✞ ✞ ✞

Carmen wróciła trzy dni później.

Jej ojca znaleziono w małej, zapuszczonej przyczepie. Nie było śladów po kulach ani specjalnie dużo krwi, zatem przypuszczano, że został zamordowany gdzie indziej przy użyciu jego własnego pistoletu kaliber .22, i dopiero później przeniesiony do przyczepy. Policjanci oczywiście niczego takiego nie powiedzieli, ale wydawali się uważać, że schwytanie mordercy nie było szczególnie ważną sprawą – w końcu ofiarą był stary pijak, który ledwie żył i który obracał się pośród największych mętów, pomiędzy ludźmi, dla których pozbawienie kogoś życia nie było niczym niezwykłym.

Carmen i jej brat zajęli się pogrzebem, a ponieważ ona chciała możliwie szybko wracać do domu, zostawiła Everetta jako dysponenta majątku ich ojca – jaki by ten majątek nie był.

Cieszyła się, że jest w domu, a Al cieszył się, że wróciła. Pod jej nieobecność wszystko szło gładko, tak powiedział jej, poza tym, że za nią tęsknili.

Wszystko było dobrze, podsumował Al. Carmen wyczuwała jednak, że coś jednak było nie w porządku. Nie była w stanie określić co… nie było to nic widocznego… nikt nic nie powiedział…

To tylko moja wyobraźnia, powiedziała sobie. *Po tych ostatnich kilku dniach wszystko wydaje się jakieś mroczne.*

Zaczęli swoje normalne przygotowania do Bożego Narodzenia. Al kupił choinkę, a Carmen z dziećmi – oprócz Stephena – ją ubrali.

Pod nieobecność Carmen Al codziennie zawoził chłopaka do ojca Wheatleya, a ona po powrocie robiła to samo. Opierała się pokusie pytania syna o te wizyty u księdza, mówiąc sobie, że wkrótce ujrzy

ich rezultaty. Jednak nic z tego. Stephen nadal odzywał się niegrzecznie i bluźnierczo, poza tym był cichy i ponury.

Skoro rozmowy z ojcem Wheatleyem nie pomagały, miała nadzieję, że pomogą jej modlitwy. Chciała odzyskać swojego synka.

Carmen powiesiła na drzwiach wieniec, tu i ówdzie jakiś ostrokrzew i girlandy, i wyciągnęła kasety z kolędami, które nazbierali przez lata. Często je puszczała. W lodówce schowała ajerkoniak.

Michael, Stephanie i Peter ulepili przed domem bałwana, a Carmen dała im miotłę, stary szalik i czapkę, żeby go odpowiednio przystroili.

Znowu, jak co roku, obejrzeli *A Christmas Carol i Wonderful Life.*

Robili te same rzeczy, co w każde Boże Narodzenie, wszystko to, co sprawiało, że dobrze się czuli, to, co wprawiało ich w świąteczny nastrój i sprawiało, że ten okres był taki wyjątkowy. Jednak tym razem, w miarę jak zbliżała się Gwiazdka, a potem minęła, nic z tego do końca nie działało. Nie było tak samo, czegoś brakowało, czegoś innego niż zwykły chętny i radosny udział Stephena.

Carmen nie wiedziała, co czują pozostali, ale nieważne, jak bardzo się starała, żeby wszystko grało, po prostu ta Gwiazdka nie była Gwiazdką. Nie czuła tego, co zawsze podczas Bożego Narodzenia.

Nieważne, jak głupio by to nie brzmiało, Carmen po prostu nie czuła się bezpiecznie.

Nawet we własnym domu.

Być może zwłaszcza we własnym domu.

TRZYNAŚCIE

POCZĄTEK NOWEGO ROKU

Z okien zniknęły świąteczne ozdoby, a wkrótce zastąpiły je walentynkowe serduszka i bombonierki. Sznury kolorowych lampek i błyszczących girland wróciły do swoich pudeł. Kasety z kolędami znalazły się na półkach, na których miały zostać do kolejnych świąt. Choinka została wyniesiona, a suche igły zebrane z dywanu.

W całym mieście łyse choinki czekały na śmieciarzy, na ich suchych gałązkach wciąż były pasma lamety i kawałki łańcuchów, czasem zrywane przez wiatr, który gnał je potem po śniegu i lodzie.

Niebo wciąż było stalowoszare, a powietrze ostre jak nóż. Bezlistne gałęzie drzew sięgały w niebo niczym artretyczne szpony. Płatki śniegu wreszcie zmieniły się w krople deszczu, a leżący na ziemi śnieg w gęste, lodowate błoto…

✞ ✞ ✞

– Spotykamy się już od jakiegoś czasu, a wciąż mam wrażenie, jakbym niewiele się o tobie dowiedział. Dlaczego?

– Bo ja wiem. Może dlatego, że mało o sobie mówię, co?

– Tak, pewnie tak. A dlaczego?

– Mm. Chyba po prostu nie lubię mówić o sobie.

– Rozumiem. To może byłoby łatwiej, gdybym zadawał ci pytania?

– Cały czas ojciec je zadaje.

– Tak, masz rację. No… chyba się trochę pogubiłem. Widzisz, kilka miesięcy temu twoja matka poprosiła, żebym z tobą porozmawiał, bo zauważyła w tobie nieprzyjemne zmiany. Albo przynajmniej tak sądziła. Zgodziłem się. Przez jakiś czas rozmawialiśmy pięć razy w tygodniu, potem dwa razy, teraz raz. Przez cały ten czas sądziłem, że jeśli dam ci szansę, to powiesz mi, co cię dręczy, co jest nie tak. Teraz zacząłem myśleć, że się pomyliłem. Może twoja matka też się pomyliła. Stephen, powiedz proszę. Mylimy się?

Stephen siedział tam, gdzie zawsze siadał w gabinecie ojca Wheatleya: na brązowej, skórzanej sofie, z prawą nogą założoną na lewą, rękami za głową, łokciami sterczącymi na boki jak małe skrzydła.

Ojciec Wheatley siedział na krześle po drugiej stronie stolika kawowego, naprzeciwko sofy, twarzą do Stephena. Pochylał się z łokciami na kolanach, jego szczupłe dłonie zwisały luźno. Był po pięćdziesiątce, a na głowie miał wianuszek białych włosów. Nosił grube szkła w szylkretowych oprawkach; miał zwyczaj zdejmować je i ściskać nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym.

– Co do czego? – spytał Stephen.

Ojciec Wheatly znowu to zrobił – zdjął okulary, ścisnął nasadę nosa – i westchnął lekko.

– W sumie to sam nie wiem. Czy się mylimy co do tego, że… hm, jest z tobą coś nie tak? Stephen, powiedz mi, czy ostatnio coś cię wytrąca z równowagi?

– Jak bardzo ostatnio?

– No… tak generalnie?

– Taa. Rak. To mnie wytrąca z równowagi.

W jego głosie nie było sarkazmu; mówił spokojnym, pozbawionym ekspresji tonem.

– No jasne. To całkowicie zrozumiałe. Ale nasze modlitwy zostały wysłuchane. Twój rak jest w remisji i wygląda na to, że bardzo dobrze się miewasz. Przynajmniej fizycznie. Mówię o czymś, co może zraniło twoje uczucia, coś, co cię rozzłościło albo… albo nawet przestraszyło. Czy jest coś takiego?

Stephen powoli wciągnął dolną wargę między zęby. Przygryzał ją lekko, błądząc wzrokiem po pokoju, aż wreszcie znowu spojrzał na ojca Wheatleya.

– Nie – odparł. – Nie, nic z tych rzeczy. Nic mi nie jest.

– Nie zauważasz, żebyś zachowywał się jakoś inaczej?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Inaczej niż kiedy?

– Inaczej niż… zwykle?

– Yyy. Nic mi o tym nie wiadomo.

– A co z tym, jak się ubierasz? Z twoimi ubraniami?

– A co z nimi? – W głosie Stephena pojawiła się delikatnie nuta obronna.

– No, to nie są takie ubrania, jakie nosisz zazwyczaj, prawda? Mówię o tej kurtce, na przykład. Czy koszulkach, które nosisz po domu.

– Koszulkach? Co, rozmawia ksiądz z moją matką?

– Oczywiście. Mówi, że nosisz koszulki z grupami rockowymi i napisami, które są… no, nieprzyzwoite. Nawet bluźniercze. Jak na twojej skórzanej kurtce.

– No i? I co w tym złego? Masa dzieciaków takie nosi.

– Ale twoja matka mówi, że *nigdy* nie nosiłeś takich rzeczy ani nie słuchałeś takiej muzyki.

Chłopak wzruszył ramionami.

– No wiem.

– Tak, ale twoja matka chyba sądzi, że taka nagła zmiana została spowodowana przez… no, przez coś. To prawda? Stało się coś, co…

– Nie. Mój przyjaciel, Jason, kiedyś puścił mi swoje kasety. Muzyka mi się spodobała. Dał mi kilka starych koszulek i tę starą kurtkę. Po prostu ona nie podoba się rodzicom. Muzyka, ciuchy. Więc zachowują się tak, jakby ze mną było coś nie tak.

– Cóż, Stephen, sam muszę przyznać, że ta kurtka jest bluźniercza. Ten krzyż na plecach jest…

– Ale *ze mną* jest wszystko w porządku. Jeżeli to z tego powodu tutaj przychodzę, to… – Kolejne wzruszenie ramion. – To marnuję ojca czas. Przykro mi.

Ojciec Wheatley przez długo chwilę przypatrywał się Stephenowi, badał jego twarz spojrzeniem pełnym namysłu.

– Chcesz, żebym powiedział to twojej matce? – odezwał się wreszcie.

– Nie wiem. A co ojciec uważa, że powinien jej powiedzieć? W końcu jest ojciec księdzem.

– Cóż, przypuszczam, że skoro uważasz te wizyty za stratę czasu… to nią są. Jeśli je zawiesimy, to obiecasz mi coś?

Wzruszenie ramion.

– Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował porozmawiać z kimś o czymś, co… no, o czym może nie chciałbyś rozmawiać ze swoimi rodzicami czy kolegami… przyjdziesz do mnie? Chętnie z tobą usiądę i posłucham.

– Spoko – uśmiechnął się Stephen.

✞ ✞ ✞

– Carmen, muszę przyznać, że twój syn przechodzi bóle dojrzewania.

– Co ksiądz ma na myśli? Tak dokładnie?

– Cóż, buntuje się. Cieszy się, robiąc rzeczy, które was szokują i obrażają. To dlatego gwiazdy rocka zarabiają tyle pieniędzy, nie mając za grosz talentu – zaśmiał się. – Bo dzieci wiedzą, że ich rodzicom się nie podobają.

– Ojcze, ale to coś więcej. – Carmen mocniej ścisnęła słuchawkę. – On się… zmienił. Jego osobowość, jego zachowanie… jakby nie chciał mieć już z nami nic wspólnego. Prawie cały czas siedzi w swoim pokoju. Przychodzi na górę tylko do łazienki i żeby coś zjeść. Siedzi tam na dole w kącie i mamrocze do siebie, słuchając na słuchawkach tej koszmarnej muzyki. Nosi te koszulki, tę kurtkę, pierścienie z czaszkami, wszystkie te heavymetalowe dziwactwa. Nawet nie wiem, skąd je bierze, choć podejrzewam, że ma to coś wspólnego z chłopakiem, z którym się ostatnio trzyma. Ojcze, Stephen to już nie ten sam chłopiec.

– Tak, chyba wszystkie pociechy w pewnym momencie osiągają wiek, gdy nie są już tymi samymi dziećmi. Ale niektóre zmieniają się drastyczniej. Wydaje się, że tak właśnie jest w tym przypadku.

– Tak, to prawda. – Zamknęła oczy i uśmiechnęła się lekko, z ulgą, że wreszcie zaczyna rozumieć.

– Niestety podczas tych naszych spotkań nie zaobserwowałem nic z tego, o czym mówisz. Och, bywał drażliwy i zniecierpliwiony. Ale zachowywał się dobrze. I tak, zauważyłem tę kurtkę i pierścienie. Myślę, że twoje podejrzenia co do tego kolegi Stephena są słuszne. Wspomniał o jakimś Jasonie, który puszczał mu tę muzykę. Wydaje mi się, że ma na niego zły wpływ.

– Ojcze, proszę mi powiedzieć… Czy rozmawialiście o… o naszym domu? Tym, w którym mieszkamy?

– Nie. Nie przypominam sobie, żeby o tym w ogóle wspominał. Dlaczego pytasz?

– Och, tak sobie. Czyli uważa ojciec… No, że nic więcej nie może zrobić?

Zaśmiał się.

– Carmen, moja droga, ja jestem tylko księdzem. Ale jeśli chcesz, mogę ci polecić terapeutę.

– Terapeutę?

– Tak. Dobrego, katolickiego terapeutę, który specjalizuje się właśnie w takich sytuacjach. Pracuje głównie z nastolatkami.

Carmen zmarszczyła brwi.

– Terapeuta?

– A co w tym złego? Sądzę, że byłby to dobry ruch.

– Uważa ojciec, że Stephen jest… no wie ojciec, chory psychicznie?

– Moja droga, oczywiście, że nie. Myślę, że się pogubił. W sumie powiedziałbym, że chłopak w jego wieku, który się *nie* pogubił, może być chory psychicznie. Dorastanie to trudny okres, a Stephen obecnie przechodzi przez jego najtrudniejszy etap. Do tego dźwiga ciężar swojej choroby, z czym większość nastolatków nie musi sobie radzić. Nie, Carmen, szpitale psychiatryczne są dla chorych psychicznie. Terapeuci są dla ludzi, na których spadło trochę za dużo na raz. Są dla ludzi, którzy nie dają sobie rady z problemami, które każdemu z nas od czasu do czasu przynosi życie. Terapeuci są dla wszystkich. Nie, to, że zasugerowałem terapię, nie oznacza, że według mnie twój syn jest chory psychicznie. W najmniejszym stopniu.

Carmen nie wiedziała, co powiedzieć. Nie zgadzała się z ojcem Wheatleyem, a to martwiło ją nawet bardziej niż jej sytuacja. Cicho westchnęła do telefonu.

– Carmen, masz długopis? Podam ci jego nazwisko i numer telefonu. Zadzwoń, wyjaśnij problem i umów Stephena na wizytę. Jeśli chcesz, możecie się spotkać całą rodziną. To już zależy od was.

Ojciec Wheatley podyktował jej dane. Nie zapisała ich.

✞ ✞ ✞

Stephen zdecydował się przenieść do pokoju, który pierwotnie był jego, ale powiedział o tym tylko Michaelowi. Najpierw przeniósł tam wszystkie swoje rzeczy, a potem, z pomocą brata, łóżko.

– Jesteś pewny, że chcesz tu spać? – zapytał Michael.

– Taa. A co?

– Myślałem, że nie lubisz tego pokoju.

– No, nie jest aż taki zły.

Michael zmarszczył brwi.

– Przecież na początku nie lubiłeś nawet *naszego* pokoju.

– No, głupie to było.

Michael nadal marszczył brwi. Ręce opierał na biodrach, oczy miał zmrużone i z troską patrzył na brata.

– Niedawno nie było takie głupie. Skąd ta nagła zmiana?

– Po prostu chcę mieć własny pokój. To coś złego?

– Stephen, na pewno dobrze się czujesz?

Chłopak parsknął śmiechem.

– A co?

– No bo ostatnio jesteś… bo ja wiem, jakiś dziwny.

Kolejny śmiech.

– Zaczynasz gadać jak oni. – Kciukiem wskazał na rodziców będących piętro wyżej.

– No, może i tak, ale… Już cię praktycznie nie widuję. Ciągle siedzisz z Jasonem. I zawsze nosisz te dziwne koszulki i sygnety, słuchasz tej muzyki i…

– Och, po prostu jesteś jeszcze za mały. Ty też będziesz słuchać tej muzyki. Będziesz nosił te koszulki, bo będziesz lubił te zespoły. Sam zobaczysz.

Czoło Michaela powoli się wygładziło. Uśmiechnął się półgębkiem.

– Tak myślisz?

– Pewnie.

– No dobra. – Michael wzruszył ramionami.

– Popatrz na to inaczej. Znowu masz pokój dla siebie.

– No tak, ale… W sumie lubiłem, kiedy to był nasz pokój.

– Przyzwyczaisz się – zaśmiał się Stephen.

✞ ✞ ✞

Carmen rozłożyła na stole w jadalni comiesięczne rachunki, ale zainteresowana była szczególnie jednym. Zauważyła, że Al – siedział przy stole po jej lewej stronie – wpatrywał się w rachunek za prąd, który ona już widziała; obserwowała, jak jego wargi zaciskają się w prostą linię, oczy robią coraz większe, ramiona obwisają w szoku, aż wreszcie wybuchnął.

– Jasna cholera, widziałaś *to*?

Carmen tylko skinęła głową.

– To jest… no do chuja ciężkiego, to jakaś bzdura, co my niby robimy, oświetlamy całą okolicę?

Popatrzył na nią. Usta miał otwarte, rachunek trzymał przed sobą i czekał na jej odpowiedź.

– Yyy, myślę… – zaczęła z wahaniem – że światło na dole pali się całymi nocami.

– Nadal to robią? – spytał głosem tak cichym, że ledwie go słyszała.

– Chyba tak.

Wstał i walnął pięścią w blat. Carmen słyszała, jak zazgrzytał zębami. Odwrócił się, wyszedł z jadalni i skierował prosto na dół.

Kobieta podniosła się i pospiesznie ruszyła za nim, mając nadzieję, że w jej obecności nie posunie się zbyt daleko.

– Stephen? – zawołał, idąc po schodach. – Stephen, gdzie… Co tu się do diabła dzieje?

Carmen zeszła do piwnicy akurat w chwili, by usłyszeć, jak Stephen wyjaśnia, że Michael pomaga mu się przenieść do jego pokoju.

– Skoro nie boisz się mieszkać sam w tym pokoju, to dlaczego, u diabła, nadal przez całą noc palicie tutaj światła? – zagrzmiał Al.

Stephen i Michael popatrzyli na niego w milczeniu.

Al wyciągnął rachunek.

– Spójrzcie na to. Rachunek za prąd. Chcecie policzyć wszystkie cyferki w tej małej kratce na dole? Wiecie, skąd się tam wzięły? Bo

wy dwaj na całą noc zostawiacie te cholerne lampy, właśnie stąd!

Chłopcy nic nie odpowiedzieli.

Al dłonią z rachunkiem uderzył o udo.

– A skoro tak, to wiecie, co zrobię? *Pokażę* wam, co.

Ruszając się tak, jakby bardzo mu się spieszyło, Al przemknął najpierw przez pokój Michaela, a potem Stephena, wykręcając wszystkie żarówki. Włożył je do pustego kartonu, który znalazł w kącie pokoju Stephena.

– Proszę, nie rób tego – powiedział cicho Michael.

– Za późno. Trzeba było o tym pomyśleć, gdy zostawialiście światło na całą noc, nabijając rachunek pod sam sufit. Wtedy trzeba było myśleć.

– Ale jak będziemy odrabiać lekcje? – zapytał Michael.

– Na górze. A na dół schodzić do spania. – Al, trzymając pudełko pod pachą, stanął przy schodach i odwrócił się do chłopców. – Na jakiś czas skończą się pieniądze na zachcianki. Pójdą na ten cholerny rachunek – rzucił, a potem ciężko poszedł na górę.

– No, chłopcy – odezwała się Carmen, zakładając ręce na piersiach. – Nie wiem, co mam wam powiedzieć. Chyba właśnie została ustalona pewna zasada.

Michael westchnął i spuścił głowę.

Stephen po prostu na nią patrzył. Jak dotąd nie odezwał się ani słowem, patrzył tylko z miną pozbawioną wyrazu.

Carmen wzruszyła ramionami.

– Przede wszystkim powinniście słuchać taty.

– On nie jest naszym tatą – powiedział Stephen. Głos miał cichy i płaski; ledwie poruszył wargami.

Carmen, zaszokowana, gwałtownie odwróciła w jego stronę głowę. Stephen nigdy wcześniej nie mówił takich rzeczy. Zawsze nazywał Ala tatą, swoim kolegom zawsze przedstawiał go jako „mojego tatę”.

– Niewiele się odzywasz – powiedziała Carmen zduszonym głosem – ale jak już to zrobisz, to musi być to coś wrednego, co?

– Cóż. – Stephen wzruszył ramionami. – Przecież nie jest.

– Chyba dość już powiedziałeś – odparła. Odwróciła się, żeby wejść po schodach, ale przystanęła i znów zwróciła do Stephena. – Jeśli on nie jest waszym ojcem, to chciałabym wiedzieć, kto nim jest. Kto przez lata robił dla ciebie wszystko, co trzeba? Kto zawsze zabierał cię na ryby? Kto chciał rzucić *wszystko*, żeby być przy tobie, gdy chorowałeś? I kto był…

– To nie znaczy, że jest moim ojcem – przerwał jej Stephen.

Jego głos był ledwie szeptem, ale poczuła się, jakby ją nim smagnął. Przez chwilę myślała, że może do niego dotarła, że może udało jej się w końcu powiedzieć coś, co zadziała, co zmusi go do myślenia.

Patrząc na jego zamkniętą, pozbawioną wyrazu twarz, uświadomiła sobie, że się grubo myliła.

Odwróciła się i wbiegła po schodach, mając nadzieję, że chłopcy nie zauważyli zbierających się jej w kącikach oczu łez.

✞ ✞ ✞

– Nie musiałeś tego mówić – odezwał się ze złością Michael, gdy tylko ich matka wyszła. Stał przy schodach, patrząc na Stephena, który nie ruszył się ze swojego pokoju.

– Czego?

– Tego o tacie. To było gówniane.

– Ale prawdziwe, nie? To, że *mówimy* do niego „tato”, nie znaczy, że nim jest, zgadza się?

Michael przekrzywił głowę i zza zwężonych powiek popatrzył na brata; skrzywił usta z niechęcią i powoli pokręcił głową.

– Stephen, co jest z tobą nie tak? Co się dzieje?

Chłopak zaczął się śmiać.

– Nie wiem. A co jest z *tobą*?

Wciąż się śmiejąc, wyciągnął rękę i zamknął drzwi od pokoju.

Michael słyszał, jak jego brat wciąż się śmieje. Zaglądając przez przeszklone drzwi, zobaczył, że Stephen opadł na łóżko.

✞ ✞ ✞

Al pogrążony był w spokojnym śnie bez snów – rzadkość w ostatnim czasie – gdy przebudził się gwałtownie. Początkowo sądził, że to znowu łóżko, ale nie.

Usiadł i w mroku zobaczył, że koło łóżka stoi Michael.

– Przepraszam – wyszeptał chłopak.

– Co się dzieje?

– Światło się pali. W moim pokoju. Obudziło mnie.

– Jezu, Mike, to je zgaś. – Al odwrócił się i zaczął ponownie mościć się w pościeli, by zapaść w sen.

– Ale tato, zabrałeś wszystkie żarówki.

Al zamarł. Zaczęło mu walić serce, gdy uświadomił sobie, że faktycznie to zrobił.

– Jak to, światło się pali? – wyszeptał do Michaela.

– No… po prostu. Świeci się.

– Wkręciłeś żarówkę?

– Nie.

– Czyli Stephen musiał…

– Yyy… tam nie ma żarówki.

Al spojrzał na Carmen, która drgnęła i sapnęła przez sen. Gdy się upewnił, że się nie obudziła, odsunął kołdrę, wstał i nałożył szlafrok. Poszedł za Michaelem.

Był pewien, że chłopcu coś się przyśniło. Był tego absolutnie pewien. Idąc za nim, cały czas to sobie powtarzał.

– Dobra, Michael, dajże spokój, co zrobiłeś? Wziąłeś żarówkę z szuflady w kuchni?

– Nie! – syknął chłopak. – Tam *nie ma* żadnej żarówki!

Al przystanął w połowie schodów. Poczuł dreszcz na karku. Poczuł, jak ściska mu się żołądek, a jądra cofają w głąb ciała.

Michael szedł na dół, aż dotarło do niego, że Al za nim nie idzie. Zatrzymał się i obejrzał.

– Idziesz?

– Tak, tak… już idę – wykrztusił Al z trudem nieco ochrypłym głosem.

Znowu ruszył po schodach, ale teraz znacznie wolniej, zaciskając dłoń na poręczy. Gdy znalazł się na dole, przez długą chwilę stał w plamie światła padającego z lewej strony, aż wreszcie poszedł za Michaelem do jego pokoju.

– Widzisz? – powiedział z lekkim wyrzutem w głosie Michael. – Widzisz, o czym mówię?

Al spojrzał.

Oddech uwiązł mu w gardle.

Z pustej obsadki wydobywało się mocne, białe światło, które zmusiło go do zmrużenia oczu. Jednak nie było to normalne światło. Było w nim coś bardzo dziwnego, coś głęboko nienaturalnego.

Al patrzył w nie z otwartymi ustami, którymi poruszał lekko, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał i po prostu gapił się w lśniącą złośliwość szarawobiałego światła.

Blask zniknął i zostali w ciemności.

Al zamknął usta, wziął głęboki wdech i wypuścił powoli powietrze.

– Widziałeś? – szepnął Michael.

Al przez chwilę się nie odzywał. Wiedział, że głos go zawiedzie. Miał nadzieję, że Michael nie zobaczył jego miny, jaką zrobił na widok tego światła.

– Co widziałem? – warknął.

– To światło.

– Do jasnej cholery, jakie światło, przecież tu jest ciemno jak w dupie!

Łagodny blask księżyca padający od okna zalśnił w rozszerzonych z niedowierzania oczach Michaela. Nic nie odpowiedział.

– Co jest z tobą, do diabła? Budzisz mnie w środku nocy, żeby… po… po… Po prostu idź do łóżka, do ciężkiej cholery, i to *już*.

Al odwrócił się od Michaela i wszedł po schodach, zaciskając pięści tak, by nie drżały.

W sypialni zdjął szlafrok i usiadł na skraju łóżka, po czym poderwał się gwałtownie, spoglądając na mebel.

Łóżko wibrowało.

Al jęknął bezwiednie. Spojrzał na Carmen i miał nadzieję, modlił się, żeby się nie obudziła, gdy sięgał po szlafrok i wypadał z pokoju.

W kuchni zapalił światło i otworzył sobie piwo. Był w jego połowie, gdy uświadomił sobie, że ma łzy na policzkach i cicho szlocha.

✞ ✞ ✞

– Wiesz, miałeś rację – wyszeptał głos.

Stephen leżał w ciemnościach, sam w swoim pokoju, całkowicie rozbudzony.

– *Nie jest* twoim ojcem. Prawda?

Stephen powoli pokręcił głową na poduszce.

– Nie wierzy w nic, co mówisz. Nie ufa ci. Nie szanuje cię. Prawda, Stephen?

Znowu pokręcił głową.

– Prawda?

– Tak – szepnął chłopak.

– Nigdy ci nic nie da. Zgadza się?

– Tak.

– Jedynie nie pozwoli ci dorosnąć.

– Tak.

– Nie dopuści do tego, żebyś stał się tym, co ci obiecałem. Zgadza się?

– Tak.
– Nie chcesz tego, prawda?
– Nie.
– A dlaczego?
– Bo… ty tak powiedziałeś.
– A kim ja jestem, Stephen? Kim ja jestem, żeby tak mówić?
– Moim ojcem. Jesteś moim ojcem.
– Kim jestem, Stephen?
– Jesteś… Bogiem.
– Zgadza się, Stephen, mój synu. Zgadza się.

CZTERNAŚCIE

PRZEDWIOŚNIE

Temperatura na zewnątrz stopniowo rosła i szarość zimy ustępowała niechętnie plamom zieleni. Jednak temperatura w domu Snedekerów stale spadała, a nastroje się pogarszały.

Coraz częściej się zdarzało, że jedyne dźwięki, które słychać było w tym domu, dobiegały z telewizora, który włączony był non stop. Żaden z mieszkańców już się zbytnio nie odzywał. Siadali razem do posiłku tylko w weekendy, a czasami nawet i wtedy nie; zamiast tego kładli sobie talerze na kolanach albo na tacach.

To nie tak, że byli na siebie źli; zupełnie nie o to chodziło. Wydawało się raczej, że wszyscy są zatopieni w swoich rozmyślaniach, jakby byli zbyt zajęci męczącymi ich rzeczami, obracali je w głowach, gryźli się nimi. Tylko Stephanie i Peter wciąż byli zwyczajnie skorzy do zabawy, ale nawet oni zdawali się zauważać tę zmianę i trochę się nią martwili. Rozumieli też chyba, że lepiej będzie nikogo nie pytać, co jest nie tak, i spędzali więcej czasu razem, bawiąc się wspólnie i rozmawiając.

Michael możliwie dużo czasu spędzał poza domem, z kolegami. Kiedyś sporo czasu poświęcał Stephenowi, ale obecnie rzadko się to zdarzało.

A on sam był dla siebie towarzystwem. Gdy był w domu, siedział na dole. Zamknięte i zaryglowane drzwi tłumiły elektryczne wizgi heavy

metalu. Czasami było słychać, jak się śmieje, sam, w swoim pokoju…

✞ ✞ ✞

Jak do tego doszło? – zastanawiała się któregoś dnia Carmen. *Kiedy to się zaczęło? Kiedy staliśmy się tacy?*

Siedziała przy biurku, paląc papierosa i próbując wskazać moment, w którym jej rodzina się zmieniła. To była subtelna zmiana, tak, ale niemniej jednak ewidentna. Przez jej dom, przez jej rodzinę przeszedł jakiś dreszcz, a ona nic z tym nie mogła zrobić. Czuła się przez to niemal tak bezradna jak wtedy, gdy dowiedziała się, że Stephen ma raka.

Stephen…

Czasami łapała się na tym, że za nim tęskni, jakby był na jakiejś wycieczce. Miała wrażenie, że wyjechał, a zastąpił go jakiś obcy, który snuł się po domu, ignorując wszystkich, uśmiechając się bez powodu, czasami mamrocząc do siebie, czasami się śmiejąc, noszący te koszmarne koszulki z czaszkami i demonami, i zbezczeszczonymi symbolami religijnymi. Nawet *wyglądał* jak ktoś obcy: włosy miał coraz dłuższe i wydawał się nie przejmować swoim wyglądem, jakkolwiek nie potrafiłaby wskazać konkretnej zmiany, to nawet jego oczy nie wyglądały już znajomo.

– Al, nie sądzisz, że powinniśmy coś zrobić ze Stephenem? – spytała kilka dni wcześniej, gdy kładli się spać.

– A niby co? Co moglibyśmy zrobić? Jest dosyć duży, żeby wiedzieć, jak się zachowuje, wie, co robi, więc co my mamy zrobić?

Al też się zmienił; ostatnio był bardziej milczący niż zwykle, ale gdy się odzywał brzmiał tak, jakby był na granicy złości, wyrzucając z siebie słowa w taki sposób, jakby chciał się ich pozbyć, zanim w nim eksplodują. Więcej też pił, a tego wieczoru w jego oddechu mocno było czuć piwo.

– No właśnie w tym rzecz – powiedziała. – Może właśnie *nie wie*, co robi.

– Może i zdziwaczał, ale nie zgłupiał.

– Nie, chcę powiedzieć… No, ojciec Wheatley zasugerował, że może, hm… może Stephen powinien pójść na terapię.

Parsknął ostrym, zimnym śmiechem.

– Na terapię? A wiesz, ile to kosztuje? *Za godzinę?*

– Ale jeśli faktycznie coś jest nie tak, może byłoby warto spróbować?

– Coś nie tak to jest z tym cholernym gówniarzem, z którym się zadaje, ale to ty uważasz, że powinien mieć przyjaciół, ty uważasz, że mu to pomoże. Nie. Nie wierzę w płacenie komuś za coś, co rodzina powinna być w stanie zrobić sama.

– Cóż, jak dotąd nie bardzo nam to wychodzi.

– Aha, jasne, czyli to moja wina, tak?

– Niczego takiego nie powiedziałam. Po prostu się o niego martwię. Dzieje się z nim coś złego, a ja cały czas się głowię nad tym, co zrobić. Mama mówi, że to taki okres rozwojowy, ale ona ostatnio nie spędzała z nim czasu, a my tak. I jakoś mi się nie wydaje, żeby to był taki okres, zachowuje się zbyt dziwacznie, już nawet nie jest tą samą osobą, i wydaje mi się…

– Cóż, mam nadzieję, że to taki okres – przerwał jej Al, odwracając się do niej plecami. – A jeśli tak, to niech lepiej szybko przez niego przejdzie, bo zasadzę mu kopa na otrzeźwienie.

Carmen do późnej nocy nie spała, martwiąc się o Stephena.

A teraz znowu się o niego zamartwiała.

Ale jej syn nie był jej jedyną troską…

Bo były jeszcze te głosy.

Nigdy nie były wystarczająco głośne, żeby nabrała pewności, że faktycznie je słyszała, a nie tylko wyobraziła. Nigdy też nie dawało się ich zidentyfikować, chociaż zawsze brzmiały znajomo.

Czasami szeptały jej imię. Czasami się z niej śmiały. A jeszcze kiedy indziej wydawało jej się, że słyszy, jak gdzieś w domu woła ją małe dziecko, choć wiedziała, że jest sama. Czasami ich mamrotanie brzmiało gniewnie, groźnie. Nadal się zdarzało, że miała wrażenie, że coś widzi, jakieś rzeczy, które przemykały obok niej, ale znikały w chwili, gdy się do nich odwracała; kiedyś wpadła do sypialni po coś z komody i, tylko przez moment, mogłaby przysięgnąć, że widziała jakąś postać – chyba mężczyznę, ale nie dało się tego określić – która siedziała w nogach łóżka, ale zniknęła, gdy się zatrzymała i odwróciła w jej stronę.

To mógł być Willy myszkujący po domu albo wiewiórka szczebiocząca w ogrodzie, albo bawiące się w okolicy dzieci, albo nawet jej znękana wyobraźnia, która pracowała w godzinach nadliczbowych nad dopuszczeniem do siebie możliwości, że Stephen *faktycznie* może potrzebować terapii, że być może *był* chory psychicznie, że może jej związek z Alem już nigdy się nie poprawi, że Al będzie pił tak długo, aż stanie się to prawdziwym problemem, i że stał się równie obcy jak Stephen.

A do tego wciąż przypominały się jej słowa Stephena, te z pierwszego dnia w tym domu: „Mamo, musimy się stąd wynieść. W tym domu jest coś złego… coś złego… coś złego… złego…”.

Carmen musiała z kimś porozmawiać. Próbowała z Alem, ale nie wyszło. Zwykle niemal o wszystkim rozmawiała ze Stephenem, ale te czasy chyba się już skończyły. Oczywiście zawsze była Tanya – o ile Carmen skłoniłaby ją do wysiedzenia na miejscu na tyle długo, żeby udało się pogadać.

Odkąd kilka miesięcy temu w takim pośpiechu wypadła z ich domu, Tanya wciąż była zbyt zajęta, żeby dłużej porozmawiać. Przez jakiś czas Carmen czuła się zraniona. Potem zrobiła się zła, zastanawiając się, dlaczego przyjaciółka nagle zaczęła ją tak chłodno traktować. W sumie to była po części jej wina, skoro nie przycisnęła Tanyi i z nią nie porozmawiała. Jednak nie zrobiła tego z tej prostej

przyczyny, że się bała. Tuż przed wyjściem Tanya powiedziała, że coś jakby widzi, że nie czuje się dobrze w tym domu. Carmen brakowało wspólnych chwil, rozmów… ale nie chciała usłyszeć, jak sąsiadka tłumaczy się z tego, co powiedziała.

Wstała od biurka i poszła do salonu. Peter we własnym pokoju ucinał sobie drzemkę, pozostałe dzieci nadal były w szkole. Przez chwilę stała w salonie, przez okno patrząc na dom Tanyi.

No i co się może takiego stać? – zastanawiała się. *Co takiego okropnego może mi powiedzieć?*

Zajrzała do Petera, upewniła się, że nadal mocno śpi, i poszła do Tanyi.

– Okay, usiądźmy i porozmawiajmy – powiedziała Carmen, gdy tylko dziewczyna otworzyła drzwi.

– O, cześć, Carmen. Rany, to nie jest najlepszy moment. Właśnie miałam…

– Tanya… Musimy porozmawiać. *Ja* muszę porozmawiać. Proszę.

Tanya stała w drzwiach, ogryzając paznokieć kciuka.

– Coś się stało?

– Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć. Wypadłaś z mojego domu, jakby się paliło, i od tego czasu prawie ze sobą nie rozmawiamy. Więc… co się stało? Co jest nie tak?

Dziewczyna westchnęła i spojrzała smutno na Carmen.

– Taa, pewnie faktycznie powinnyśmy porozmawiać. Wchodź.

Usiadły przy małym stole w kuchni. Tanya nalała im kawy. Dziecko spało w salonie, a z małego radia na blacie sączyły się dźwięki jakiegoś talk-show.

Przez kilka minut nerwowo rozmawiały o niczym, aż wreszcie Carmen zapytała wprost, co takiego się wtedy stało, że przyjaciółka jak oparzona wypadła z jej domu.

– Nic nie mówiłam, bo… bo, wiem, jak to głupio zabrzmi – powiedziała niechętnie Tanya.

– O czym nic nie mówiłaś? Jeśli to wytłumaczy, dlaczego wtedy tak wyszłaś, to mam gdzieś, jak to głupio zabrzmi. Chcę to usłyszeć.

– No, bo twój dom… Bardzo źle się w nim czułam. Nie chciałam nic mówić, bo… no, bo dzieci mówiły ci o tym od tak dawna, i wiedziałam, jak cię to martwi, i…

– Powiedziałaś, że cały czas coś widziałaś.

– Tak. Kątem oka, jakby ktoś, albo coś, przemykał z jednego końca pokoju na drugi. Ale nikogo tam nie było. I czułam… Po prostu nie czułam się dobrze.

– Czyli myślisz, że ten dom naprawdę jest…

– Absolutnie nie, i właśnie dlatego nie chciałam nic mówić. Wiedziałam, że pomyślisz, że uważam, iż dom jest nawiedzony, a ja tak nie sądzę, okay? Myślę… no… wydaje mi się, że…

– Co ci się wydaje? – ponagliła ją Carmen, gdy przyjaciółka nagle zamilkła.

Tanya zaśmiała się nerwowo.

– No, w sumie to sama nie wiem. Pewnie chodzi po prostu o to, wiesz, co mówiły ci twoje dzieci, i o historię tego budynku… gdy człowiek wie, co tam było… i tyle. Jestem *pewna*, że to o to chodzi.

Carmen zastanawiała się nad tym przez chwilę, popijając kawę i paląc papierosa.

– Jeśli to tylko to – powiedziała – to dlaczego nie wpadasz? Dlaczego mnie unikasz?

– Cóż, jak już mówiłam, było mi głupio. No i nie chciałam ci się narzucać z dzieckiem, i…

– Wiesz, że to nie jest żadne narzucanie się.

– Carmen, ja w tym domu po prostu nie czuję się swobodnie – westchnęła. – I tyle. To głupie. Dziecinne. Ale gdy przypomnę sobie, co tam było wcześniej, i myślę o tym, co się tam działo… no, to mnie to niepokoi.

– Ty się boisz tego domu.

Nagły śmiech Tanyi był dość wymuszony. Zaniosła swój kubek po kawie do zlewu i opłukała go.

– Tak – powiedziała Carmen, idąc za nią. – Boisz się go.

– Carmen, proszę, przestań.

– A co, jeśli ci powiem, że czasami czuję to samo? Co, jeśli ci powiem, że czasami coś widuję? Że czasami słyszę głosy? Albo że…

Tanya odwróciła się gwałtownie.

– Jaja sobie robisz, tak?

– Bynajmniej. Czasami myślę, że mi odbija. A Stephen… Cóż, mówiłaś, że to taki okres, ale ten okres zaczął się akurat wtedy, gdy się tutaj wprowadziliśmy.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Naprawdę słyszysz głosy? – wyszeptała.

Carmen skinęła głową.

– A co *ty* o tym myślisz? Czy ten dom jest… no wiesz, nawiedzony?

– Jeszcze nie pozwoliłam sobie użyć tego słowa i nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć, jak je wypowiadam. Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie przeszło mi to przez myśl.

– A co z Alem?

Carmen wzruszyła ramionami.

– Nie rozmawialiśmy o tym. Nie wiem, co o tym myśli – ani czy w ogóle ma na ten temat jakąś opinię. Boję się, że uzna, że mi odbiło. A już rozmawialiśmy o tym, czy by nie posłać Stephena na terapię, więc… Jedna osoba w rodzinie wystarczy, dzięki.

Tanya oparła się o bar, który oddzielał kuchnię od jadalni.

– No to co zrobicie?

– A co możemy zrobić? Z Alem nie mogę pogadać, a matka mówiąca, że dom jest nawiedzony, to ostatnia rzecz, jakiej potrzeba dzieciom. Już dosyć się nasłuchały od Stephena. Ale musiałam komuś powiedzieć. Dlatego przyszłam do ciebie. Dobrze jest… wyrzucić to z siebie.

– Ja też poczułam się trochę lepiej – zaśmiała się Tanya. – Przynajmniej wiem, że nic sobie nie wyobraziłam.

Carmen zapaliła kolejnego papierosa.

– Nie wiem. Może to faktycznie tylko wyobraźnia. Sprawy nie mają się tam dobrze dla żadnego z nas, to wiem. Chyba wszyscy są lekko spięci. Ja na pewno. I jak sama powiedziałaś, historia tego domu jest dość specyficzna. Już samo to jest lekko upiorne.

Przez chwilę nic nie mówiły. Przez radiowe szumy brzęczały głosy prowadzących.

Nagle Tanya zabębniła palcami o blat.

– Słuchałaś kiedyś tego programu? – spytała, ruchem głowy wskazując na radio.

Carmen pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

– Lubię go, bo zazwyczaj mają naprawdę interesujących gości. Takich naprawdę *dziwnych*, wiesz? A akurat wczoraj była tam taka para, która może mogłaby wam pomóc.

– Co? – zaśmiała się. – A niby w jaki sposób?

– Nazywają się Warrenowie, to małżeństwo. I są, no, czymś jakby pogromcami duchów. Tylko że tak naprawdę, a nie jak w tym filmie z Billem Murrayem – zachichotała.

– Żartujesz sobie, tak?

– Nie, nie, serio. Zresztą nie pierwszy raz się z nimi zetknęłam. Czytałam taki artykuł… – Postukała palcami i wstała. – W zasadzie…

Wyszła z kuchni. Carmen usłyszała, jak kręci się po salonie. Wróciła, trzymając jakiś magazyn, który pospiesznie kartkowała. Siadając, znalazła odpowiednią stronę i położyła otwartą gazetę na stole.

– Tutaj – powiedziała, pokazując zdjęcie.

Carmen podniosła magazyn i popatrzyła na mężczyznę i kobietę, uśmiechając się półgębkiem z niedowierzaniem.

– Oni? Chcesz powiedzieć, że ci ludzie – zaśmiała się – są łowcami duchów? Przecież wyglądają całkiem normalnie.

– Bo są normalni. Powinnaś ich posłuchać. Są całkowicie normalni. Mili, inteligentni, bardzo „nie-stuknięci”.

Mężczyzna i kobieta na zdjęciu uśmiechali się szeroko. Oboje byli koło sześćdziesiątki, mężczyzna przysadzisty i z piersią jak beczka, szpakowatymi włosami i okularami w drucianej oprawie, a kobieta miała iskierki w oczach i ciemne włosy zebrane w kok. Wyglądali na miłych i ciepłych, jak ulubieni dziadkowie. Nagłówek głosił: „Demonolodzy Ed i Lorraine Warrenowie mieszkają w Connecticut, ale intensywnie podróżują z wykładami i kontynuują swoje badania”.

– Weź to sobie, jeśli chcesz – powiedziała Tanya. – To naprawdę interesujący artykuł. Wiesz, mówią, jakie są oznaki nawiedzenia, jak nagłe zmiany temperatury, rzeczy, które same przemieszczają się po domu albo znikają, mrugające światła, i takie tam. Mówią, że takie rzeczy zwykle szybciej zauważają dzieci i zwierzęta, bo są bardziej wrażliwe. Opowiadają też o przypadkach, nad którymi pracowali, i…

– Dzieci i zwierzęta? – przerwała jej Carmen.

– Co? A tak. Wyczuwają takie rzeczy znacznie lepiej niż dorośli.

Carmen zmarszczyła brwi i popatrzyła na swoją dłoń leżącą na stole.

– Dzieci i zwierzęta. – Pomyślała o Stephenie, który od samego początku upierał się, że z tym domem jest coś nie tak, i o…

–Ten pies – wyszeptała do siebie.

– Hm? Jaki pies?

– Hm, no… pamiętasz tego psa, który przez jakiś czas ujadał prawie co noc?

– O, też go słyszałaś? Taa, myślałam, że zwariuję. A co?

– Al w końcu parę tygodni temu przeszedł się po okolicy, znalazł jego właściciela i powiedział mu, żeby zamykał psa na noc. Ale on

szczekał pod naszym domem. Co noc. Stał przy narożniku od tej strony i ujadał tak, jakby miał zaatakować ścianę.

Tanya przechyliła głowę i zmarszczyła brwi.

– Naprawdę?

– Tak. Obudził mnie – choć zwykle jestem w stanie przespać wszystko – więc widziałam go raptem dwukrotnie. Ale Al chyba budził się za każdym razem. Mówił, że zawsze stoi w tym samym miejscu i szczeka… na dom.

Tanya z zakłopotaną miną popatrzyła na Carmen.

– Myślę, że powinnaś do nich zadzwonić. – powiedziała wreszcie, stukając palcem w zdjęcie Warrenów.

– Jak to zadzwonić? Po co? I co im powiem? Po prostu – zaśmiała się – coś zauważyłam i tyle.

– A co ci szkodzi? Mieszkają w Monroe. Mają w domu muzeum, wygłaszają wykłady i prowadzą zajęcia z demonologii, i… Wszystko jest w tym artykule. Weź tę gazetę i przeczytaj sobie. Zawsze możesz ich po prostu zapytać, co sądzą o waszej sytuacji.

Kolejny śmiech.

– Wiesz, co zrobiłby Al, gdyby się dowiedział, że zadzwoniłam do łowców duchów i powiedziałam im, że nasz dom może być nawiedzony? Dostałby szału.

– Przecież nie musi o tym wiedzieć, nie?

Carmen pobieżnie przeczytała kolumnę, zastanawiając się przez chwilę.

– Nie, chyba nie. Jestem pewna, że to tylko… ostatnio mam sporo stresów i… To tylko ja, Tanya, tylko my. W domu od jakiegoś czasu jest dość napięta atmosfera.

– Coś nie w porządku?

– Nie, nic poważnego. W każdym razie chyba nie.

– No to przynajmniej weź tę gazetę i przeczytaj ten artykuł.

– Jasne. Wydaje się ciekawy.

✞ ✞ ✞

Carmen wzięła magazyn do domu, ale zamiast go przeczytać, upuściła go na stertę innych pod stolikiem w salonie.

Jednak o nim nie zapomniała. Nie tak do końca…

✞ ✞ ✞

Nie tylko Carmen dużo myślała o tym, co powiedział Stephen pierwszego dnia w tym domu.

Ala słowa chłopca prześladowały tak, jak duch ofiary prześladuje swojego zabójcę – z okrutnym i zawziętym uporem.

Więc pił więcej. Był tego świadom, i nie podobało mu się to, ale nie wiedział, co innego może zrobić. Wieczorem z trudem zasypiał, a rano z trudem się budził. W ciągu dnia nie mógł się skupić na pracy, a gdy wieczorem wracał do domu, był nieomal zbyt nerwowy i skonany, żeby przeprowadzić choćby najzwyklejszą rozmowę. Zatem kilka piw wydawało się najlepszym rozwiązaniem.

Wszystko przez tę widmową muzykę słyszaną po nocach, tego cholernego, szczekającego psa (w każdym razie do niedawna), wibrujące łóżko i twierdzenie Stephena, że ten dom jest zły – w połączeniu z tym, co kiedyś się w nim mieściło.

I oczywiście jeszcze te niepojące zmiany zachodzące w chłopaku. Al niechętnie już nawet spoglądał mu w oczy; to były zimne oczy groźnego obcego, które sprawiały, że Alowi włos jeżył się na karku.

Ale nie była to wyłącznie kwestia oczu. Dźwięk jego śmiechu, który dobiegał z jego pokoju, gdy był w nim sam, szarpał nerwy, podobnie jak jego ciche mamrotanie, gdy przechodził przez hol. Nawet nie spędzał już tyle czasu z Jasonem. Jason nadal wpadał, nadal razem szli na dół i słuchali muzyki. Czasami Al przyłapywał ich na

wymianie spojrzeń albo na tym, że szeptali tak, jakby mieli jakąś wspólną, niezdrową tajemnicę.

Któregoś wieczoru całą rodziną oglądali telewizję w salonie, gdy Stephen niespodziewanie do nich dołączył. Usiadł na podłodze w kącie za nimi i przyciągnął kolana do piersi.

Nikt nic nie powiedział, popatrzyli tylko po sobie z zaskoczeniem, a potem wrócili do oglądania.

Potem zaczął do siebie mamrotać.

Początkowo nie zwracali na to uwagi – jakkolwiek Alowi przyszło to z dużym trudem – ale on mamrotał dalej.

Słów nie dało się rozróżnić, jego głos był cichym, gardłowym pomrukiem, od czasu do czasu przerywanym lekkim śmiechem. Przez cały czas patrzył w ekran telewizora.

Al coraz mocniej i mocniej ściskał butelkę piwa, aż…

– Przestaniesz wreszcie mamrotać, do cholery? – wrzasnął. – Co u diabła jest z tobą nie tak? Zachowujesz się jak jakiś świr, jak chory na głowę! Zamknij się wreszcie albo wynoś do swojego cholernego pokoju!

Na głos krzyczącego Ala wszyscy zesztywnieli. Stephen po prostu siedział dalej, gapił się w telewizor i nadal mamrotał do siebie. Potem wstał.

– Okay – powiedział cicho.

Nie patrząc na nikogo, wyszedł z pokoju. Mijając Ala, uśmiechnął się szyderczo.

Usłyszeli jego kroki na schodach… kroki i cichy śmiech.

Al tego nie znosił – tego mamrotania Stephena, własnych krzyków – ale nie wiedział, co ma zrobić i nie miał pojęcia, skąd się to brało. To było takie obce. Wcześniej jego rodzina była taka cicha i zadowolona.

Wciąż miał nadzieję, że to minie, że po prostu przejdzie i będzie tak, jak zawsze.

A do tego czasu postara się to wszystko ignorować.

✞ ✞ ✞

Tego dnia, gdy Carmen rozmawiała z Tanyą o domu, Al wrócił z pracy, czując się tak, jak zwykle – czyli wypluty. Nie mógł się doczekać porządnej kolacji i kilku piw dla relaksu.

Czekało na niego coś innego.

Gdy wszedł przez drzwi frontowe, usłyszał płacz Carmen. Zajrzał do jadalni i zobaczył, że siedzi na krześle odsuniętym od stołu, twarzą skierowana w stronę kuchni. Była pochylona, łokcie miała oparte na udach, podbródek opierała na dłoniach osłaniających policzki, wpatrywała się w kuchnię i łkała.

– Carm?

Poderwała się i aż krzyknęła z zaskoczenia.

– Co jest? – spytał, nie ukrywając rozdrażnienia.

Próbując złapać oddech, otarła oczy, a potem wskazała na kuchnię. Chciała coś powiedzieć, ale znowu zaczęła płakać.

Al podszedł do drzwi i zajrzał do środka. Na podłodze, w podeschniętej kałuży czerwonego soku leżały odłamki białej zastawy i tłuste kawałki jakiejś niewiadomej substancji, które wydawały się rozpełzać po linoleum.

– Co się stało? – spytał Al.

– Willy. Biegał sobie, a ja o tym nie wiedziałam. Wskoczył na blat i zrzucił dzbanek z sokiem i moją zapiekankę.

Al westchnął i ją objął.

– No i dlatego tak się zdenerwowałaś? Przecież to nic wielkiego. To znaczy… no, to tylko bałagan, nie? Da się posprzątać.

Powoli uniosła na niego wzrok. Usta wygięły jej się w podkówkę, mocno zacisnęła wargi.

– Okay, w takim razie sam posprzątaj! – krzyknęła. – Sam wytrzyj tę pierdoloną podłogę! Zobaczymy, jak ci pójdzie!

Al otworzył usta i cofnął się o krok.

– Co?

– Podłoga! Idź i sam zobacz, co… Albo nie! Sama ci pokażę! – Wstała. – Tylko patrz uważnie! – mówiąc to, wypadła z jadalni.

Zdumiony Al stał nadal przy krześle. Czy obłęd Stephena był zaraźliwy? Co się działo z jego rodziną?

Po kilku minutach Carmen wróciła z mopem i wiadrem wody. Kopniakami zrzuciła buty i pochyliła się, żeby podwinąć spodnie.

– A teraz patrz – powiedziała.

Al, nadal z miną, jak gdyby bez powodu dostał w twarz, patrzył, jak Carmen zaczyna ścierać mopem podłogę w kuchni.

Dołączył do niego Michael, który usłyszał krzyki matki.

Oraz Stephanie i Peter.

Patrzyli, jak Carmen myje podłogę pokrytą linoleum we wzór czerwonej cegły. Patrzyli, jak mop robi się ciemny. Patrzyli, jak jej gołe stopy zaczynają brodzić w czerwonawo-brązowym płynie, który szybko pojawił się na linoleum.

I poczuli metaliczny zapach.

Carmen nadal płakała, raz po raz ocierając łzy wierzchem dłoni. Po chwili przerwała pracę i odwróciła się do Ala, ignorując dzieci.

– Widzisz? – krzyknęła. – To tutaj, to jest za każdym razem, gdy myję tę zasraną podłogę! Dlatego jestem zdenerwowana! Wytłumacz mi to! Co to jest, do diabła ciężkiego?

Al przez chwilę gapił się na ten czerwony bajzel, potem zrobił krok do przodu i położył dłoń na ramieniu Carmen.

– Zerwę to linoleum – powiedział. – Wymienimy je. Właściciel zapłaci. Jest po prostu stare i tyle. Jak się zmoczy, to obłazi. Wymienimy je i po sprawie.

Ścisnął jej ramię i zmusił się do uśmiechu.

Carmen spojrzała na niego jakby z zaskoczeniem.

– Naprawdę? – zapytała.

– No pewnie, żaden problem. Po prostu pozbędziemy się tego cholernego linoleum. Jest stare, to wszystko. Sama pomyśl. Jak

stary jest ten dom?

Znów się do niej uśmiechnął i tym razem niemal szczerze.

– Zadzwonię do Lawsona i zrobię to w ten weekend – powiedział. – I to tyle, kotku. Naprawdę.

Wpatrywała się w niego.

– Poważnie?

– Jasne.

Ramiona opadły jej z ulgi. Oparła się o niego, a on ją objął.

– Mamo, co jest nie tak z podłogą? – spytała Stephanie.

– Jest po prostu stara, skarbie – odpowiedział jej Al. – Więc kiedy się ją myje, kolor schodzi z wodą. Wygląda prawie jak…

– Jak krew – odezwał się z lękiem w głosie Michael.

– No – zaśmiał się Al. – Wygląda prawie jak krew.

– Ale o co chodzi z tym zapachem? – spytała Carmen.

Al wzruszył ramionami.

– To tylko linoleum. – Odwrócił się do Carmen. – Mam posprzątać, kotku?

– A mógłbyś?

– Jasne. Tylko najpierw pójdę do łazienki.

Pocałował ją w czubek głowy i wyszedł z jadalni. Wstrzymując oddech, ruszył przez hol do łazienki, gdzie zamknął drzwi na zasuwkę i przyłożył drżącą dłoń do czoła. Głowa nagle zaczęła go boleć, a serce podeszło do gardła.

Jego spokój zniknął. Pewność siebie, jaką okazał przed Carmen, nie tyle zniknęła, co tak naprawdę nigdy nie istniała.

Rozpaczliwie podał Carmen pierwsze wytłumaczenie, jakie mu przyszło do głowy, i, ku jego zaskoczeniu, udało się. Jedyny problem w tym, że sam w to nie wierzył.

– Dobry Boże – odetchnął spazmatycznie, gdy zsunął się po drzwiach i usiadł na podłodze – co tu się dzieje?

PIĘTNAŚCIE

GOŚCIE

Było niedzielne, lipcowe popołudnie, kilka tygodni po zakończeniu roku szkolnego, gdy do Carmen z Alabamy zadzwoniła jej siostra Meagan.

Michael i Stephanie bawili się na dworze, a Peter był w ogrodzie z Alem, który próbował rozpalić grill, żeby usmażyć hamburgery.

Stephen oczywiście był na dole, w swoim pokoju.

Meagan miała cukrzycę i ostatnio bardzo chorowała. Do tego wszystkiego przechodzili właśnie z mężem bardzo trudną separację, uzupełnianą przez głośne awantury, pogróżki i wywlekanie wszystkich starych pretensji, które powinni omawiać na osobności i ściszonym głosem, a nie przed swoimi dwoma córkami. Dzwoniła zapytać, czy Carmen mogłaby wziąć do siebie dziewczynki, Mary i Laurę, póki sytuacja się nie poprawi.

– No, hm, pewnie, żaden… Mogę do ciebie oddzwonić za kilka minut? Naprawdę powinnam najpierw porozmawiać z Alem i zaraz do ciebie zadzwonię, dobrze?

Gdy Carmen odłożyła słuchawkę, frontowe drzwi się otworzyły i do środka wszedł zdyszany i spocony Michael. Idąc na dół, pomachał do niej.

Carmen wyszła do ogrodu i powiedziała Alowi o swojej rozmowie z Meagan.

– Tak – powiedział Al, gdy skończyła. – Skoro potrzebuje przy nich pomocy, to pewnie. Ja nie mam nic przeciwko. A na jak długo?

– Nie powiedziała.

– No cóż – wzruszył ramionami – w porządku. Zadzwoń i powiedz, żeby je przysłała.

– Dzięki, skarbie.

Carmen wróciła do domu, podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer do siostry, gdy usłyszała…

– *Maaaamoooo!*

Krzyk Michaela był tak przeszywający, że aż upuściła telefon.

– Mamo, chodź tutaj, maaaamooo!

Pobiegła przez hol w stronę schodów.

– Co? – krzyknęła, zbiegając na dół. – Co się stało?

Michael stał na dole, pokazując na swój pokój, usta miał otwarte i lekko podrygiwał, wymachując ramionami, żeby ponaglić Carmen.

– Szybko, *szybko!* – krzyknął.

Gdy znalazła się na dole, stanęła obok syna, spojrzała w głąb jego pokoju i zobaczyła…

Nic.

Gapiła się, czekając na coś, cokolwiek, co mogłoby tłumaczyć zachowanie Michaela. Nic się nie wydarzyło.

– Michael, co ci odbiło? – zbeształa go.

– Ale przed sekundą tam był! Biegał po półce wokół pokoju!

– Kto taki? *Kto* biegał wokół pokoju?

– To… to b-był… był… – jąkał się Michael, pokazując na pokój. Ręka mu dygotała.

– Okay, Michael, uspokój się, co się stało? – Carmen załamał się głos. Uświadomiła sobie, że zachowanie syna sprawiało, że robiła się bardzo nerwowa.

– Mamo, tam był jakiś chłopiec! Mały chłopiec! B… był czarny i… i miał na sobie piżamę, taką z Supermanem, czerwono niebieską,

i przebiegł przez pokój od jednego końca półki do drugiego, a potem, no… zniknął.

– Gdzie zniknął?

Jego ciało się rozluźniło, jakby nagle spłynęło z niego całe to podniecenie. Powoli odwrócił się do niej i opuścił głowę, z nagła zawstydzony.

– W… w ścianie – wymamrotał.

Carmen przez chwilę w milczeniu rozglądała się po pokoju. Nie wiedziała, co powiedzieć ani zrobić. Jak wytłumaczy takie rzeczy Mary i Laurze? Co im powie? A co gorsza, co one po powrocie do domu powiedzą swojej matce?

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk stłumionego śmiechu. Odwróciła się i po drugiej stronie odrobinę rozsuniętych, francuskich drzwi zobaczyła Stephena. Miał na sobie tylko bokserki, które prosiły się o pranie, i słuchawki podłączone do małego zestawu stereo stojącego przy jego łóżku. Na piersi zrobił sobie rysunek: jakąś gwiazdę w okręgu.

Śmiał się z nich.

– Stephen, zrobiłeś coś, żeby nastraszyć brata? – spytała gniewnie Carmen.

Znowu się zaśmiał.

– *Ja* nic nie zrobiłem.

– Widziałeś to? – zapytał z nadzieją w głosie Michael.

Stephen uniósł dłonie i chichocząc, cofnął się o kilka kroków.

– Hej, nie ma bata, nie złamię zasad. Nie wolno nam o tym mówić, pamiętasz? Żadnych duchów, żadnych głosów. Bo będą na nas wrzeszczeć.

– Jeśli coś widziałeś, *chcę*, żebyś o tym powiedział – oświadczyła Carmen.

Znów się zaśmiał i pokręcił głową.

– Nie ma chuja. – Zamknął drzwi, a potem odwrócił się i podszedł do swojego łóżka.

Carmen odwróciła się od drzwi i przeciągnęła ręką po włosach.

– *Szlag*! – syknęła. – Przepraszam, skarbie, nie mam teraz na to czasu, muszę zadzwonić do cioci Meagan. – Ruszyła po schodach, starając się zignorować zasmucone i ciężkie westchnienie Michaela.

Znowu zaczęła myśleć o siostrzenicach. Dziewczynki pomyślą, że wszystkim tu odbiło. Powinna je wcześniej ostrzec? Gdyby wiedziały, co rzekomo widują dzieciaki, gdyby znały historię tego domu, przyjechałyby…? Czy może zdecydowałyby się zatrzymać u kogoś innego?

Nie o to się martwisz, i dobrze o tym wiesz, odezwał się jej wewnętrzny głos. *Nie martwisz się przecież, że uznają cię za wariatkę ani że powiedzą swojej matce, prawda? Oczywiście, że nie. No to o co się martwisz, Carmen? O co?*

Podnosząc słuchawkę, dokładnie wiedziała, co ją martwiło.

Martwiła się, że dziewczynki w tym domu nie będą bezpieczne.

✞ ✞ ✞

Michael wszedł do pokoju Stephena i stanął przy łóżku, na którym z zamkniętymi oczami i rękami pod głową leżał jego brat, słuchając swojej muzyki. Stłumione dźwięki dochodzące ze słuchawek dla Michaela brzmiały jak brzęk jakichś malutkich owadów.

Złapał go za stopę.

Stephen otworzył oczy i popatrzył na Michaela, choć nie od razu zdjął słuchawki.

– Widziałeś to, prawda? – zapytał Michael.

Zirytowany Stephen zsunął słuchawki na tył głowy.

– Co?

– Mówię, że go widziałeś, prawda? Tego ducha. Tego małego, czarnego chłopca w piżamie z Supermanem.

– A skąd wiesz, że to był duch? – spytał Stephen z przebiegłym uśmieszkiem.

– A nie był? – Michael przyglądał się twarzy brata, jego drwiącej, wszechwiedzącej minie. – Ty *wiesz*, co to było, tak? Wiesz wszystko. *Prawda*?

Stephen roześmiał się, ponownie założył słuchawki, zamknął oczy i zaczął podrygiwać stopą w rytm muzyki.

Michael powoli cofnął się od łóżka i wyszedł z pokoju brata, zamykając za sobą drzwi. Nagle poczuł się niezbyt dobrze i powoli poszedł do górę, próbując nie myśleć o nim, o tym, o czym mu nie mówił, o czym wiedział…

✞ ✞ ✞

Mary i Laura przyjechały trzy dni później. Al pojechał po nie na lotnisko i przywiózł do domu, na jeden ze świątecznych obiadów Carmen.

Mary miała dwanaście lat i była cichą dziewczynką o złotych włosach i słodkiej, przyjaznej twarzy. Miała siedem lat, gdy Carmen widziała ją ostatnio, i ciotka ledwie ją poznała.

Jeszcze większe zmiany zaszły w siedemnastoletniej Laurze. Wyrosła na wysoką i piękną dziewczynę o smukłej, kształtnej figurze i burzy ciemnoblond włosów, które opadały jej na ramiona.

Dziewczęta położyły bagaże w pokoju Stephanie. Na czas ich pobytu dziewczynka miała przenieść się do pokoju Petera, a Peter miał mieszkać z Michaelem.

Przy wielkim obiedzie przygotowanym przez Carmen rozmawiali. Podczas gdy Mary była milcząca i nieśmiała, Laura mówiła niemal bez przerwy. Była energiczna i żywiołowa, a w domu rozlegał się jej śmiech.

Ten śmiech miał wkrótce ucichnąć.

✞ ✞ ✞

W czasie, gdy wszyscy pozostali jedli i rozmawiali na górze, Stephen siedział na swoim łóżku. Nogi w obciętych spodniach miał skrzyżowane na indyjską modłę, a na kolanach wielki szkicownik. W słuchawkach leciał heavy metal, a on rysował czarnym cienkopisem.

Muzyka była koszmarnie głośna, nawet jak dla Stephena, ale tak właśnie lubił jej słuchać… tak musiał jej słuchać. Puszczał ją tak głośno nie bez powodu.

W ciągu ostatnich miesięcy ten głos odzywał się do niego coraz częściej. Na początku budził w nim przerażenie; teraz co najwyżej irytację. Czasami, gdy do niego mówił, w głowie Stephena pojawiały się różne obrazy: ohydne, brutalne wizje, które go prześladowały, męczyły, póki nie przeniósł ich na papier, nie naszkicował choć pobieżnie niewyraźnych obrazów przemykających mu przed oczami. Te wizje były równie obrzydliwe, jak to, co mówił mu ten głos… Złe, diabelskie rzeczy.

Muzykę w słuchawkach puszczał z ogłuszającą mocą, bo miał nadzieję, że zagłuszy ten głos – chociaż teraz to już to miał w zasadzie gdzieś. Czasami przechodził go dreszcz, gdy go słuchał, gdy słuchał o rzeczach, których głos od niego chciał.

Zresztą czego tu się bać? Już na samym początku mu powiedział, a potem wiele razy powtórzył, że Stephen słyszał głos samego Boga…

Skrobał pisakiem po papierze, muzyka całkowicie zagłuszała roześmiane głosy na górze, aż…

– Stephen.

To było tak nagłe i nieoczekiwane, tak wyraźne pomimo wrzaskliwej muzyki, że dłoń mu drgnęła i nakreśliła na kartce poszarpaną linię.

– Stephen, są tutaj – powiedział głos.

Kto? – spytał w głowie. Nauczył się, że rozmawiając z tym głosem, nie trzeba mówić głośno. Słyszał jego myśli.

– Twoje kuzynki. Twoje urocze kuzyneczki. Dawno ich nie widziałeś, więc nie wiesz, jakie są śliczne, ale… są, Stephenie. Takie młodziutkie i gładkolice. Będą takie dooobre… takie słoooodkie…

W słuchawkach wrzeszczał wokalista, zagłuszany przez zawodzące gitary i grzmiące bębny, jednak Stephen słyszał, jak głos zaśmiał się lekko tym zimnym, lodowatym śmiechem, który był niczym uderzające o siebie mokre kamyki.

– Myślę, że powinieneś iść zobaczyć się z kuzyneczkami, synu – powiedział głos.

Okay.

Stephen odłożył cienkopis, zdjął słuchawki z głowy i podniósł się szybko. Już się nie wahał, gdy głos nakazywał mu coś zrobić.

– Nie, nie. Nie teraz.

Znowu, powoli, usiadł na łóżku. Czekał.

Ostra muzyka dobiegająca z leżących obok słuchawek brzmiała jak nagranie masakry.

– Później – powiedział głos. – Powiem ci, kiedy. Może w nocy. Jeśli nie tej, to którejś następnej.

– Stephen?

Głos matki go przestraszył; nawet nie słyszał, jak schodziła po schodach i otwierała drzwi. Odwrócił się do niej.

– Co robisz?

– Rysuję sobie.

– Dziewczęta przyjechały. Jemy lunch. Może chciałbyś przyjść, przywitać się i zjeść z nami? – Jej głos brzmiał jakoś tak ostrożnie. W ogóle ostatnio była przy nim ostrożna.

– Och. Nie. Nie bardzo. – Położył się na łóżku, podłożył ręce pod głowę i popatrzył na nią.

– Nie jesteś głodny?

– Nie.

Marszcząc brwi, podeszła do jego łóżka i przyklęknęła przy nim.

– Stephen, posłuchaj mnie, proszę – powiedziała cicho. Z wahaniem, prawie jakby się bała, wyciągnęła rękę i położyła ją na jego ramieniu. – Nie wiem, co jest z tobą… nie w porządku. Nie jesteś już sobą i myślę, że wiesz o tym równie dobrze jak ja. Wciąż mam nadzieję, że… no, że jeśli coś cię gryzie, to przyjdziesz do mnie porozmawiać. Ale martwię się, że… no, ciągle myślę, że może, hm… może twoja choroba…

– Wróciła? – podpowiedział, zaczynając się uśmiechać.

Skinęła głową.

Stephen się roześmiał.

– O to się nie martw. Nie dojdzie do tego – zaśmiał się znowu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Moi przyjaciele do tego nie dopuszczą.

Jej oczy lekko się rozszerzyły, a brwi mocniej zmarszczyły.

– Jacy przyjaciele? Kto taki?

– Moi przyjaciele w tym domu. Och, racja – przycisnął dłoń do ust i wymamrotał w palce – nie chcesz, żebym o nich mówił. Nie wierzysz w nich. Ale to jest okay, mamo. Oni wierzą we mnie. I nie pozwolą, żebym znowu zachorował.

Powoli się podniosła, jej szczęka drgała, gdy zaciskała zęby. Gapiła się na Stephena tak, jak gdyby na jej oczach zmienił się w kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widziała. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała coś powiedzieć, ale potem spojrzała na szkicownik, na rysunek Stephena.

Stephen też na niego popatrzył.

Był to mężczyzna z wąsami i ciemnymi włosami, w kraciastej koszuli, podobny do ojczyma Stephena, Ala. Z wielkiego haczyka na ryby wbitego w jego kark spływały strugi czarnej krwi.

Stephen uśmiechnął się do matki, gdy spojrzała na niego z całkowicie zaszokowaną miną.

Wreszcie się odwróciła i wyszła.

Stephen śmiał się, słuchając jej kroków na schodach, a głos śmiał się razem z nim.

SZESNAŚCIE

LAURA

Carmen zastanawiała się, kiedy to się stanie. Najwyraźniej przydarzało się to wszystkim, więc niby dlaczego nie dziewczętom? Nie sądziła tylko, że to nastąpi tak szybko.

Był poranek po ich przyjeździe. Al przed kilkoma godzinami wyszedł do pracy, wszyscy zjedli śniadanie, a Laura pomogła Carmen w zmywaniu. Mary usiadła przed telewizorem – oglądała operę mydlaną i nie opuściła ani jednego odcinka – a dzieci były na dworze. Carmen i Laura nalały sobie mrożonej herbaty do wysokich szklanek i usiadły w jadalni.

W kuchni gawędziły o niczym, ale Laura była nietypowo małomówna. Wczoraj Carmen uznała, że ta dziewczyna nie jest w stanie usiedzieć spokojnie. A jednak *była* spokojna, nawet trochę jakby zaniepokojona.

– Jak ci się spało? – spytała Carmen.

– Och… – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Wiem, że czasami trudno jest zasnąć w obcym miejscu. Chwilę trwa, zanim człowiek przyzwyczai się do innego łóżka.

Laura skinęła głową.

– Nie spałaś dobrze, prawda? – spytała Carmen po chwili.

Twarz Laury się napięła.

– Ciociu, coś… – Wzięła głęboki wdech i westchnęła.

– Co?

– Nie podoba mi się ten dom.

Tym razem to Carmen westchnęła. Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny i już…

– Co ci się w nim nie podoba?

– No, mama mi powiedziała, że kiedyś był tutaj…

– Szkoda, że to zrobiła.

– Nie, to mi nie przeszkadza, naprawdę. Chodzi o coś innego. W nocy czułam się, no… no, jakbym nie była sama w pokoju.

– Była z tobą Mary.

– Nie, nie w tym rzecz. Miałam wrażenie, jakby był tam ktoś jeszcze. Ktoś… kto chodził po pokoju. W ciemnościach.

– I?

– I oczywiście nikogo nie było. Ale *czułam*, jakby był.

Carmen zastanowiła się. Mogła powiedzieć Laurze to samo, co powiedziała Tanyi, ale po co ją straszyć? Nawet *ona sama* nie bardzo w to wierzyła.

– Skarbie, obawiam się, że trafiłaś do bardzo osobliwego domu – powiedziała wreszcie. – Przynajmniej w tej chwili jest dziwny. Wiesz o chorobie Stephena, ale… cóż, od tego czasu nie jest nam łatwo.

Pokrótce opowiedziała Laurze o zmianach, które zaszły w Stephenie od czasu jego choroby i ich teoriach co do przyczyn – jego chorobie, leczeniu, przeprowadzce oraz, po części, być może przyjaźni z Jasonem – i stresie, jaki te zmiany wywołały w całej rodzinie. Opowiedziała jej o odczuciach Stephena odnośnie do tego domu – że był zły, nawiedzony, opętany przez kogoś lub coś – i tym, jak wpłynęło to na pozostałe dzieci, a Carmen i Ala frustrowało niemalże do granic wytrzymałości.

Nie opowiedziała jej jednak o własnych doświadczeniach. Przede wszystkim dlatego, że sama próbowała o nich zapomnieć.

– Podejrzewam, że wyczuwasz napięcie, które panuje w tym domu – powiedziała Laurze. – To wszystko.

– Ha, czyli Stephen też uważa, że ten dom jest nawiedzony?

Carmen nie zdołała powstrzymać małego grymasu.

– Tak właśnie myślisz?

Laura wzruszyła ramionami.

– W sumie to sama nie wiem. Ale wiem, że w nocy czułam coś dziwnego. I to *nie było* napięcie, ciociu. To było… no, nieprzyjemne. Trudno to wytłumaczyć. Ale szczerze mówiąc, teraz i tutaj też nie czuję się komfortowo.

Carmen na moment zamknęła oczy i rozważyła swoją odpowiedź. Przeszła ją nagła fala lęku. Kolejna osoba, która twierdziła, że dom był nawiedzony, tylko wszystko pogarszała.

– Lauro, mam nadzieję, że zachowasz te odczucia dla siebie. Proszę, nie mów nic dzieciom. A już *zwłaszcza* nic nie mów Alowi. Na niego takie spostrzeżenia działają jak płachta na byka. Gotów jest eksplodować.

Laura zgodziła się nic nie mówić.

– Ale czuję się jakaś taka podenerwowana… to znaczy, przez przebywanie tutaj.

– Po prostu nowe otoczenie, to wszystko. Przywykniesz. – Carmen zmusiła się do uśmiechu, który nie był, ani nie wyglądał, zbyt przekonująco.

SIEDEMNAŚCIE

LATO/JESIEŃ II

Po jakimś czasie dziewczęta zachowywały się w ich domu tak, jakby w nim mieszkały. Na początku drugiego tygodnia czuły się już na tyle swobodnie, by kręcić się w byle jakich ciuchach czy pójść do lodówki i wziąć sobie to, na co miały ochotę. Tak szybko stały się zwykłymi członkami rodziny, że wszyscy zapomnieli, że przyjechały tylko w gości.

Laura jednak, choć czuła się swobodnie, ani na chwilę nie mogła się pozbyć pewnego napięcia. Cały czas czuła, jakby męczyło ją coś w środku, sprawiało, że była spięta i niespokojna, nerwowa i czasami nawet czuła lekkie mdłości. Ale to *nie było* nic w niej. Laura doskonale wiedziała, dlaczego się tak czuje.

Przez ten dom.

Najgorsze było to, że nie była w stanie dokładnie wskazać, co ją niepokoiło. To było tylko odczucie.

Czasami, gdy szła przez hol albo mijała otwarte drzwi, miała jakieś takie poczucie zimna, sięgającego do kości, które ją owiewało, *przenikało*. Kiedy indziej odnosiła wrażenie, że ktoś się jej przygląda, gdy się ubiera albo bierze prysznic; kilka razy nawet zdarzyło jej się skrócić kąpiel przez przytłaczające, niemal duszące wrażenie, że ktoś jest z nią w łazience i zaraz odsunie zasłonę prysznicową i zacznie

się z niej śmiać – choć wystarczyło, by się rozejrzała i stwierdziła, że nikogo tam nie ma.

Czasami wydawało się jej, że ktoś za nią chodzi po domu albo – to było najgorsze – że ktoś się o nią ociera w drzwiach albo w korytarzu. Ale nigdy nie było dowodów, że jej wrażenia są jakkolwiek uzasadnione. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby sprawić, że tak się czuła, i nieważne, jak bardzo się rozglądała, nigdy nie wypatrzyła – ani nawet nie usłyszała – niczego, co tłumaczyłoby jej odczucia. W każdym razie jak dotąd…

W miarę mijania dni i tygodni Laura zaczęła słyszeć jakieś dziwne dźwięki. Al wstawił do pokoju małe łóżko polowe i dziewczęta rzuciły monetą, żeby ustalić, która zajmie normalne; Laura wygrała. Czasami, w nocy, gdy Mary mocno spała, Laurze wydawało się, że słyszy kroki kogoś, kto powoli, w ciemności, chodzi wokół jej łóżka. To były ciche, ostrożne kroki, które były prawie niedosłyszalne, gdy stąpały po drewnianej podłodze, gdy przemieszczały się wzdłuż jednego boku łóżka, wokół stóp, wzdłuż drugiego boku i jeszcze raz.

Gdy zdarzyło się to po raz drugi, Laura obudziła siostrę.

– Mary. Mary! Obudź się!

– Hm? Hmmmh? So? Sosiedzieje?

– Posłuchaj! – syknęła Laura.

– Czego?

– No *posłuchaj*!

Cisza.

– Ale czego? – zapytała półprzytomnie Mary.

– Niczego nie słyszysz?

– Nie.

– Nie słyszysz, no wiesz, kroków?

– O rany, Laura, daj mi spokój. Śpię. – Mary obróciła się na bok i znowu zasnęła.

Kiedy indziej zdarzało jej się odnieść wrażenie, że słyszy, jak ktoś chodzi wokół budynku. To nie miał sensu – *wiedziała*, że to

niemożliwe – jednak Laura słyszała kroki wokół domu przez całą noc.

Czasami, gdy siedziała sama w pokoju – na przykład na sofie w salonie, czytając – wydawało jej się, że słyszy jakiś niezrozumiały szept dobiegający z ciemnego narożnika pokoju.

Po reakcji cioci Carmen na jej pierwsze uwagi o tym domu bała się powiedzieć jej cokolwiek więcej. A po tym, co ciocia powiedziała jej o wujku Alu, z całą pewnością bała się cokolwiek mówić jemu.

Zatem zachowywała to dla siebie. Wciąż sobie powtarzała, że to tylko jej wyobraźnia… jednak w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda.

Nie minęło wiele czasu, gdy przekonała się, że faktycznie miała rację.

✞ ✞ ✞

Pewnej nocy, bardzo późno, gdy Stephen, co zdarzało się rzadko, pogrążony był głęboko we śnie, głos odezwał się do niego ostro.

– Stephen! Czas wstawać! Już!

Chłopak gwałtownie otworzył oczy i usiadł prosto w łóżku, plecy sztywne, pięści zaciśnięte. Pomimo tego, jak głęboko spał, pomimo tego, że minęło sporo czasu, odkąd spał tak dobrze, był całkowicie przytomny.

– Stephen, wstań – powiedział głos. – Czas złożyć wizytę.

Stephen od razu wiedział, co to oznaczało. Odsunął kołdrę i podniósł się z łóżka, wyszedł ze swojego pokoju, przeszedł przez pokój Michaela, uważając bardzo, by nie obudzić ani jego, ani Petera. Gdy już był na górze, przeszedł przez salon, potem przez hol, i bardzo, bardzo ostrożnie otworzył drzwi do pokoju Stephanie. Wsunął głowę do środka i czekał, czy nie obudził Laury i Mary. Gdy nic nie usłyszał, wszedł do pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

Przez okno wpadało blade światło księżyca i Stephen dzięki temu był w stanie przejść między łóżkiem a polówką.

Przez długą chwilę obserwował je, gdy spały. Powoli przenosił wzrok z jednej na drugą, oczami pieszcząc ich bezbronne twarze, patrząc, jak śnią.

Gdy tak na nie patrzył, powoli narastała w nim paląca potrzeba, potrzeba, której nie był w stanie długo ignorować. Wreszcie, gdy stał tak w rozświetlonym księżycem mroku, poddał się jej.

Wpatrując się w Laurę, która leżała na plecach, pochylił się i bardzo ostrożnie położył dłoń na jej ramieniu. Czekał na jej reakcję.

Nic.

Przesunął dłoń na bark.

Nadal nic. Wciąż oddychała spokojnie i rytmicznie.

Przeniósł dłoń na jej pierś.

– Przyjemnie, co? – cicho zapytał głos.

Cudownie, pomyślał z rozmarzeniem Stephen. *To jest cudowne.*

– Chciałbyś poczuć więcej, prawda? Chciałbyś *zrobić* więcej?

O tak.

– Ale ona jest za duża. Będzie się bronić. Tylko narobi ci kłopotów. Potrzebujesz kogoś mniejszego. Kogoś młodszego.

Masz rację. Nie potrzeba mi takich kłopotów.

– Odwróć się – zaśmiał się głos.

Stephen odwrócił się, zgodnie z poleceniem. Popatrzył na Mary.

Mniejsza. Młodsza. Z pewnością niezdolna do obrony.

Stephen uśmiechnął się i położył dłoń na przedramieniu dziewczynki. Potem na ramieniu.

– Tak lepiej – wyszeptał głos.

✞ ✞ ✞

Dwa dni później, gdy Carmen wróciła do domu z zakupów, na ganku zobaczyła Laurę i Mary. Szczególnie zwróciła uwagę na Mary, która szlochała spazmatycznie.

Carmen wjechała na podjazd, zgasiła silnik i podbiegła na ganek.

– Co się stało? – spytała; nie widziała dziewcząt w takim stanie, odkąd przyjechały do Connecticut, i w jej głosie zabrzmiała panika.

Laura objęła Mary.

– Ciociu, stało się coś strasznego. Możesz w to nie uwierzyć, a jeśli nie uwierzysz, to nie wiem, co ze sobą zrobię.

Carmen usiadła obok Laury.

– Po prostu mi powiedz, proszę, uwierzę ci.

Laura zbierała się przez długą chwilę.

– Stephen, hmm… Stephen molestował Mary – wydusiła wreszcie z siebie.

Carmen wpatrywała się w nie w niemym szoku. Od razu wiedziała, w tej samej chwili, gdy to usłyszała, że Laura mówi prawdę. To nawet nie było specjalnie zaskakujące. Biorąc pod uwagę, w jakim kierunku szło jego zachowanie przez ostatnie miesiące, wydawało się to oczywiste.

– Kiedy? – spytała.

– Dziś po południu. Gdy cię nie było. Nie posunął się, hmm… bardzo daleko, jeśli wiesz, co mam na myśli. Przyłapałam go.

– Okay – odetchnęła Carmen, uświadamiając sobie nagle, że z jakiegoś powodu brak jej tchu. – Okay, okay, ja… hm, zajmę się tym. Natychmiast. Gdzie on jest?

– W swoim pokoju – powiedziała Laura.

No oczywiście, pomyślała Carmen, wstając i wchodząc do domu. Poszła na dół. Stephen, jak zwykle, siedział na łóżku ze słuchawkami na uszach i rysował w swoim szkicowniku.

Carmen wyciągnęła rękę i odłączyła słuchawki.

– Co ty sobie myślałeś, co ty w ogóle robisz? – spytała z gniewem.

– A kiedy?

– Dzisiaj. Z Mary. *Wiesz*, o czym mówię!

Nie odezwał się. Kącik ust mu się uniosły i zaczął się śmiać.

– Okay, dosyć tego. Naprawdę dosyć. Tak bardzo się staraliśmy, Bóg wie, jak bardzo, ale chyba nic nie jest w stanie do ciebie dotrzeć. Nie zmieniasz się, chyba że na gorsze. A to jest już *koniec*, Stephen.

Odwróciła się na pięcie, poszła na górę i sięgnęła po telefon.

Carmen zadzwoniła po policję.

✞ ✞ ✞

Tego popołudnia Stephena zabrał radiowóz. Został przesłuchany, a podczas przesłuchania przyznał się, że obmacywał dziewczęta nocami, gdy spały, i że bez powodzenia próbował uprawiać seks ze swoją dwunastoletnią kuzynką. Potem został przewieziony do ośrodka dla nieletnich, gdzie w późniejszym czasie rozmawiał z nim psychiatra.

✞ ✞ ✞

Tymczasem Carmen była w domu i uginała się pod ciężarem poczucia winy. Al lada chwila miał wrócić i martwiła się, że wpadnie w furię; jednocześnie podejrzewała, że będzie naprawdę uszczęśliwiony, a to sprawiało, że czuła się jeszcze gorzej. Ale zrobiła to, co uznała za najlepsze.

Już dostatecznie długo musieli sobie radzić z nieprzyjemnymi zmianami zachodzącymi w najstarszym z synów. A te najwyraźniej zaszły o wiele za daleko i coś trzeba było zrobić. Być może dzięki temu przynajmniej otrzyma jakąś pomoc.

Gdy Al wrócił do domu, nie wpadł w szał, ale też nie był szczęśliwy; uznał po prostu, że Carmen postąpiła słusznie. Powiedział jej, że

może to okaże się najlepszym wyjściem, że może to ten kopniak na otrzeźwienie, którego Stephen potrzebuje.

Jak się okazało, Stephen potrzebował czegoś więcej. Psychiatra, który z nim rozmawiał, zadzwonił do Ala i Carmen i powiedział, że w jego opinii Stephen jest schizofrenikiem – innymi słowy, nie ma kontaktu z rzeczywistością – i potrzebuje co najmniej sześćdziesięciodniowej obserwacji w odpowiednim szpitalu psychiatrycznym. Zasugerował Spring Heaven. Zalecał także, by Stephen tę noc spędził w ośrodku dla nieletnich. Nie sądził, by rodzina była bezpieczna w jego obecności.

Byli zdruzgotani. Ich syn był faktycznie, tak jak podejrzewali, chory psychicznie. Gdzie popełnili błąd? Każdy rodzic popełnia błędy wychowawcze, ale które z tych popełnionych przez nich doprowadziły ich syna do takiego stanu?

Zastanawiali się, jak mogli być tak bezduszni. Przez cały ten czas, gdy mówił im, że słyszy głosy i widzi różne rzeczy, tylko się na niego wściekali – podczas gdy jego prawdziwym problemem była poważna choroba psychiczna, której ani nie był w stanie przezwyciężyć, ani jej nie rozumiał.

Ich poczucie winy i smutek ciążyły im bardzo, gdy następnego dnia przyjechali po Stephena i zabrali go do Szpitala Psychiatrycznego Spring Heaven.

Szpital mieścił się w pięknym budynku otoczonym połaciami trawników i mnóstwem ogromnych dębów. Teren otaczało wysokie, mocne ogrodzenie, a po ogrodzie spokojnie spacerowali pacjenci i ich opiekunowie.

Stephen przez całą drogę się do nich nie odezwał. Ignorował ich przeprosiny, oferty pomocy, prośby, by z nimi porozmawiał. Milczał aż do chwili, gdy zostawili go w szpitalu. Wtedy popatrzył na nich i uśmiechnął się mrocznie z oczami bez wyrazu.

– Teraz, gdy nie będzie miał mnie, przyjdzie po was. Po was wszystkich.

Al i Carmen odjechali zasmuceni tą jego uwagą, sądząc, że był to tylko kolejny objaw jego choroby.

Niestety dla nich, dla ich dzieci i siostrzenic Carmen, bardzo się mylili.

OSIEMNAŚCIE

ŁOWCY DUCHÓW

Mniej więcej w czasie, gdy Al i Carmen Snedekerowie zostawili swojego najstarszego syna w Szpitalu Psychiatrycznym Spring Heaven, w małym, skromnym domu w Litchfield w stanie Connecticut czterdziestodwuletnia Florence Mack unosiła się kilka cali nad krzesłem, na którym została pewnie usadzona zaledwie przed kilkoma chwilami. Jej ciało, nadal w pozycji siedzącej, było sztywne, a twarz blada z przerażenia. Patrzyła na otaczających ją ludzi.

Był przy niej jej czterdziestoośmioletni mąż Dale i ich dwudziestojednoletnia córka Sophie. Poza tym wysoka, wyglądająca po królewsku kobieta i przysadzisty mężczyzna o piersi jak beczka, oboje tuż po sześćdziesiątce: Lorraine i Ed Warrenowie.

Przez moment cała ich czwórka ze zdumieniem i przerażeniem wpatrywała się we Florence, a potem Ed zrobił krok i machnął do Dale'a.

– Zabierzmy ją stamtąd – powiedział.

Gdy Dale podszedł do żony, żeby ściągnąć ją z krzesła, Ed uniósł prawą dłoń i grzmiącym głosem, który odbijał się od ścian domu jak uderzenia młota, huknął:

– W imię Jezusa Chrystusa, nakazuję ci zostawić tych ludzi i wrócić tam, skąd przybyłeś!

Na podłogę spadło zdjęcie w ramce, dotąd wiszące na ścianie.

Dwa rzędy porcelanowych bibelotów stojących na małej półce zostały uniesione w powietrze niewidzialną ręką i ciśnięte o przeciwległą ścianę. Odłamki pokryły podłogę i mały stół jadalny.

Dale Mack objął żonę i trzymał ją mocno, gdy szli przez pokój.

Dębowy, oszklony kredens mieszczący serwis obiadowy zadygotał tak, jakby ziemia pod nim miała się rozstąpić.

Cztery krzesła stojące wokół stołu odsunęły się od niego jednocześnie, a szyba w oknie drgała wściekle.

Ed obrócił się, patrząc, co się dzieje. Lorraine w prawej ręce trzymała mały magnetofon; nagrywała dźwięki wszystkiego, co się działo wokół.

Chaos trwał, a Ed raz jeszcze uniósł prawą dłoń i takim samym, grzmiącym głosem, choć jeszcze głośniej i bardziej dobitnie, powtórzył:

– W imię Jezusa Chrystusa, nakazuję ci zostawić tych ludzi i wrócić tam, skąd przybyłeś!

Dygotanie i łomoty trwały jeszcze przez kilka sekund, a potem…

W domu zapadła cisza.

Na moment wszyscy zamarli na swoich miejscach. Potem Ed odwrócił się i posłał Mackom ostrożny, choć uspokajający uśmiech.

– Chyba się skończyło – powiedział.

– Na chwilę – odparł ze znużeniem Dale Mack, nadal obejmując żonę. – Hm, dokładnie o tym mówiliśmy wam przez telefon. To się dzieje przez cały czas.

Ed spojrzał na Lorraine.

– Wychwyciłaś coś? – zapytał.

Położyła sobie dłoń na piersi i westchnęła ciężko.

– Ed, to z całą pewnością jest zły duch. Nie jakiś tam poltergeist, jak sądziliśmy na początku. To zły duch, a jego zamiary są wrogie. I jest zdecydowany.

Głową wskazał na magnetofon.

– Nagrywa się?

– Cały czas – potwierdziła.

Ed ruszył w stronę Macków, uśmiechając się do ich córki, która była tak przerażona tym, co zobaczyła, że nadal stała – teraz obok rodziców – ze sztywnymi plecami, dłońmi przyciśniętymi do ust i wielkimi oczami.

– Chciałbym wam zadać kilka pytań – powiedział cicho. – Przejdźmy może do salonu, usiądźmy i spróbujmy się uspokoić.

Lorraine poszła wraz z nimi do sąsiedniego pokoju. Usiadła na sofie obok Eda i położyła magnetofon na stoliku kawowym.

– Myślę, że przede wszystkim musimy się dowiedzieć – oznajmił, składając razem swoje wielkie dłonie – czy większość tej aktywności koncentruje się wokół pani, pani Mack.

Kobieta otworzyła usta, ale nie zdołała dobyć z siebie głosu. Skinęła tylko głową.

– Tak, zdecydowanie – powiedział jej mąż. – W zasadzie zawsze. Zawsze jest w to jakoś zaangażowana. Nigdy nic jej się nie stało. – Siedzieli razem na małej kanapie. Delikatnie położył jej dłoń na kolanie. – Chyba? – zapytał, patrząc na żonę. – Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Pokręciła głową i wreszcie odezwała się zachrypniętym głosem.

– Nie. Nigdy. Tylko… strach. To mnie przeraża.

– To oczywiste – powiedział Ed. – *Powinno*. Ale jeśli nie dzieje się pani krzywda, to wygrywamy. Po prostu chciałem wiedzieć, czy poświęca więcej uwagi pani, niż komuś innemu. Hm… Powiedzcie mi proszę, czy ktokolwiek z waszej rodziny interesuje się okultyzmem? Jakieś tablice Ouija, tarot, demonologia, tego rodzaju rzeczy?

Pani Mack stanowczo pokręciła głową.

– Nie. Nigdy w życiu.

Sophie też pokręciła głową i Ed spojrzał na nią pytająco.

– Nie. Już tutaj nie mieszkam, ale, no, jestem jedynaczką, więc raczej bym o tym wiedziała. Nigdy nie bawiłam się w taki sposób,

i o ile mi wiadomo, rodzice też nie. Zresztą po co? Zawsze byliśmy chrześcijańską rodziną i po prostu nie tykamy takich rzeczy.

– Okay – powiedział Ed, kiwając głową – to dobrze. Teraz kolejne pytanie i proszę, nie czujcie się urażeni. To coś, o co *musimy* zapytać, tylko jako o pewien środek ostrożności, i mam nadzieję, że odpowiecie szczerze. Czy ktokolwiek z was bierze narkotyki albo nałogowo pije?

– Nie, absolutnie nie – powiedział Dale.

– Nawet gdy byłam młodsza, to nigdy – dodała Sophie.

Ed skinął głową z namysłem, a potem znowu spojrzał na Dale'a i Florence.

– Mieszkacie w tym domu dopiero od… jak dawna?

– Od prawie trzech lat.

Kolejne skinienie. Ed odwrócił się do Lorraine.

– Chcesz się rozejrzeć?

– Cóż, mogę, ale to bardzo mały dom. Nie wiem, czy jest taka potrzeba. Sporo już widzieliśmy.

– No, to na pewno. Proszę państwa, natychmiast przyślemy tutaj badaczy, którzy spędzą z wami trochę czasu. Jeśli to możliwe, chciałbym, żeby spędzili tutaj cały dzień i noc i nagrywali wszystko, co się będzie działo. Za kilka dni wrócimy z kamerą video, żeby nagrać z wami większy wywiad i zebrać wszystkie fakty od samego początku. Czyli to, co już nam powiedzieliście, i jeszcze więcej. Chcemy mieć nagrane wszystko, dosłownie wszystko.

– Żaden problem – powiedział Dale.

– Dobrze. Kolejnym krokiem będzie sprowadzenie tutaj kapłana. Jesteście ludźmi religijnymi?

– Cóż, zawsze byliśmy katolikami, ale… nie praktykujemy od wielu lat.

– Ale nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żebyśmy sprowadzili księdza?

– Ależ skąd.

– Bo podejrzewam, że będziemy potrzebowali egzorcyzmu.

– Może mi pan coś powiedzieć? – zapytał Dale. – Może mi pan powiedzieć, dlaczego to coś uwzięło się na moją żonę? Mam wrażenie, że zawsze jest w samym centrum wydarzeń. To zawsze dzieje się wokół niej. To nie pierwszy raz, gdy się tak unosiła. Nie rozumiemy tego.

– Szczerze powiedziawszy, to nie mam pojęcia. Podejrzewam jednak, że gdy zadamy wam jeszcze kilka pytań, to może nam się coś wyklarować w tej kwestii.

Ed odpowiadał dyplomatycznie. Z doświadczenia wiedział, że takie rzeczy nie dzieją się zwykle bez powodu. Podejrzewał, że wbrew temu, co mówią, zajmowali się jakimiś działaniami magicznymi. Być może pani Mack, na własną rękę i bez wiedzy męża, konsultowała się z tablicą Ouija albo z medium, albo brała udział seansach spirytystycznych, żeby skontaktować się z jakimś zmarłym krewnym. Ale nie chciał teraz o tym mówić, bo wiedział, że takie domniemania wprawiają ludzi w gniew, nawet jeśli były prawdziwe – a może *zwłaszcza*, gdy były prawdziwe.

Wyszli od Macków, uśmiechając się i ściskając dłonie (chociaż pani Mack nadal była tak roztrzęsiona, że zmartwiała i milcząca została na kanapie w salonie) i poszli do pobliskiej kawiarni, by omówić to, czego się dowiedzieli.

To był popularny lokal, wokół panował hałas i musieli mówić głośniej niż zwykle, żeby się słyszeć.

– Myślę, że najlepszy byłby Mike – powiedziała Lorraine. – Powinniśmy go posłać. Ma już doświadczenie z takimi sytuacjami i uważam, że sobie poradzi.

– Tak, pewnie tak. – Ed wypił łyk kawy. – Czyli uważasz, że to zły duch?

– Tak. I sądzę, że nie zagnieździł się tam bez przyczyny.

– Chcesz powiedzieć, że go ze sobą przywlekli?

Kiwnęła głową.

– Jakoś. Skoro koncentruje się na żonie, to pewnie chodzi o coś, co ona robi. Ale zwykle tak to jest, nie? Nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy.

Ed kiwnął głową, wzdychając ciężko i ze znużeniem. Oboje mieli za sobą ciężki dzień – ciężki tydzień – i byli zmęczeni.

– Chcesz coś zjeść? – spytał Ed.

– Jasne, zgłodniałam. Ale pamiętaj, żadnego czerwonego mięsa. Musisz je ograniczyć, pamiętasz?

– Taa, taa, taa. Bo inaczej mnie zabijesz, co? – wymamrotał.

Wzięli karty i zaczęli je przeglądać w przyjemnym milczeniu pary, która jest małżeństwem od wielu lat.

✞ ✞ ✞

Gdy Ed miał pięć lat, jego rodzina wprowadziła się na górne piętro dwurodzinnego domu na Jane Street w Bridgeport, Connecticut. Dokładnie naprzeciwko znajdował się kościół św. Jana, do którego chodzili dziadkowie Eda i do którego zaczęli uczęszczać jego rodzice.

W tym domu na Jane Street rozpoczęło się to, co stało się życiową misją Eda, namiętne zainteresowanie, które doprowadziło go w bardzo dziwne miejsca i przez które widział różne przerażające rzeczy. Był bardzo młody, gdy ten dom zmienił go na zawsze.

Ponieważ ten dom był nawiedzony.

Każdy członek rodziny – Ed, jego siostra bliźniaczka, jego brat i rodzice – wielokrotnie widywali zjawę starej kobiety, która zawsze wyglądała nieszczególnie przyjaźnie.

Ojciec Eda był policjantem, surowym, ale rozsądnym człowiekiem. Nie chciał, żeby jego dzieci się bały i próbował im wmówić, że musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co widzieli. Ale wszyscy wiedzieli, w czym rzecz.

Co niedzielę na śniadanie przychodzili dziadkowie Eda i dźwięk ciężkich kroków dziadka, postukiwanie jego laski, świszczący

oddech, gdy wchodził po schodach, stały się bardzo znajome.

Gdy kilka lat później dziadek zmarł, babcia była, co zrozumiałe, zdruzgotana, i mama często do niej zaglądała, żeby się upewnić, że wszystko z nią w porządku. Któregoś dnia wyszła do niej później niż zwykle i wróciła bardzo późno wieczorem, gdy dzieci już się kładły. Ed wyszedł ze swojego pokoju i zapalił światło, żeby nie potknęła się na schodach. Gdy wracał do sypialni, uświadomił sobie, że to nie mama się po nich wspina. Słyszał szurające kroki, stukanie laski, świszczący oddech…

Po schodach wchodził dziadek, dziadek, który nie żył już od jakiegoś czasu. Ed słyszał, jak wchodzi do kuchni i chwilę się po niej kręci.

Mniej więcej w tym samym czasie Lorraine chodziła do katolickiej szkoły i starała się ukryć przed zakonnicami nową umiejętność, którą odkryła niedawno, w wieku dziewięciu lat.

Lorraine widziała wokół ludzi światła. Z brzegów ich ciał wypływały kolory. Były bardzo ładne, ale Lorraine nie wiedziała, co to znaczy – o ile w ogóle coś znaczyło.

Siostry stale ganiły ją za poruszanie tego tematu. Powiedziano jej, że ma bujną wyobraźnię i to wszystko. Szybko się nauczyła, żeby zachowywać kolory dla siebie. Ale to nie sprawiło, że przestała je widzieć.

W świecie Lorraine nie było nikogo, kto potrafiłby jej odpowiedzieć, czym one były. Jakiś czas później Lorraine uświadomiła sobie, że widzi ludzką aurę Itak; będąc jasnowidzącą, była w stanie zobaczyć i wyczuć wiele rzeczy, których większość ludzi nie potrafiła.

Poznali się, gdy mieli po szesnaście lat. Znaleźli się jak w korcu maku. Lorraine z dumą mówiła przyjaciołom, że Ed był jej jedynym chłopakiem.

Po tym, jak się pobrali, Ed ukończył szkołę plastyczną i chevroletem z 1933 roku, którego kupił za piętnaście dolarów, jeździli po kraju i sprzedawali jego obrazy. Ale gdy tylko usłyszeli

albo przeczytali w gazecie o jakimś nawiedzonym domu, jechali tam i Ed go malował. Potem Lorraine brała obraz, pukała do drzwi i mówiła: „Mój mąż maluje nawiedzone domy i namalował wasz. Chcielibyśmy, żebyście mieli ten obraz”. Dzięki temu prawie zawsze byli zapraszani do środka i mogli wypytać o nawiedzenie ludzi, którzy tam mieszkali, więc mieli relacje z pierwszej ręki.

Przez lata, opierając się na swoich badaniach – które z biegiem czasu były coraz szerzej zakrojone – Ed i Lorraine zaczęli rozwijać teorie działania nawiedzeń, dlaczego do nich dochodziło i co je sprowadzało. Przeczytali niezliczone książki na ten temat, ale, jak to w trakcie badań powiedziała Lorraine, „ci ludzie chyba czytali te same książki, co my!”. Nie polegali zatem na tych wtórnych i wsobnych pracach, gdy rozwijali to, co zmieniło się w New England Society for Psychic Research, Towarzystwo Badań Parapsychicznych Nowej Anglii; opierali się wyłącznie na własnych doświadczeniach, na rzeczach, których byli świadkami.

W miarę mijania lat powstawały o nich książki i filmy. Zaczęli prowadzić wykłady o tym, czego się dowiedzieli, a ich studenci sami zostawali badaczami. Podróżowali po całym kraju i występowali w college’ach, opowiadając o swoich doświadczeniach i o tym, czego się z nich nauczyli.

Dziecięce doświadczenie mieszkania w nawiedzonym domu Ed zmienił w dzieło życia, a Lorraine dołączyła do niego, by wykorzystywać talent, którego, gdy była dzieckiem, nikt nie traktował poważnie.

✞ ✞ ✞

Teraz zaś siedzieli w głośnej i popularnej kawiarni w Litchfield, Connecticut, i czekali na swoje zamówienia.

Gdzieś w głębi lokalu zapiszczał jakiś telefon.

Lorraine odsunęła się od stolika i wstała.

– Hej, a ty co robisz? – zaśmiał się Ed.

Kobieta zamarła, otworzyła usta i przycisnęła dłoń do piersi.

– O mój Boże. Szłam odebrać telefon. – Zakryła usta dłonią i wróciła do stolika.

Ed parsknął głębokim, dźwięcznym śmiechem, całe jego ciało drżało. Pokręcił głową.

– O rany, Lorraine, to jest naprawdę niezłe.

Ona też się roześmiała.

– No co, w domu telefon dzwoni bez przerwy i mam wrażenie, że nie robię nic innego, tylko odbieram.

– Tak, tak – rechotał. – Ale wiesz, w *kawiarni*? Wiesz, Lorraine, o czym to świadczy? Że potrzebujemy urlopu. Że bardzo potrzebujemy urlopu, bo za ciężko pracujemy.

– Cóż, właśnie wzięliśmy kolejną sprawę.

– Mam przeczucie, że nie zajmie dużo czasu. To znaczy raczej nie trzeba będzie się nachodzić, żeby Kościół dał zgodę na egzorcyzm. To oczywiste, co się tam dzieje. Ale gdy tylko z tym skończymy, jedziemy na wakacje. Potrzeba nam przerwy.

Minęły miesiące, zanim udało się zamknąć tę sprawę i przeprowadzić wyczerpujący egzorcyzm, który jednak uwolnił Macków od demonów nawiedzających ich w ich własnym domu.

Ale oczywiście Ed i Lorraine nie wiedzieli nic o Snedekerach i rzeczach, które się u nich działy.

Wakacje, których tak potrzebowali, musiały jeszcze zaczekać.

DZIEWIĘTNAŚCIE

CIEMNOŚĆ CORAZ BLIŻEJ

Al i Carmen Snedekerowie byli przybici tym, co Stephen zrobił swojej kuzynce i jego hospitalizacją, ale zakładali, że wraz z jego zniknięciem atmosfera w domu się poprawi. Od tak dawna byli spięci i podminowani, że mieli nadzieję na ulgę, na powrót względnej normalności. Zakładali, że młodsze dzieci będą spokojniejsze bez Stephenowych opowieści o duchach i zjawach, i że Laura i Mary też w efekcie będą spokojniejsze.

Mylili się.

W ciągu kolejnych tygodni wciąż od czasu do czasu wydarzały się drobne, dziwne rzeczy – hałasy, ulotne widziadła czegoś, co przemykało po pokoju, nagłe zmiany temperatury i niewytłumaczalne poczucie, że ktoś cię obserwuje, czy zwykłe, ściskające serce lęki – wszystko to zaczęło eskalować, natężenie i częstotliwość zdarzeń wzrastały, aż te małe rzeczy nie były już takie małe.

Okazało się, że to, co działo się przed wyjazdem Stephena, było zaledwie początkiem czegoś większego.

Cokolwiek czaiło się w domu Snedekerów, nie marnowało czasu i dawało o sobie znać reszcie rodziny.

Wieczorem po wyjeździe Stephena Al oglądał telewizję i pił piwo, a Peter i Stephanie siedzieli na podłodze i rysowali. Michael był

w swoim pokoju i odrabiał lekcje, a dziewczęta, Laura i Mary, pomagały Carmen sprzątać w kuchni.

Od incydentu ze Stephenem Carmen zwracała szczególną uwagę na Mary; upewniła się, że fizycznie nic jej się nie stało, przeprosiła ją wylewnie i powiedziała, że w każdej chwili może z nią porozmawiać. Jednak Mary powiedziała, że nie chce tu dłużej być. Carmen doskonale to rozumiała i zadzwoniła do swojej kolejnej siostry, która też mieszkała w Connecticut, czy Mary mogłaby się u niej zatrzymać na jakiś czas; siostra się zgodziła i powiedziała, że rano po nią przyjedzie.

Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami, dzieci chichotały cicho na podłodze w salonie tak, żeby nie przeszkadzać tacie, który oglądał stary, czarno-biały film wojenny, Carmen z dziewczętami śmiały się i rozmawiały w kuchni, do zlewu lała się woda, pobrzękiwały zmywane naczynia.

Al skończył piwo tuż przed przerwą na reklamę. Wstał z fotela, poszedł do kuchni, wrzucił pustą butelkę do kosza i sięgnął do lodówki po następną.

Zamarł gwałtownie, sięgając po butelkę, gdy cały dom zadygotał z potężnym, ogłuszającym łup!

Wszyscy zamilkli i zamarli w bezruchu.

Znowu łupnęło. Szyby w oknach zadrżały. Butelki w lodówce zadzwoniły.

Trzeci raz, a potem… cisza.

Na schodach zadudniły pospieszne kroki.

– Tato! *Tato*! – wrzasnął Michael, ślizgając się w skarpetkach po podłodze.

Za nim wpadła Stephanie, trzymając za rękę Petera, oboje z wielkimi oczami.

– Tato, co to było? – spytał Michael schrypniętym głosem.

– Nie wiem, ale na pewno się dowiem, do cholery. Trzęsienie ziemi? – zwrócił się do Carmen.

– Nie wydaje mi się. To raczej brzmiało jak jakiś wybuch.

– No dobra. Pójdę się rozejrzeć. – Wychodząc z pomieszczenia, spojrzał na Carmen i kciukiem pokazał na sufit. – Vanowenowie są w domu?

– Nie, wyjechali, pamiętasz? Na trzy dni. Wracają jutro wieczorem.

– Czyli na górze nikogo nie ma?

– Al, to nie było z góry. To brzmiało jakby z dołu, od nas.

– Szlag – syknął i wyszedł.

Pozostali nie ruszyli się z miejsca. Stali tylko i spoglądali po sobie nerwowo.

Al obszedł cały dom, łącznie z piwnicą. Wyjrzał przez każde okno, zajrzał za każde drzwi, w każdym pomieszczeniu szukał śladów zniszczeń, wąchał nawet, czy nie wyczuje zapachu gazu albo spalenizny. Ale niczego nie znalazł.

Bardzo zdziwiony wrócił do kuchni, z której nikt się w tym czasie nie ruszył. Wszyscy trochę się uspokoili, ale nadal byli zagubieni.

– Znalazłeś coś? – zapytała nerwowo Carmen.

– Nie. Niczego.

Alowi w sumie było wstyd to przyznać. Te trzy huki, które usłyszeli, były potężne i nie dochodziły z sąsiedztwa, ale z domu. To, że nie udało mu się niczego znaleźć, oznaczało, że tego nie kontrolował, a wiedział, że wszyscy liczą na to, że da im odpowiedź; tymczasem jej nie miał. Ostatnio w tym domu działo się o wiele za dużo rzeczy, których nie kontrolował.

– Ale to było tutaj – odezwał się Michael. – W domu.

Zadzwonił telefon.

– Odbiorę – powiedziała Carmen. Poszła do salonu, opadła na sofę i podniosła słuchawkę. – Halo?

– Carmen? Tu Tanya.

Carmen pochyliła się i rozjaśniła.

– Słyszałaś to?

– Co takiego?

– Te łomoty. Trzy razy. Potężne huki, prawie jak eksplozje. Słyszałaś je? Dlatego…

– Nie, niczego nie słyszałam. Dzwonię, bo… wiem, że to dziwnie zabrzmi, ale przypadkiem wyjrzałam przez okno i, no… wiesz, że po pokoju nad wami chodzi jakaś bardzo dziwna kobieta?

Carmen opadła szczęka.

– Co?

– No serio, nie żartuję, widziałam ją. Tam jest jakaś kobieta. Jest zielona i świeci. Widziałam, jak chodzi pod oknem w tę i z powrotem. Wygląda na, hm… wkurzoną. Może wściekłą.

Przez głowę Carmen przeleciały wszystkie dziwne i straszne rzeczy, które wydarzyły się przez ostatni rok. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Tanya, proszę… Proszę, powiedz mi, że sobie żartujesz, powiedz mi, że to żart.

– Myślisz, że dzwoniłabym, żeby sobie robić takie żarty? – spytała sąsiadka z niedowierzaniem.

– Nie, masz rację. Zaczekaj proszę. Nie rozłączaj się. – Odłożyła słuchawkę i pobiegła do kuchni. – Al, dzwoni Tanya. Mówi, że na górze ktoś się kręci.

Zmarszczył brwi.

– *Co?*

– Yyy, pozwól na moment. – Wyszła z nim do holu za jadalnią. – Mówi, że to zielona, świecąca kobieta – wyszeptała.

Wywrócił oczami.

– Carmen, czy mogłabyś z łaski swojej…

– Nie, mówię poważnie. Ona nie żartuje. Al, *pomyśl*! – syknęła. – Co się wyprawia w tym domu? Przecież większości zdarzeń nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć!

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, potem pokręcił głową.

– Nie. Faktycznie nie – przyznał. Sięgnął po jej dłoń i ścisnął ją krótko. – Wyjdę na dwór się rozejrzeć, sprawdzę, czy ją zobaczę. Bo wiesz, drzwi są zamknięte na klucz i…

– Tak, wiem. Idź.

Al wyszedł, a Carmen wróciła do telefonu.

– Tanya? Al poszedł spojrzeć.

– Yhm, ale ona zniknęła. Jestem właśnie przy oknie. Zniknęła. Nie widzę jej.

– Żartujesz sobie. Zniknęła? Naprawdę?

– No, nie widzę jej. Zniknęła z tego okna już chwilę temu.

Carmen westchnęła.

– Okay, Tanya, muszę kończyć. Pójdę po Ala i mu powiem.

– Carmen, zaczekaj sekundę. Pamiętasz ten magazyn, który ci pokazywałam? Zabrałaś go do domu. Był tam artykuł o tych ludziach, Warrenach, Edzie i Lorraine, pamiętasz? Naprawdę uważam, że powinnaś do nich zadzwonić. *Naprawdę*. Dzieje się u was coś bardzo dziwnego i myślę, że ich *potrzebujecie*.

– Tak, no cóż… Może i to przemyślę. Dzięki za telefon.

Carmen rozłączyła się i wyszła do Ala. Stał w pobliżu domu Tanyi i patrzył w górę.

– Tanya powiedziała, że zniknęła – powiedziała Carmen, podchodząc do niego.

– *Co?*

– Powiedziała, że ta kobieta zniknęła. Nie widziała jej od kilku minut.

– No to pewnie miała jakieś zwidy – powiedział ze złością.

– Al, wiesz przecież, że nie. W naszym domu dzieje się coś naprawdę dziwnego.

– Cholera, za dużo się nasłuchałaś Stephena. Carmen, on jest chory. Już o tym wiesz. Jest bardzo chory, a te rzeczy, które widział i słyszał, to tylko symptomy choroby. To wszystko.

– Rany, Al, i co, czy to tłumaczy to wszystko, co się dzieje w tym domu? Chcesz powiedzieć, że nie przydarzyło ci się tutaj nic, co by cię diabelnie nie wystraszyło? Bo ja się przyznaję, że mnie przeraziło

całkiem sporo rzeczy! No więc pytam, co się tam stało? Co to był za dźwięk? Dlaczego okna się trzęsą? Co to było?

Al gniewnie ściągnął wargi i słyszała, jak zgrzyta zębami.

– Nie chcę więcej słyszeć o tych bredniach, okay? Nie chcę o tym słyszeć! Wszystko, co się dzieje w tym domu, da się wytłumaczyć, rozumiesz? Bo zaczynasz brzmieć jak ten twój cholerny, stuknięty synalek!

Al odwrócił się na pięcie i zostawił ją samą. Raz jeszcze spojrzała w tamto okno, ale niczego nie zobaczyła. Potem poszła za mężem do domu.

W ciągu następnej godziny wszyscy, jedno po drugim, wciąż zakłopotani i bardziej niż trochę podenerwowani, zdecydowali się iść do łóżka.

Carmen poszła na dół z synami. Wcześniej Al przeniósł łóżko Stephena z powrotem do pokoju Michaela. Widziała, że te dźwięki jakby wybuchów zdenerwowały chłopców, nawet jeśli nic nie mówili, i miała wielką nadzieję, że nie podsłuchali rozmowy o świecącej na zielono kobiecie w oknie na górze; to by ich naprawdę przeraziło. Bała się, że nie będą chcieli spać na dole – nie chciała znowu tego przerabiać – więc postarała się, żeby czuli się możliwie bezpiecznie.

Gdy już znaleźli się w łóżkach i słuchali cichej muzyki płynącej z radia stojącego na stoliku nocnym między nimi, Carmen pocałowała każdego na dobranoc, wróciła na górę i zajrzała do Laury i Mary.

Laura, w szarej koszulce o trzy rozmiary za dużej, siedziała w łóżku i w świetle nocnej lampki czytała swoją Biblię. Mary leżała zwinięta na łóżku obok, ledwie widoczna pod kołdrą.

– Śpi? – spytała szeptem Carmen.

Laura pokręciła głową.

– Nie sądzę… Po prostu… – Popatrzyła na siostrę. – Myślę, że nie chce z nikim rozmawiać.

– Och. A jak ty się czujesz?

Wzruszyła ramionami i zawahała się.

– Ciociu, pamiętasz, co ci mówiłam o tym domu? O tym… jak się w nim czuję?

Zaczyna się, pomyślała Carmen.

– Tak, pamiętam. I myślisz, że te dzisiejsze dźwięki potwierdzają twoje odczucia.

Skinęła głową.

– I słyszałam, co powiedziałaś do wujka o tej kobiecie na górze. Ciociu, myślę, że w tym domu jest coś naprawdę dziwnego. Nawet jeśli… jeśli mi nie wierzysz.

– Wiesz, Lauro… – Usiadła na brzegu łóżka i dotknęła przedramienia siostrzenicy. – Niechętnie to przyznaję, ale zaczynam myśleć, że możesz mieć rację. – Głową wskazała na otwartą Biblię na kolanach Laury. – Ale to pomoże. Zawsze pomaga.

– Wiem – odparła dziewczyna.

Carmen, zanim wyszła z pokoju, podeszła do polówki, na której w bezruchu i milczeniu leżała Mary. Delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu.

– Skarbie, śpisz?

Mary pokręciła głową na poduszce.

– Dobrze się czujesz?

Pokiwała głową.

– Na pewno?

Mary obróciła się i spojrzała na Carmen.

– Ciociu, jesteś na mnie zła, że chcę wyjechać?

– Oczywiście, że nie! Doskonale to rozumiem. Na twoim miejscu też pewnie chciałabym wyjechać. Wyśpij się porządnie, a rano przyjedzie po ciebie ciocia Lacey, okay?

Dziewczynka skinęła głową i zawinęła się z powrotem w kołdrę.

Carmen, wychodząc z pokoju, pomachała do Laury i poszła do pokoju Petera, w którym spała Stephanie. Światło było włączone, a jej córka siedziała w łóżku.

– Mamo, nie chce mi się spać – powiedziała.

– Może miałabyś ochotę poczytać książeczkę? Albo pokolorować? Możesz posłuchać muzyki, tylko cicho. Mam włączyć radio?

– Och… chyba trochę pokoloruję.

– W porządku, słoneczko. Proszę bardzo.

Gdy wyszła od Stephanie, sama wreszcie poczuła się senna. Za bardzo martwiła się o wszystkich innych i nie myślała o własnym śnie.

W sypialni zobaczyła, że Al już zasnął. Ulżyło jej. Nie sądziła, żeby w ten wieczór jakakolwiek rozmowa mogła być miła, nie po tym incydencie z zieloną kobietą na górze.

Carmen się rozebrała, umyła zęby i włożyła koszulę nocną, a potem cicho wsunęła się do łóżka, uważając, żeby nie obudzić męża.

✞ ✞ ✞

Laura czytała Psalm 23 – dla niej najbardziej podnoszącą na duchu i kojącą część Biblii – gdy odniosła wrażenie, że pod kołdrą coś sunie wzdłuż jej nagich nóg. Zmarszczyła brwi i kopnęła, zamarła… czekała… i nie poczuła niczego. Wróciła do lektury.

Znowu to poczuła, coś wspinało się na jej lewe udo. Zaczęła kopać.

Przestało.

Na jej skórze pojawiła się gęsia skórka. To nie było uczucie, które odczuwa się przy skurczu nerwu czy pełzaniu owada.

To było uczucie przypominające dotyk palców.

Gdy poczuła to znowu, tym razem było to na samej górze jej uda i gwałtownie przesunęło się w górę.

Głośno złapała oddech, gdy poczuła jakby palce, które z wielką determinacją wpychały się pomiędzy jej nogi.

Laura wyprostowała się mocniej i odrzuciła kołdrę.

Były tam tylko jej nogi, rozsunięte i drżące.

Znowu poczuła palce między udami, badawcze, i sekundę później wchodzące w nią, choć cały czas nie widziała *niczego*.

Laura zerwała się z łóżka i ściągnęła z niego pościel. Starannie przeszukała łóżko, przejrzała załamania prześcieradła, koce, ale niczego nie znalazła. Nic nie świadczyło o tym, żeby cokolwiek tam było.

Zastanawiała się, czy nie obudzić cioci Carmen, ale co by to dało? Nie miała dowodu, że coś ją dotknęło. Gdyby komuś o tym powiedziała, to uznaliby, że spała i coś jej się przyśniło, poza tym to byłoby krępujące.

Ostatecznie Laura zrzuciła pościel na podłodze i położyła się obok łóżka.

Minęło wiele czasu, zanim zapadła w sen, ale miała paskudne koszmary.

✞ ✞ ✞

Stephanie kolorowała obrazki, gdy zobaczyła, że coś, cicho i spokojnie, przemieszcza się przez pokój.

Najpierw kącikiem oka pochwyciła jakiś ciemny ruch, podniosła wzrok znad kolorowanki i zobaczyła bezkształtną masę, która bardzo przypominała czarny cień… poza tym, że wychodził ze ściany i przesuwał przez środek pokoju, cień, którego nic nie rzucało, ciemny, a jednak przezroczysty, jego kulisty kształt zmieniał się płynnie podczas ruchu, aż gładko, bezdźwięcznie przeniknął przeze drzwi do pokoju i zniknął.

Stephanie nie okazała żadnej reakcji, ale czuła, jak szybko bije jej serce.

Zastanawiała się, czy kogoś obudzić, komuś powiedzieć… Ale po co? Stephen bardzo długo próbował im to powiedzieć, a oni go nie słuchali. No to dlaczego ktoś miałby słuchać jej?

Wyciągnęła rękę i włączyła radio, zakopała się pod kołdrą, z sercem nadal w gardle, i dalej kolorowała obrazki.

✞ ✞ ✞

Michael leżał w łóżku, nasłuchując powolnego, regularnego oddechu swojego brata, żałując, że sam nie może zasnąć.

W rogu pokoju zostawił włączoną małą lampkę nocną, bo dziś jakoś nie czuł się za dobrze, przebywając w ciemnościach.

Wpatrywał się w pełen cieni sufit, gdy usłyszał szepty. Nie rozumiał, o czym mówiły szepczące głosy, nie potrafił wskazać ich źródła – ale słyszał je z całą pewnością.

Leżąc sztywno w łóżku, szeroko otwartymi ze strachu oczami rozejrzał się po pokoju.

Szepty brzmiały nagląco; odezwał się jeden głos, potem inny, jakby wymieniały wielkie i bardzo ważne tajemnice.

Przez długi czas wpatrywał się w pustkę i słuchał.

Potem zapadła cisza.

Zastanawiał się, czy pójść na górę i obudzić rodziców, ale potem przypomniał sobie, jak reagowali na słowa Stephena, i zrezygnował. Po prostu leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, czekając, czy znowu rozlegną się te szepty.

Potem Peter zaczął krzyczeć tak, jakby umierał, wijąc się w łóżku jakby z bólu.

✞ ✞ ✞

Carmen usiadła w łóżku, wyrwana ze snu krzykami syna.

Wyciągnęła rękę i potrząsnęła Alem, próbując go obudzić.

– Al, obudź się – syknęła. – Dalej, obudź się!

Ale on nawet nie drgnął.

– Al, pobudka!

Nic.

Dała sobie spokój i zaczęła nasłuchiwać. Krzyki ustały, ale usłyszała słabe, stłumione głosy. Wstała i poszła na dół, gdzie rozmawiali Michael i Peter.

– Co się stało, skarbie? – spytała, podchodząc do łóżka młodszego z synów.

Spojrzał na nią zapuchniętymi oczami. Policzki miał mokre od łez.

– Coś mnie użądliło! – powiedział. – Jak pszczoła! Jak wtedy, kiedy użądliła mnie tamta pszczoła!

– Kotku, czy coś ci się przyśniło?

– Nie, nie! To nie był sen!

Zdjęła z niego kołdrę i rozpięła guziki od jego piżamy, żeby go obejrzeć. Nic nie znalazła. Żadnych śladów, żadnej opuchlizny.

– Peter, niczego tu nie widzę – powiedziała cicho.

– Ale coś mnie użądliło! – krzyknął. – Coś mnie żądliło raz za razem!

– Skarbie, niczego nie *widzę*. Może ci się tylko coś przyśniło.

Zmrużył oczy, usta wygiął w podkówkę i zaczął płakać.

– Przepraszam, skarbeńku, ale nic nie widzę.

Teraz po prostu płakał cicho, po policzkach spływały mu łzy.

– Chcesz, żebym z tobą posiedziała, aż zaśniesz?

Bez słowa skinął głową.

– Okay. Obiecuję, że nie pójdę, póki nie zaśniesz. Dobrze?

Kolejne skinienie głową.

Carmen spojrzała na Michaela, który siedział na brzegu swojego łóżka i spoglądał na nich z niepokojem.

– Zostanę tu na chwilę – wyszeptała.

– Dobrze. – Michael kiwnął głową, powoli gramoląc się z powrotem do łóżka. – Bo wiesz co, mamo? Co byś sobie nie myślała, z tym domem jest coś naprawdę dziwnego… a ja o wiele łatwiej zasnę, skoro wiem, że tu jesteś.

Carmen uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Okay, kochanie. – powiedziała. Ale słowa jej syna ją zmroziły.

✞ ✞ ✞

Carmen obudziła się nagle tuż przed piątą rano i już nie mogła zasnąć. W domu było cicho; nie wydarzyło się nic, co mogłoby ją wyrwać ze snu.

Wstała, nałożyła szlafrok, poszła do kuchni i zaparzyła sobie herbaty. Przerzucała magazyny zgromadzone w salonie, aż znalazła ten, który dała jej Tanya. Otworzyła go na artykule o Edzie i Lorraine Warrenach i przeczytała go uważnie, popijając herbatę.

Później, na chwilę zanim wszyscy zaczynali się budzić, Carmen przygotowała duże śniadanie. Jak zwykle zapach jajek, bekonu i kawy wypełnił cały dom i wszyscy, jedno po drugim, zaspani i ziewający, prowadzeni wskazaniami nosów, trafili do jadalni.

Ale nikt się nie odzywał. Żadnych „dzień dobry", nawet sennych, mamrotanych pozdrowień. Milczał nawet Peter, który tak wcześnie rano zazwyczaj był najbardziej żywiołowym członkiem tej rodziny.

Wszyscy jedli w milczeniu, jakby nad stołem unosiła się niewidzialna, ciemna chmura. Sztućce stukały o talerze. Napięcie rosło.

Wreszcie Carmen odłożyła widelec, przełknęła to, co miała w ustach, oparła łokcie na stole, a podbródek na dłoniach. Przez chwilę poruszała bezgłośnie ustami, próbując kupić sobie trochę czasu.

– Wiesz, od wczorajszego wieczora się zastanawiam… – zaczęła wreszcie.

– Tak, wiem, i nie chcę tego słyszeć – powiedział cicho Al, nie podnosząc wzroku znad talerza.

– Nie, proszę, daj mi moment – odchrząknęła. – Myślałam sobie, że może, hm, może zbyt się pospieszyliśmy, karząc Stephena w taki

sposób… odrzucając to, co mówił o tym domu… o tym, że, no wiesz, jest w nim coś dziwnego.

– Tak, dokładnie o to chodziło – powiedział Al twardszym głosem. – Dokładnie tego nie chcę słyszeć. I nie chcę słyszeć już *ani słowa*, rozumiesz? To zwykłe brednie. Stephen był chory, jest chory, a teraz go leczą. Po prostu nastraszył nas tymi swoimi opowieściami, to wszystko.

– No to jak wytłumaczysz te dźwięki z wczorajszego wieczora? – spytała Carmen.

– Nie wiem, ale się temu przyjrzę. Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie.

Laura siedziała z dłońmi na kolanach, wpatrując się w swój talerz.

– Ja wczoraj… – odezwała się głosem bliskim szeptu. – Ciągle czułam, jak… jak coś… jak coś mnie dotyka… moich nóg i… i… – Nagle odetchnęła głęboko i na moment zamknęła oczy. Potem uniosła głowę i spojrzała na nich. – To była ręka. Dotykała mnie. Tak, jak dotykałby mężczyzna, tylko… brutalnie i… i… mocno.

– Wczoraj wieczorem widziałam, jak przez mój pokój coś przechodzi – powiedziała Stephanie z ustami pełnymi bekonu, tonem tak swobodnym, jak tylko dziecko może mówić w obliczu czegoś dziwacznego. – To było jak… cień. Taki wielki glut z cienia. Nie robił żadnego hałasu, po prostu wyszedł ze ściany i przeniknął przez drzwi.

Al z wściekłością upuścił widelec na talerz i przestał żuć. Gniewnym wzrokiem patrzył na wszystkich po kolei.

– Słuchajcie, nie mam na to nastroju, okay? – wyszeptał drżąco. – Nie mogę się dziś obudzić, czuję się, jakbym był naćpany, więc po prostu… odpuśćcie sobie, dobrze? – Chwycił widelec i wrócił do jedzenia.

– Aha, czyli to dlatego się wczoraj nie obudziłeś? – spytała Carmen.

– Co?

– Wczoraj w nocy, gdy Peter zaczął krzyczeć. Próbowałam cię obudzić, ale nawet nie drgnąłeś. Powiedział, że coś go użądliło.

– Tato, to bolało! – wyrwał się Peter. – Jak pszczoły! Jakby żądliły mnie pszczoły!

– Ja słyszałem szepty w pokoju – odezwał się bojaźliwie Michael. – Jakieś głosy mówiły szeptem.

Al tym razem rzucił widelec, odepchnął się od stołu i cisnął serwetkę obok talerza.

– Cholera jasna! – warknął. – Idę do pracy.

Wyszedł z pokoju, nie żegnając się z nikim, a po chwili usłyszeli, jak trzasnął drzwiami frontowymi.

Wreszcie wszyscy wrócili do jedzenia.

– Nie martwcie się, dzieci – powiedziała cicho Carmen. – Ja wam wierzę. A prędzej czy później ojciec też wam uwierzy.

✞ ✞ ✞

Do wieczora nic się nie działo, jakby ta domniemana obecność zamieszkująca dom pojawiała się tylko wieczorem, gdy światło dnia zastępowały długie, mroczne cienie, a po niebie wspinał się księżyc.

Było już po kolacji, a Carmen sprzątała ze stołu, przy którym nadal siedział Al, popijając piwo i czytając gazetę.

Stephanie i Peter oglądali telewizję w salonie, a Michael, jak zwykle, był w swoim pokoju i odrabiał zadania domowe.

Mary pojechała do cioci Lacey.

A Laura była w łazience. Odwiesiła szlafrok na haczyk na drzwiach i w samym staniku i figach stała przed lustrem, niespiesznie szczotkując włosy.

Z salonu słyszała telewizor i głosy dzieci.

Z jadalni dobiegał ją stłumiony głos cioci Carmen.

Wtedy, gdy raz za razem przeciągała szczotką przez włosy, poczuła, jak coś szarpnęło ją z tyłu za pasek stanika, jakby ktoś próbował go

rozpiąć. Ale gdy spojrzała w lustro oczywiście nikogo za sobą nie zobaczyła. Odwróciła się, ale była w łazience sama.

Przez chwilę stała bez ruchu, marszcząc brwi. Nagle zrobiło się jej bardzo zimno. Potem wróciła do rozczesywania włosów.

Pomiędzy jej nogi wślizgnęła się szorstka dłoń i chwyciła ją za wewnętrzną stronę uda.

Laura gwałtownie odetchnęła.

– Hej! – krzyknęła, po czym odwróciła się i odskoczyła od tej ręki, czy tego, co *wydawało się* ręką, ale ta nadal tam była, macała ją, a grube palce wciskały się w materiał jej majtek, chwytając za elastyczne obszycie.

Druga dłoń przesunęła się po jej brzuchu w stronę piersi, ścisnęła je brutalnie, boleśnie, a potem wcisnęła palce za jej stanik i pociągnęła.

– Pomocy, proszę, Boże, pomocy! – wrzasnęła Laura, rzucając się w kierunku drzwi. Nacisnęła klamkę i pociągnęła. Uchyliły się na kilka cali, ale, prawie tak, jakby ktoś mocno je pociągnął z drugiej strony, klamka wysunęła jej się z dłoni, a drzwi zatrzasnęły z hukiem.

– Ciociu Carmen! – krzyknęła Laura, gdy coś zdarło z niej majtki, a jej stanik rozpiął się i spadł na podłogę. – Niech mi ktoś pomoże! *Wujku, proszę, pomocy!*

Alowi gazeta wysunęła się z rąk na stół jadalny. Odstawił piwo. Carmen upuściła do zlewu naczynie po zapiekance i oboje pobiegli do łazienki.

– Co się dzieje? Co się stało? – krzyknął Al, gnając przez hol.

Z salonu wyjrzeli Peter i Stephanie, a po schodach z dołu z łomotem nadbiegł Michael. Al szarpnął za drzwi. Nie chciały się otworzyć.

– Laura, nic ci nie jest? – spytał. – Odsuń się od drzwi, a ja…

– Nie stoję przy drzwiach! – krzyknęła z płaczem. – Pomóż mi, pomóż, Boże, proszę, pomóż mi!

Al cofnął się o kilka kroków, potem runął naprzód, z ciężkim stęknięciem waląc ramieniem o drzwi do łazienki. Nie poszło dobrze. Ale, zanim zdążył powtórzyć uderzenie, znowu zaczęło się to przypominające wybuchy dudnienie, wstrząsające oknami i przekrzywiające obrazki na ścianach. Tym razem między uderzeniami nie było przerw; następowały jedno za drugim, jedno za drugim, ogłuszająco. Dźwięk był tak niski i głęboki, że czuli go w kościach.

Wszystkie światła w domu zaczęły mrugać w tym samym tempie.

– Mamusiu! – wrzasnął Peter, wciskając się w Carmen i chwytając ją za nogi.

Stephanie złapała się jej z drugiej strony.

– Co się dzieje? – pisnęła.

Michael przycisnął się do ściany. Oczy miał szeroko otwarte, pięści zaciśnięte.

– Skarbeńku, nie wiem, co się dzieje – krzyknęła Carmen, obejmując dzieci – ale nic wam się nie stanie, obiecuję!

Al znowu rzucił się na drzwi. I znowu. Ale nagle krzyknął z bólu, zgiął się wpół, przyciskając ręce do żołądka i upadł na podłogę. Carmen z jękiem padła na kolana obok niego.

– Al, co jest, co się stało?

– Dostałem nożem! – powiedział przez zaciśnięte zęby, chrapliwym głosem. – Mój Boże, dostałem *nożem*!

Carmen sięgnęła do jego dłoni i delikatnie odsunęła je od jego brzucha, spodziewając się krwi albo chociaż jakiejś rany.

Nie zobaczyła niczego.

Grzmiące dudnienie nie ustawało, światła nadal mrugały.

Laura w łazience wciąż krzyczała.

– Al, nic ci nie jest – powiedziała Carmen, pochylając się w jego stronę. – Nie dostałeś nożem. Nic tam nie ma.

Poczuła, jak jej mąż się odpręża, a potem, ostrożnie, wstał, znowu sięgnął do klamki, i…

Wszystko ucichło.

Dudnienie ustało.

Światła zgasły, pogrążając ich w pełnym cieni mroku.

A drzwi od łazienki uchyliły się powoli.

Laura leżała wyciągnięta na blacie, naga, z rozłożonymi nogami, z jednym ramieniem zwisającym w dół.

– O Boże, Laura, co się stało?

Ramiona dziewczyny dygotały, gdy płakała cicho.

– Dłonie – wyszeptała. – Dłonie… na mnie… zdarły mi bieliznę… d… dotykały…

– Czyje dłonie?

Laura potrząsnęła głową.

– Nie wiem, ja je tylko czułam.

– Dzwonię na policję – odezwał się Al z holu.

Carmen odwróciła się i wypadła z łazienki.

– Na policję? – syknęła. – I co niby zrobi policja? Aresztuje kogoś? Może ducha? Al, nadal uważasz, że na to wszystko jest jakieś pieprzone wyjaśnienie? Bo jeśli tak, to sam jesteś stuknięty. Nic nam tutaj po policji. Nam potrzeba księdza. I sprowadzimy go.

Rozległ się jeszcze jeden potężny, grzmiący huk i wtedy rozległ się głęboki, chrapliwy głos, jakby przemówiła sama ciemność:

Nikt wam nie pomoże. Należycie do mnie.

DWADZIEŚCIA

SCEPTYCZNE BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Carmen z samego rana zadzwoniła do ojca Wheatleya. Niewiele spała, a mimo że po tym, jak wróciło światło, przez noc nic się już nie działo, była tak roztrzęsiona, jakby to wszystko wydarzyło się przed chwilą. Zatem miała problem, żeby spójnie przedstawić księdzu jej zmartwienie. Jąkała się i zacinała, próbując mu wytłumaczyć, że ich dom i syna Stephena przejęło coś nadprzyrodzonego, coś złego, że Stephen przez to wylądował w szpitalu psychiatrycznym, że słyszał głosy i tak dziwnie się zachowywał, a przez cały czas próbował im powiedzieć, co się dzieje. Ale ojciec Wheatley nie mógł wyłowić z potoku jej słów żadnego sensu.

Jednak dostrzegał bardzo wyraźnie, że coś było nie w porządku, nawet jeśli nie bardzo wiedział co. Powiedział, że przyjedzie do nich najszybciej, jak będzie w stanie, pewnie w ciągu godziny, najwyżej dwóch.

Al niechętnie wyszedł do pracy; nie chciał zostawiać Carmen, Laury i Petera samych. Carmen też wolałaby, żeby został, ale oboje wiedzieli, że nie mógł sobie pozwolić na opuszczanie pracy.

Stephanie i Michael poszli na szkolny autobus, oboje milczący i spięci, a póki pojazd nie podjechał, stali na chodniku i raz po raz spoglądali w kierunku domu.

Carmen, czekając na ojca Wheatleya, nie puszczała od siebie Petera na krok. Laura też trzymała się blisko. Nie chciała być sama.

Siedziały na kanapie. Peter klęczał między nimi i zajmował się swoją grą.

– Wiesz, Lauro – odezwała się cicho Carmen – jeśli chcesz, możesz razem z Mary zostać u cioci Lacey.

Laura zmarszczyła brwi i powoli pokręciła głową.

– Nie, raczej nie. Przy cioci Lacey nie czuję się tak swobodnie, jak z tobą i wujkiem. Poza tym chcę pomóc.

Carmen była zaskoczona.

– Nawet… z tym wszystkim?

– No… – Laura wzruszyła ramionami.

– Chcę, żebyś wiedziała, że cokolwiek zdecydujesz, zrozumiemy. Naprawdę. Więc dasz nam znać?

Kiwnęła głową.

– Jasne.

Gdy przyjechał ojciec Wheatley, Carmen otworzyła drzwi frontowe, zanim jeszcze wysiadł z samochodu. Natychmiast poprowadziła go do salonu i posadziła w fotelu Ala, szepcząc przez cały czas.

– Och, ojcze, tak się cieszę, że ojciec przyjechał, nie ma ojciec pojęcia, jak bardzo go potrzebujemy, tak bardzo się cieszę.

Ojciec Wheatley usiadł.

– No to w czym dokładnie tkwi problem? – spytał.

Carmen mu powiedziała. Opowiedziała mu o wszystkim. Słowa wylewały się z niej niczym powódź, bo tak długo je powstrzymywała. Ale w miarę jak mówiła, wyraz jego twarzy stopniowo się zmieniał, a ona wiedziała, co oznacza ta zmiana: niedowierzanie.

Gdy skończyła, czekała w nadziei na pozytywną reakcję, ale tak naprawdę nie robiąc sobie większych nadziei.

Ojciec Wheatley, który słuchając jej, pochylił się w fotelu, oparł się z westchnieniem o zagłówek, a jego zmarszczone czoło się rozluźniło.

Na jego twarzy pojawił się niepewny półuśmiech.

– Carmen, powiem ci, co przede wszystkim przyszło mi do głowy. Cała twoja rodzina przechodzi przez ciężkie chwile. Poważna choroba Stephena, jak sama mi powiedziałaś, wiązała się dla was z dużym napięciem. Proszę, nie zrozum mnie źle – dodał szybko – nie mówię, że to wytwór twojej wyobraźni ani nic z tych rzeczy, myślę, że doskonale to rozumiesz. Stres wywołuje u ludzi… cóż, potrafi wywołać naprawdę niewiarygodne efekty, a mówię to z doświadczenia, zarówno własnego, jak i przychodzących do mnie parafian.

Carmen widziała zmianę na jego twarzy, w jego oczach, i nie była zaskoczona odpowiedzią, która usłyszała. W zasadzie była na nią przygotowana.

– W porządku, ojcze – powiedziała – jeśli to kwestia stresu i napięcia związanych z chorobą Stephena… a nie mówię, że nie, tylko, hm… tylko… – Na chwilę zamknęła oczy, żeby się zastanowić, co właśnie powiedziała. – Tak, tak właśnie uważam, bo *wiem*, że nie w tym rzecz. Co z Laurą? Nie było jej tutaj, gdy Stephen chorował. Nie odczuła tego stresu, bo i jak? Co z moją sąsiadką, która nie chce nawet wejść do mojego domu? To ona zadzwoniła, żeby powiedzieć o tej zielonej, świecącej kobiecie w oknie na górze. My jej nie widzieliśmy, ale ona tak! A ona nie doświadczyła napięcia i stresu związanego z chorobą Stephena.

– Ale przypuszczam, że zna historię tego domu.

– No… tak, ale nie…

– To bardzo ważne. Widzisz, Carmen, śmierć jest czymś, co przeraża nas wszystkich. Nawet tych, którzy wiedzą, że nie powinni się jej bać. Cały ten dom kiedyś przeznaczony był… śmierci. – Wzruszył ramionami. – To chyba nic dziwnego, że ludzie, którzy znają jego historię, będą się go bać ze względu na jego dawną rolę.

Carmen z rozpaczliwym westchnieniem pochyliła się i schowała twarz w dłoniach.

– Ksiądz mi nie wierzy – wymamrotała.

Laura dotąd milczała, ale teraz się odezwała.

– Ojcze, proszę tego nie uznać za brak szacunku, ale… proszę, niech ojciec posłucha. Ciocia Carmen nie jest wariatką. W tym domu dzieje się coś, co nie ma nic wspòlnego z rakiem Stephena. Tutaj jest coś… nie mam zamiaru pouczać ojca, i jak mówiłam, to nie jest brak szacunku, ale… w tym domu jest coś *złego* i *chorego*. Coś, co chce nam zrobić krzywdę. Więc proszę, ojcze, proszę, niech ojciec tego nie ignoruje.

Ojciec Wheatley odchylił głowę i wpatrując się w sufit, z zadumą pocierał palcem podbródek. Potem usiadł prosto i wsunął dłonie między kolana.

– Czy czułybyście się lepiej, gdybym pobłogosławił ten dom? – zapytał.

Carmen uniosła twarz spomiędzy dłoni, próbując powstrzymać łzy cisnące się jej do oczu.

– Och, proszę, zrobiłby to ojciec?

– Oczywiście. – Wstał. – To żaden problem. Pójdę tylko po torbę do samochodu.

Gdy wyszedł, Carmen oparła się o sofę.

– Nie wierzy mi – powiedziała. – Myśli, że mi odbiło.

– Ale to w sumie bez znaczenia, byleby tylko pobłogosławił dom, prawda? – stwierdziła Laura. – To *musi* pomóc. A może… może, no, coś zobaczy. Albo usłyszy, albo *poczuje*.

Carmen ze znużeniem w oczach pokręciła głową. Wrócił ojciec Wheatley. Siedziały na sofie, pochylając głowy z szacunkiem, podczas gdy on błogosławił salon, spryskując go wodą święconą z butelki i recytując modlitwę. Zostały w tym miejscu, podczas gdy on obszedł cały dom, błogosławiąc każde pomieszczenie po kolei.

Gdy stłumiony głos księdza brzęczał w kolejnych częściach domu, Laura położyła dłoń na ręce Carmen.

– Nie martw się, ciociu, to powinno wszystko zmienić. Naprawdę. Musisz pokładać wiarę w Bogu, to wszystko – dodała wstydliwie.

Carmen wiedziała, że Laura miała rację. Zwątpienie i strach były dla niej obrazą Boga. Musiała wierzyć, że błogosławieństwo pomoże, że zakończy tę plagę dziwacznych incydentów.

Ale nie mogła przestać myśleć o wyraźnym niedowierzaniu ojca Wheatleya. Jeśli modlił się tylko po to, żeby ją uspokoić, jeśli faktycznie nie widział w tym sensu, to czy przyniesie to skutek?

Ojciec Wheatley wrócił do salonu i uśmiechnął się do nich.

– No, skończyłem. Mam nadzieję, że to pomoże.

Ty masz nadzieję, że *to pomoże*! – pomyślała Carmen. Miała rację: zrobił to tylko po to, żeby ją uspokoić.

Ojciec Wheatley uniósł dłoń.

– Ale miałbym jedną sugestię: powinniście się zastanowić nad jakimś doradztwem. Mam na myśli was wszystkich, całą rodzinę. Wiele przeszliście – uśmiechnął się do nich, w założeniu uspokajająco. – Myślę, że moglibyście na tym skorzystać.

Laura ścisnęła dłoń Carmen i odwróciła wzrok od księdza; Carmen pochyliła głowę, żeby ojciec Wheatley nie zobaczył powątpiewania w jej oczach.

– Jakoś nie wydawał się przekonany, co? – powiedziała Laura po jego wyjściu.

Carmen pokręciła głową.

– No, ale w końcu jest księdzem, nie? No to może i tak to coś da?

Carmen nie odpowiadała, a potem, niemal niedostrzegalnie, bardzo powoli pokręciła głową. Po tym, jak zobaczyła w oczach ojca Wheatleya zwątpienie, jego minę pełną niedowierzania, nagle dotarło do niej, jak musiał czuć się Stephen – jak *oni* musieli *sprawiać*, że się czuł – przez cały czas próbując im powiedzieć, że z tym domem jest coś nie tak.

DWADZIEŚCIA JEDEN

ATAKI FIZYCZNE

Tego ranka, przed przyjazdem ojca Wheatleya, Carmen była zbyt zdenerwowana, żeby pozmywać naczynia po śniadaniu, więc tylko je pobieżnie opłukała i ustawiła schludnie w zlewie. Po wyjściu kapłana przebrała się w rozciągniętą koszulkę i jeansy, poszła do kuchni i zabrała się za sprzątanie. Laura chciała pomóc, ale Carmen jej podziękowała.

– Nie, zostań tutaj i pooglądaj telewizję czy coś.

Chciała przez chwilę pobyć sama; chciała się zastanowić nad rzeczami, które robiła i mówiła Stephenowi – nad rzeczami, które oni wszyscy mu robili i mówili.

Stała przy zlewie, myjąc naczynia, gdy poczuła uszczypnięcie z tyłu. Zaśmiała się i odwróciła, wciąż z mokrym talerzem w ręce.

– Peter, przestań – powiedziała, spoglądając w dół, gdzie spodziewała się ujrzeć syna. Nie było go tam.

Przez chwilę wpatrywała się w puste miejsce na podłodze, a potem poczuła kolejne uszczypnięcie.

I trzecie, a potem poczuła palce – *wiedziała*, że to palce, bo Al robił takie rzeczy, ale pieszczotliwie – wsuwające się pomiędzy jej nogi i sunące w górę.

Talerz wyślizgnął się jej z ręki i rozbił o zlew.

Laura wpadła do kuchni.

– Ciociu! Co się stało? – spytała.

Dłoń znowu wepchnęła się jej między nogi i nacisnęła silnymi palcami. Carmen jęknęła i odskoczyła, żeby się jej pozbyć.

– Teraz przyszło do *ciebie*, tak? – przeraziła się Laura. – Jak wczoraj do mnie.

– Laura, wracaj do salonu. Proszę.

Dziewczyna się zawahała, ale zrobiła to, co jej kazano, z troską oglądając się przez ramię.

Z rękami pokrytymi mydlinami niemal do łokci Carmen wyszła z kuchni i pobiegła przez hol do sypialni, gdzie zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz. Potem oparła się o nie, próbując złapać oddech.

Serce waliło jej w piersi.

Czuła zimno na karku.

A gdy tak opierała się plecami o drzwi znowu poczuła ten obcy dotyk.

Carmen ze zdławionym krzykiem rzuciła się do przodu, nie chcąc, żeby Laura ją usłyszała, i padła na łóżko, ale ta dłoń wciąż na niej była, macały ją grube paluchy.

Próbowała usiąść, ale nagle na jej ciele znalazło się więcej dłoni, przyciskających jej ramiona i nogi do materaca, gdy jeden z palców w nią wszedł, twardo i brutalnie.

Carmen nie zdołała powstrzymać okrzyku bólu. Ale to nie był koniec.

Coś dłuższego i grubszego niż palec, coś, co nawet pulsowało, wcisnęło się w jej odbyt.

Carmen zesztywniała.

To coś poruszało się w niej z furią, rozdzierając ją.

– Och, błagam – jęknęła Carmen.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Ciociu? Dobrze się czujesz?

– Jezu, proszę! W imię Jezusa Chrystusa! W imię Jezusa!

Drzwi sypialni otworzyły się i nagle wszystko się urwało. Dłonie ją puściły, ta gruba, pulsująca rzecz się z niej wysunęła i Carmen została na łóżku, dygocząc niekontrolowanie i płacząc.

Laura przysiadła obok i objęła ją.

– Ciociu, co się stało?

Carmen nie była w stanie się odezwać. Nie była w stanie wyjaśnić. Po prostu potrząsnęła głową, próbując odzyskać oddech i mowę.

– Nnn… nie wiem, Lauro, coś mnie zaatakowało. Coś… – Zacisnęła wargi i chwyciła poduszkę, próbując znaleźć właściwe słowa. – Coś, hm… zrobiło mi krzywdę! – syknęła. Głos drżał jej z niedowierzania.

Gdy Laura się odezwała, była na granicy płaczu.

– O Boże, wiedziałam, *wiedziałam*, co to było, o Boże, to wciąż tutaj jest, błogosławieństwo nie pomogło, o Boże, ciociu, co my zrobimy?

Do Carmen dotarło, że teraz przede wszystkim chce zejść z tego łóżka i szybko zsunęła się z materaca. Stanęła obok Laury.

– Cóż, w każdym razie na ten moment – oświadczyła – zabieramy się stąd w cholerę, ty, ja i Peter. Ale najpierw, hmm… chciałabym wziąć prysznic.

Carmen czuła się brudna – *obrzydliwie*. Z ulgą stanęła pod gorącą wodą. Namydliła się i wyszorowała gąbką w nadziei, że zedrze z siebie brudne poczucie gwałtu.

Po kilkuminutowym szorowaniu, płacząc cicho, zrobiła krok, żeby się opłukać pod strumieniem wody. Zasłona prysznicowa się poruszyła i, chociaż nikogo nie widziała, wiedziała, że nie jest już sama.

Do szumu wody nagle dołączył jakiś obcy dźwięk, który oddzielił się po chwili, by powiedzieć głębokim, chrapliwym i dźwięcznym głosem:

– Chcę się tarzać po łóżku z moimi dwoma ulubionymi zabawkami… z tobą i Laurą. Chcę was ruchać. Chcę was *ruchać*, aż zaczniecie *wrzeeeeszczeeeeć*!

Głos wybuchnął długim, okrutnym śmiechem i znowu rozpoczął się atak.

Jakieś dłonie złapały ją od tyłu za ramiona, obróciły ją i pchnęły mocno na mokre kafelki. Zaczęła krzyczeć, ale jej usta rozpłaszczyły się o ścianę. Śmiech trwał, gdy coś wbiło się w nią mocno… wysunęło… wbiło znowu… i znowu, i znowu, i znowu…

Dłonie mocno ściskały jej piersi, szczypały sutki tak, że aż czuła ból w żebrach, karku i brzuchu.

A jednak nikogo tam nie było…

Carmen oderwała twarz od płytek, zaczerpnęła powietrza przesyconego wilgocią z prysznica i krzyknęła ze wszystkich sił.

Ale nic to nie dało: uderzenia w jej wnętrzu, bolesne ściskanie i szczypanie jej piersi…

Potem drzwi łazienki stanęły otworem.

– Ciociu, jestem, co się dzieje? – krzyknęła Laura.

Ustało.

Carmen opierała się o ścianę. Ciało miała pokryte pianą, która wraz z wodą z prysznica zaczęła spływać na dno wanny. Odepchnęła się od ściany, dłonie ześlizgnęły jej się po kafelkach, odwróciła się i odsunęła zasłonę.

– Było tutaj – powiedziała ochrypniętym głosem. – Znowu… znowu mnie zaatakowało, zrobiło… zrobiło znowu to samo.

Woda zmyła jej łzy. Zakryła piersi ramionami i zaczęła łkać.

– Wyłaź stąd! – krzyknęła Laura. – Proszę, wyjdź stąd, żebyśmy mogli uciec!

Carmen skinęła głową.

– Już. Już. Zaraz wyjdę. Zajrzyj do Petera, dobrze? Sprawdź, czy nic mu nie jest.

Opłukała się pospiesznie, wyszła spod prysznica i zaczęła się z furią wycierać, nie przejmując się suszeniem włosów. Mając przy sobie Laurę i Petera, ubrała się szybko, zabrała kilka zabawek synka i wyszli, nie mając pojęcia, dokąd jechać.

✞ ✞ ✞

Przez jakiś czas jeździli po mieście, potem pojechali do pobliskiego centrum handlowego, gdzie zjedli lody, pozwoliła Peterowi pojeździć na małym, mechanicznym statku kosmicznym i pogapiła się na wystawy. Wciąż chodziły, odwracały swoją uwagę, żeby nie myśleć o tym, co stało się w domu.

Po kilku godzinach spędzonych na próbach zgubienia się w bezpiecznym i anonimowym tłumie klientów Carmen uświadomiła sobie, jak późno się zrobiło, i uznała, że jakby się nie bała wracać, to musi to zrobić, żeby Stephanie i Michael nie wrócili ze szkoły do pustego domu – a w każdym razie do domu, który wydawał się pusty.

Szybko zrobiła zakupy na obiad i ruszyli w drogę powrotną.

Gdy dojechały, weszły na ganek i stanęły przy drzwiach… patrząc. Carmen z nerwową niezdarnością wyciągnęła klucze z torebki, znalazła właściwy, powoli wsunęła go w zamek, przekręciła… Weszły do środka.

Wszystko było na swoim miejscu. Nie czekało na nich nic niezwykłego.

Carmen, ściskając torbę z zakupami, obróciła się do Laury.

– Proponuję, żebyśmy zabrały się za obiad, odpoczęły, zrelaksowały się i zapomniały o wszystkim.

Laura rozglądała się wielkimi oczami, ostrożnie idąc przez korytarz. Skinęła głową.

– No, okay – powiedziała.

I tak zrobiły. Rozpakowały zakupy i zaczęły przygotowywać obiad.

Stephanie wróciła pierwsza. Nic jej nie powiedziały, ale nie spuszczały z niej oka.

Michael po powrocie spytał, czy przed obiadem może iść do kolegi, a Carmen zgodziła się ochoczo; z ulgą wyprawiła go z domu.

Zanim wrócił Al, obiad był prawie gotowy i nic się nie wydarzyło. Gdy wszedł, Carmen dała mu całusa. Potem poszedł wziąć prysznic.

Miała poczucie winy, wyrzuty sumienia, jakby go zdradziła. Czuła potrzebę opowiedzenia mu, co się stało, ale jak miała to zrobić? Co miała powiedzieć? Co *on* by powiedział? Może uznałby, że oszalała – jak Stephen – wściekłby się i nie chciał mieć z nią do czynienia.

Może nawet by ją zostawił. Nawet gdyby uznał, że to była wyłącznie jej wyobraźnia, gdyby pomyślał, że ona *wyobrażała* sobie takie rzeczy – to mógłby uznać, że między nimi jest coś nie w porządku.

Zdecydowała, że nic mu nie powie, a w każdym razie, że powstrzyma się przed tym, jak tylko długo zdoła.

✞ ✞ ✞

Obiad zjedli w ciszy. Mało rozmawiali, rozlegały się tylko odgłosy jedzenia: widelce stukające o talerze, przeżuwanie, picie.

Gdy skończyli, Carmen i Laura pozmywały naczynia, szepcząc między sobą, czy Carmen powinna powiedzieć Alowi, o tym, co się stało. Laura uważała, że powinna mu powiedzieć, bo było tylko kwestią czasu, kiedy i jemu też coś się przydarzy. I co wtedy? Upierała się, że powinien wiedzieć.

Jakkolwiek Carmen nie chciała tego przyznać, to sądziła, że Laura miała rację.

Po obiedzie Al wziął sobie piwo i zasiadł w swoim fotelu, żeby pooglądać telewizję. Gdy skończyły myć naczynia, Carmen poszła do niego, przycupnęła obok fotela i położyła dłoń na jego przedramieniu.

– Możemy porozmawiać? – spytała cicho.

– Jasne. – Skinął głową.

– Yyy… w sypialni?

Lekko zmarszczył brwi.

– Dobrze się czujesz?

– No… najpierw porozmawiajmy, dobrze?

Poszli do sypialni, przysiedli na brzegu łóżka, a Carmen, nerwowo i zacinając się, opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło tego dnia.

Wyraz jego twarzy zmieniał się, w miarę jak mówiła, przechodząc od rozbawionej niewiary przez poważną troskę do wściekłości i wreszcie szoku.

– Ty mówisz poważnie – wyszeptał po chwili.

– Tak. Myślisz, że żartowałabym sobie z czegoś takiego?

– Nie… nie wiem, zastanawiam się… od jak dawna to trwa?

– Dopiero dzisiaj. A co? Dlaczego mnie o to pytasz?

– No, zastanawiam się po prostu… znaczy… pomyślałem tylko, że może…

Al znienacka zalał się łzami i ukrył twarz w dłoniach. Jego ramiona drżały od płaczu.

Carmen była w szoku. Gapiła się na niego przez moment, potem pochyliła się, objęła go i przytuliła.

– Al, co się dzieje? O co chodzi?

– Ba-bałem ci się powiedzieć… – wyjąkał przez łzy – mi też się zdarzają różne rzeczy.

Ścisnęła jego ramiona.

– Jakie rzeczy?

– No, takie… muzyka i głosy… i… no, *rzeczy*! Cały czas sobie mówię, że to nic takiego. Nie chciałem myśleć, że to… że to… Którejś nocy po tym, jak wykręciłem na dole wszystkie żarówki, Michael mnie obudził i powiedział, że pali się jego lampka, chociaż nie było żadnej żarówki w obsadce, i… poszedłem na dół, a ta lampa… jakby się *jarzyła*, Carmen, światło się *paliło*, ale nie było tam żarówki! Nie było tam nic, poza… poza światłem z tej lampki!

– Skarbie, dlaczego mi nic nie powiedziałeś?

– Bo sam przed sobą nie chciałem się przyznać, że to widziałem. Ale było… więcej. Muzyka dochodząca z dołu. Głosy. Jak przyjęcie.

Późno w nocy. A to łóżko… wibrowało.

– Powiedziałeś mi, że to przez lodówkę na górze.

– Kłamałem. Po prostu nie chciałem, żebyś wiedziała. Ale ja wiedziałem. Wibrowało. Nie od lodówki. Tu jest, no… tak, tu jest coś nie w porządku. Coś jest nie tak z tym domem, coś jest w tym domu.

Czekała długą chwilę, po czym pochyliła się do niego, wciąż go obejmując.

– Stephen próbował nam powiedzieć, a teraz… jest w szpitalu psychiatrycznym – wyszeptała.

Al pokręcił głową.

– Nie, nie, moim zdaniem w przypadku Stephena chodzi o coś więcej. Naprawdę uważam, że z nim jest coś nie tak. Zmienił się. Stał się… *wrogi*. To było coś więcej, naprawdę tak uważam.

– Okay, może. Ale *faktycznie* próbował nam powiedzieć.

Zagryzł wargi i znowu zaczął płakać.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Że mnie to nie dobija?

Skinęła głową.

– Teraz wiemy już oboje. No i co zrobimy?

– Nie stać nas na to, żeby się wyprowadzić, to na pewno. W każdym razie nie teraz.

– Okay, to co robimy?

Pokręcił głową. Na jego policzkach błyszczały łzy.

– Nie wiem, kochanie. Po prostu nie wiem.

DWADZIEŚCIA DWA

WIĘZIENIE BEZ KRAT

W miarę jak powoli i w mękach mijała zima, wydarzenia w domu Snedekerów były coraz bardziej upiorne, a napięcie narastało. Nastroje wydawały się pogarszać wraz z pogodą; stawały się wyraźnie bardziej ponure, gdy chmury ciemniały i zbierało się na deszcz, jeszcze bardziej, gdy zaczął padać śnieg, zmieniający się w grubą, zmrożoną breję na poboczach.

Wszyscy w domu żyli w oczekiwaniu na jakieś straszne rzeczy; raczej nie bywali rozczarowani. Przedmioty poruszały się z własnej woli. Wszyscy od czasu do czasu słyszeli głosy. Widzieli cienie, których nie było. Kącikami oczu zauważali przemykające obok nich rzeczy. W różnych częściach domu było niewytłumaczalnie zimniej niż w innych.

Stephanie wróciła do swojego pokoju wraz z Laurą, Peter także odzyskał swój pokój. Michael został sam na dole.

Którejś nocy, bardzo późno, wbiegł po schodach, wołając rodziców. Obudzili się natychmiast i wypadli do holu, gdzie zobaczyli, jak z wielkimi oczami i rozłożonymi ramionami biegnie w ich stronę.

– Mamo! Mamo, on wrócił! – wrzasnął Michael, obejmując Carmen w pasie.

– Ciii, Michael, kto wrócił? – spytała, tuląc go.

– Ten facet, ten facet, którego widzieliśmy ze Stephenem! Przyszedł do mnie!

– Och, skarbie, to był tylko sen, to wszystko to tylko zwykły sen.

Michael cofnął się od niej i pokręcił głową.

– Nie, nie, to nie był tylko sen, to było coś więcej! Znaczy, leżałem w łóżku, ale nie spałem! I nie mogłem się ruszyć, byłem jak *sparaliżowany*!

Carmen i Al popatrzyli na siebie przeciągle. Al lekko, bezradnie wzruszył ramionami.

– Skarbie, chciałbyś dziś spać gdzie indziej? – spytała Carmen syna.

Po chwili skinął głową.

– Mogę spać na kanapie? – zapytał cicho.

– Jasne, że tak. Przyniosę ci z szafy w holu koce i poduszki. – Odwróciła się do Ala. – Wracaj do łóżka, zaraz przyjdę – szepnęła.

Carmen przygotowała Michaelowi łóżko w salonie, otuliła go i pocałowała.

– Mamo? A jeśli on znowu przyjdzie… mogę cię zawołać?

– Oczywiście, że tak, kochanie. Zawołaj i zaraz przyjdę.

Gdy położyła się obok Ala, ten gapił się w ciemność.

– To się wcale nie kończy… i jest jeszcze gorzej, prawda? – wyszeptał.

– Nie wiem – odparła szeptem.

– Co zrobimy, jak się jeszcze bardziej pogorszy?

– Nie wiem.

Sięgnął po jej dłoń. Długo trwało, zanim znów udało im się zasnąć.

✞ ✞ ✞

Po tej nocy Michael regularnie zaczął sypiać na sofie w salonie. W przeciwieństwie do Stephena nie spotkał się z protestami rodziców i nikt w domu się nie skarżył; przeciwnie, trzymali się razem.

Któregoś ranka, gdy szykował się do szkoły, Carmen zaproponowała, że przyniesie z jego pokoju kilka rzeczy i schowa je do szafy w holu, żeby nie musiał schodzić na dół. Bardzo chętnie przyjął tę ofertę i powiedział, czego potrzebuje.

Z zejściem na dół czekała aż do wczesnego popołudnia. Cały czas znajdowała sobie inne rzeczy do zrobienia. Potrzebowała kilku godzin, żeby przyznać się przed sobą, że po prostu nie chce tam schodzić. Wiedziała, co tam było… rzeczy pogrzebowe… rzeczy potrzebne do pochówku… martwe rzeczy… rzeczy, przy których nie chciała przebywać.

Poza tym wiele z tych przerażających zjawisk, które działy się w domu, miało miejsce właśnie tam, na dole. Stephen próbował im o tym mówić, ale go zignorowali.

Ale obiecała. A *ktoś* musiał zejść na dół.

Wreszcie się odważyła. Powiedziała sobie, że pójdzie wyłącznie do pokoju Michaela, ani kroku dalej, że te naprawdę nieprzyjemne rzeczy były głębiej w piwnicy i że naprawdę nie ma się o co martwić.

Jednak, gdy zeszła na dół, coś przytrafiło jej się po raz pierwszy; było to coś, co w ciągu kolejnych miesięcy miało przytrafić się jej jeszcze wiele razy.

Gdy do tego doszło, zbierała z podłogi skarpetki i bieliznę do prania, wyciągała z szafy ubrania dla Michaela do szkoły oraz czyste skarpetki i bieliznę z szuflad komody.

Nagle zamarła. Poczuła, jakby w powietrzu coś się zmieniło, jakby jakiś powiew… jakby coś szybko się do niej zbliżało.

Carmen, stojąc przed komodą Michaela, ze skarpetkami i majtkami w rękach, gwałtownie wstrzymała oddech. Coś ją objęło, coś, jakby bardzo ciemny cień, gęsty jak budyń, zatopił ją, połknął, otoczył całe jej ciało i skamieniałą z przerażenia trzymał niemal przez wieczność.

A gdy zniknął, Carmen osunęła się na podłogę, zwinęła w pozycji płodowej i walczyła o oddech. Gdy wreszcie się pozbierała, spojrzała

na zegar.

To było tylko kilka sekund… a nie cała wieczność.

Podniosła się, pospiesznie zebrała rzeczy Michaela i pobiegła na górę, nadal lekko oszołomiona i bez tchu.

– Ciociu, co się dzieje? – spytała Laura, idąc w jej stronę przez hol.

Carmen w jednej chwili zdecydowała, że nic jej nie powie. Wyprostowała się i uśmiechnęła lekko.

– Och, to przez te schody – powiedziała. – Pewnie powinnam częściej z nich korzystać, bo mnie wykończyły.

– O jacie, wystraszyłaś mnie.

– Nie, nic… nic się nie stało.

Gdy odzyskała oddech, włożyła rzeczy Michaela do szafy w korytarzu, czując ulgę, że Laura nie przyłapała jej na kłamstwie.

✞ ✞ ✞

W ciągu kilku następnych dni Stephanie dwa razy płakała w nocy, bo znowu w swoim pokoju widziała, jak mówiła, „gluta". Laura w tym czasie spała i go nie widziała, ale po tym drugim razie Stephanie powiedziała, że nie chce już spać w swoim pokoju.

Carmen nie wiedziała, co z nią zrobić. Spytała Laurę, czy zgodziłaby się spać ze Stephanie w jednym łóżku, żeby mała poczuła się lepiej, a Laura powiedziała, że nie ma nic przeciwko.

Al czuł się coraz gorzej, wychodząc do pracy i zostawiając ich samych, ale nie miał wyboru. Ostatnio czuł się bardzo słaby i bezradny. Przywykł do tego, że ma chociaż *jakąś* kontrolę na rzeczami dotyczącymi jego rodziny. Gdy Stephen tak ciężko zachorował, to przekonanie zaczęło się chwiać. A teraz… to. Czuł, że wszystko dookoła – cały jego dom – wymknął mu się z rąk. Kontrolę przejęło coś, czego nie widział i nie rozumiał.

Ich dom stał się więzieniem. W tej chwili nie mieli dość pieniędzy, żeby się przeprowadzić. Nie mogli tak po prostu się spakować

i pojechać gdzie indziej. Będą musieli tu jeszcze pomieszkać… z tym czymś, cokolwiek to było.

Tygodnie mijały i zmieniały się w miesiące: długie, powolne miesiące, rozciągające się pod ciężkimi chmurami, czarnymi jak smoła. Zima była coraz ostrzejsza.

Dzieci płakały po nocach.

Głos przemawiał czasami do nich wszystkich – znikąd – całymi dniami i nocami.

Czasami z jednej części domu do drugiej przeganiał ich smród gnijącego mięsa albo ludzkich odchodów; smród tak gęsty, że wyciskał łzy z oczu i byli pewni, że gdy spojrzą pod nogi, to zobaczą, że stoją na stercie rozkładających się szczątków. Ale na podłodze nigdy niczego nie było, a smród panował tylko przez chwilę i znikał, niemal jakby z nich drwił.

Czasami za to pojawiały się muchy. Prawdziwe muchy, które naprawdę tam były – a przynajmniej tak się wydawało – ale nigdy nie trwało to długo.

W pewien wyjątkowo mroźny, zimowy wieczór przepaliły się korki i Al poszedł do piwnicy, żeby je naprawić. Już dawno temu powkręcał tam wszystkie żarówki i gdy zszedł na dół, włączył światło.

Gdy pstryknął włącznikiem, matowy, kulisty klosz pozostał ciemny, a żarówka mrugała słabo. Al ze zmarszczonym czołem popatrzył na lampę. Czerń, którą szkło wydawało się być wysmarowane, poruszyła się… wykręciła…

Gdy wsłuchiwał się w ciszę, dobiegł go z ciemności słaby pomruk, jakby coś bzyczało.

Ta czerń składała się z much – setek, może nawet tysięcy much kotłujących się w kloszu i drżących w plamie na suficie wokół niego; ich skrzydełka brzęczały, gdy łaziły po sobie, tworząc czarne, ruchliwe sterty.

Al wpatrywał się w nie przez długą chwilę, szczęka mu opadła, oczy się rozszerzyły, gdy gapił się na to ze zdumieniem, jak wmurowany, z palcem wciąż na włączniku.

– A wy… do cholery… – wyszeptał – skąd się tutaj wzię…

Wszystkie owady jednocześnie poderwały się i rojem ruszyły w stronę twarzy Ala.

Mężczyzna obronnie wysunął ręce i przez zaciśnięte zęby wydał zduszony jęk przerażenia. To go tak zaskoczyło, że nie był w stanie się odwrócić i uciec po schodach. Spodziewał się, że je na sobie poczuje, poczuje wibracje ich skrzydeł, łaskotanie nóżek, tymczasem…

Nie poczuł niczego.

Powoli, bardzo powoli, opuścił ręce i otworzył oczy.

Muchy zniknęły. Nigdzie nie było ich widać. Nie widział ich ani nie słyszał.

Wtedy rozległ się inny dźwięk, głęboki i gardłowy, początkowo brzmiący jak jęk, a potem przechodzący w niski, zły chichot. Dochodził znikąd… albo też zewsząd.

Al wziął długi, głęboki wdech, zacisnął zęby, przeżegnał się i – choć stoczył ze sobą cichą, wewnętrzną walkę – zignorował to, co wydawało mu się, że usłyszał, rozsunął francuskie drzwi i wszedł do kolejnego pokoju, po drodze do skrzynki z bezpiecznikami zapalając kolejne światła. Przystanął jednak na moment, żeby uważnie przyjrzeć się lampie sufitowej.

Tym razem nie było tam żadnych much.

Przeszedł przez piwnicę do skrzynki, otworzył ją i sięgnął do kieszeni po bezpiecznik, który zabrał z szuflady w kuchni.

Wtedy uderzył go zapach.

Początkowo pachniało różami, mocna, słodka, kwiatowa woń. Al zamarł, powoli się rozejrzał i pozwolił sobie na lekki uśmiech. To był dobry znak, zapach róż; to był znak błogosławieństwa, znak pokoju i bezpieczeństwa… znak od samej Dziewicy Maryi.

Al się uspokoił, jego napięte mięśnie z wolna zaczęły się rozluźniać. Zapach róż sprawił, że poczuł się o wiele lepiej. Gdy wymienił bezpiecznik, wciąż go czuł.

A potem, znienacka, zapach się zmienił. Na gorsze.

Al skrzywił się, gdy powietrze wypełnił odór zepsutego mięsa. Przycisnął dłoń do nosa i ust, gdy szarpnęły nim suche torsje, aż zgięło go wpół. Wyprostował się, pokasłując, z hukiem zatrzasnął skrzynkę, odwrócił się i ruszył szybko do wyjścia z piwnicy.

Odór był wszędzie.

W miarę jak szedł, smród się zmieniał. Od odoru zepsutego mięsa do smrodu otwartego szamba – smrodu wielkiego gówna. Wżarł mu się w nozdrza i już tam został, zapychając je jak smar.

Al z dłonią przy twarzy prawie biegł przez piwnicę, ale pośrodku pokoju należącego niegdyś do Stephena zrobiło mu się słabo i opadł na kolana; gęsty, kleisty smród był przytłaczający i dosłownie powalił go na podłogę, załzawionego i dławiącego się.

Na czworakach pokonał kilka stóp w stronę schodów, gdy w jednej chwili zapach zniknął.

Nadal na kolanach, Al zamarł. Powoli odsunął dłoń od twarzy, uniósł głowę, rozejrzał się i powąchał powietrze.

Smród zniknął.

Poderwał się, biegiem dopadł schodów i pospiesznie opuścił piwnicę.

✞ ✞ ✞

Zima powoli się kończyła. Śnieg zaczął topnieć i pomiędzy ciemnymi chmurami od czasu do czasu pojawiał się skrawek błękitnego nieba.

Al zaczął pić jeszcze więcej niż zazwyczaj. W miarę jak rosła skala przerażających rzeczy dziejących się w domu, czuł się słabszy i bardziej pozbawiony kontroli, bardziej bezradny w obliczu… tego czegoś, co wzięło go sobie na cel.

Carmen, z drugiej strony, bardziej zwróciła się ku swojej wierze. Częściej się modliła, zawsze miała przy sobie różaniec, cały czas nosiła na szyi krzyżyk. Nie pozwoliła, by to, że błogosławieństwo ojca Wheatleya nic nie dało, zachwiało jej wiarą; powiedziała sobie, że to bez znaczenia, i po prostu nadal się modliła, wciąż prosiła Boga, by był przy jej rodzinie, by chronił ją od tych złych, nadprzyrodzonych mocy, które ją nękały.

Czasami, późno w nocy, rozmawiali, leżąc w łóżku.

– Dużo pijesz – szepnęła kiedyś Carmen, gdy leżeli przytuleni.

– A co mam robić? – odszepnął Al.

– Ale czy to konieczne?

– A jak myślisz? No, może to nie jest usprawiedliwienie, ale, dobry Boże, jestem… jestem…

– Okay. Tak, kochanie, wiem, sprawy są, hm…

– Są, kurwa, *przerażające*.

– Ale pamiętaj, Bóg cały czas jest przy nas.

– No to gdzie on jest?

– Tutaj, kochanie. Gdyby go nie było, pewnie stałaby się nam krzywda. Może by *nas* nie było.

Al odsunął się od niej.

– Tak, wiem, ale… – westchnął.

✞ ✞ ✞

Był letni wieczór, a Laura miała wyjść na randkę z miłym, wysokim, muskularnym młodzieńcem, który po nią przyjechał, gdy Carmen szykowała kolację. Al zaprosił go do środka i pogawędzili sobie kilka chwil, gdy Laura się szykowała.

Michael poszedł na noc do kolegi, a Stephanie i Peter cicho zajmowali się sobą na podłodze w salonie; żadne z dzieci nie spędzało już czasu samo w swoim pokoju.

Kolację zjedli w milczeniu, co było normą od jakiegoś czasu, w salonie przed telewizorem. Jednak pomimo ciszy napięcie nie było tak wyraźne, jak ostatnimi czasy. W domu zaczęło się czuć spokój, jakby wszystko miało być dobrze… przynajmniej na razie.

Po kolacji dalej oglądali telewizję, Al wypił jeszcze kilka piw, Carmen sączyła herbatę, aż wreszcie wszyscy zaczęli się rozchodzić do swoich łóżek. Dzieci się opierały, a Carmen cały czas czekała, czy zapytają, czy mogą spać z nią i Alem; uznała, że jeśli o to poproszą, nie bardzo będą mogli odmówić, bo *wiedzieli*, że dzieci miały dobre powody, żeby się bać.

Ale nie spytały. Peter był bardzo śpiący i ledwo widząc na oczy, poczłapał do swojego pokoju. Stephanie spytała, czy może zaczekać ze spaniem, póki Laura nie wróci do domu. Carmen się zgodziła. Był piątek wieczór i następnego dnia nie musiała wstawać do szkoły.

Al pierwszy poszedł do łóżka. Carmen dała dzieciom buziaki na dobranoc i po chwili dołączyła do niego.

– Wydaje mi się, czy dziś jest jakoś lepiej? – spytała.

– No, może. Może trochę. – Nie chciał sobie pozwolić na przesadny optymizm.

Zakopali się pod kołdrami, przez jakiś czas nie mogąc zasnąć, jakby czekali – tak naprawdę to się tego spodziewali – że coś się stanie. Ale w pokoju panowała cisza i spokój, i wreszcie oboje zapadli w płytki sen…

W nocy Carmen obudził wrzask. Potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, o co chodziło.

– Ciociu! Ciociu, proszę, pomóż mi, Boże, panie Jezu, pomocy, proszę, *pomocy*!

W domu rozległ się tupot stóp.

Carmen instynktownie wyciągnęła rękę do stolika nocnego, na którym leżała Biblia, a na niej różaniec.

Drzwi do sypialni otworzyły się z rozmachem. Carmen usiadła. Laura stanęła w drzwiach, ubrana jak zwykle do snu w za duży T-

shirt.

– Ciociu! – załkała. – *Ciociu!*

Carmen, z Biblią i różańcem pod pachą, wyskoczyła z łóżka i podeszła do drzwi.

– Laura, skarbie, co się stało?

Al się nie obudził.

Laura zarzuciła Carmen ręce na szyję tak, jak robiła to, będąc małym dzieckiem, a Carmen, tuląc ją, wyprowadziła na korytarz i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

– Skarbie, co się dzieje? – wyszeptała.

– Ciociu, to znowu się mną bawiło, *znowu*! – jęknęła, wciskając twarz w ramię Carmen. – Zanim się rozebrałam, to coś ściągnęło ze mnie stanik, a potem sięgnęłam po różaniec i krzyżyk odpadł – tak po prostu odpadł, jakby go ktoś *oderwał* – a potem to zaczęło ściągać ze mnie kołdrę i mnie dotykać, i… i…

Carmen objęła dziewczynę ramieniem i zaczęła prowadzić korytarzem.

– Okay, okay, spokojnie, już wszystko dobrze – powtarzała. – Pójdziemy do twojego pokoju i, hmm… może poczytamy razem Biblię?

I tak właśnie zrobiły. Laura zwinęła się pod kołdrą, a Carmen usiadła na brzegu łóżka. W świetle lampki nocnej, ze Stephanie śpiącą na polówce kilka stóp dalej, Carmen cicho zaczęła czytać psalmy w nadziei, że w ten sposób ukoi strach Laury.

Przez jakiś czas wydawało się, że to pomaga. Pokój był cichy, słychać w nim było tylko łagodny głos Carmen, gdy czytała kolejny ustęp z Biblii.

– „Pomnij na słowo swoje do Twojego sługi, przez które mi dałeś nadzieję. W moim ucisku to pociechą dla mnie, że Twoja mowa obdarza mnie życiem”[1].

Oddech Laury zwolnił, uspokoił się; oczy jej się zamknęły, a ciało rozluźniło.

Wtedy poderwała się gwałtownie, zdzierając z siebie kołdrę, oczy miała wielkie, cała się trzęsła, drżały jej wargi.

– Czujesz to? – jęknęła. – Ciociu, to nadchodzi, to nadchodzi!

Carmen przerwała w pół zdania, słowa utkwiły jej w gardle jak odłamki szkła, bo nagle ogarnął ją strach. Przez moment nie mogła złapać tchu, jakby z pokoju coś wyssało cały tlen, a powietrze zrobiło się zimne, i nagle, bez wątpienia, w pokoju znalazła się jakaś nowa obecność.

– Jest tutaj! – zakrztusiła się Laura. – Mój Boże, dobry Jezu, jest *tutaj*!

Carmen rozejrzała się po sypialni i chwyciła swój różaniec, zaciskając go w garści, Biblię ścisnęła kolanami i zaczęła się pospiesznie modlić.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje – jej głos stał się głośniejszy, gdy zaczęła czuć, że się dusi, jakby ściskała ją jakaś niewidzialna siła – przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom… – teraz już krzyczała, gdy atmosfera w pokoju zrobiła się jeszcze cięższa, a powietrze wypełnił smród gnijącego wysypiska. – I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego, amen. Panie Jezu, Boże, błagam, *zabierz to*!

Laura odetchnęła ciężko i jęczała, próbując złapać oddech.

– Zniknęło. Ciociu, zniknęło. Odeszło.

Carmen natychmiast znowu otworzyła Biblię, szukając Księgi Psalmów. Gdy ją znalazła, zaczęła czytać drżącym głosem.

– „Sprawiedliwi, wołajcie radośnie na cześć Pana, prawym przystoi pieśń chwały. Sławcie Pana na cytrze, śpiewajcie Mu przy harfie o dziesięciu strunach. Śpiewajcie Jemu pieśń nową, pełnym głosem pięknie Mu…”[2]

– Czujesz to? – przerwała jej Laura, znowu siadając, głosem jeszcze bardziej przerażonym niż wcześniej. Rzuciła się w stronę Carmen,

obejmując ją ramionami.

Nagle z łóżka polowego rozległ się cichy, piskliwy i przestraszony głosik.

– Mamusiu! *Co się dzieje*?

Carmen zaczęła mówić, ale nagle straciła oddech i padła na łóżko, gdy coś mokrego i oślizgłego – ale całkowicie niewidzialnego – przesunęło się po jej ramieniu. Oparła się na jednej ręce i patrzyła, jak to niewidzialne coś wsuwa się pod nocną koszulę Laury, a potem całkiem wyraźnie ściska i miętosi jej piersi.

Lampka przy łóżku, jedyne źródło światła w pokoju, zaczęła delikatnie mrugać, grożąc, że zapadnie całkowita ciemność.

– O Boże – jęknęła Carmen, gdy Stephanie zaczęła krzyczeć. Natychmiast znowu zaczęła odmawiać *Ojcze nasz*, tym razem bardzo głośno. – Ojcze nasz, któryś jest w niebie! Święć się imię Twoje!

Laura zaczęła wrzeszczeć.

– O Jezu, o Boże!

To coś poruszało się pod jej koszulą, boleśnie ściskając prawą pierś, potem lewą, potem prawą, i tak na zmianę.

– Przyjdź królestwo Twoje! Bądź wola Twoja!

Stephanie zeszła z polówki i przycupnęła przy łóżku, obejmując nogi Carmen i wciąż krzycząc.

– Jako w niebie! Tak i na ziemi!

Laura z krzykiem zaczęła się wić na łóżku, tłukąc ten węźlasty kształt, który wciąż poruszał się pod jej koszulą, na zmianę brutalnie ściskając jej piersi i wpychając się między nogi.

– Chleba naszego po… po… – Różaniec wypadł Carmen z ręki i zakrztusiła się, przyciskając dłonie do ust, bezsilnie patrząc, co działo się z jej siostrzenicą.

Stephanie zaczęła śpiewać szorstkim, zapłakanym głosem.

– Bóg kocha mnie, na pewno, to wiem… bo Jezus w swym słowie o tym mówi mi… Przychodzę więc dziś pod twój święty tron… i w gronie twych dzieci, Panie, śpiewam Ci…

Carmen odłożyła Biblię na bok, sięgnęła w dół i pogłaskała Stephanie po plecach.

– Słoneczko, proszę, uspokój się – mówiła. – Uspokój się, kochanie.

Drugą ręką szukała różańca, a gdy go znalazła, zaczęła szybko odmawiać *Zdrowaś Mario*, jednocześnie ostrożnie uwalniając się od Stephanie i ruszając w stronę drzwi.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej…

Zanim zaczęła drugą zdrowaśkę, Stephanie zaniosła się płaczem.

– Mamusiu, nie idź, proszę, mamusiu, *nie idź*!

Carmen stanęła.

– Kotku, muszę zadzwonić po ojca Wheatleya – powiedziała pospiesznie. – Musi tu natychmiast przyjechać, *potrzebujemy* go, więc proszę…

Drzwi pokoju się otworzyły i zobaczyła w nich Ala ubranego w szlafrok, z rozszerzonymi oczami i otwartymi ustami.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – zapytał bez tchu. Ale gdy tylko spojrzał, to natychmiast zrozumiał. – O Boże – jęknął. – O Boże, o Jezusie, co tu się dzieje, dobry Jezu, co to jest…

– Przynieś mi telefon! – powiedziała do niego Carmen z naciskiem.

Wrócił szybko z telefonem bezprzewodowym i podał go Carmen, trzymając się z dala od łóżka, na którym Laurę wciąż atakowało to niewidzialne ramię, które wiło się, ściskało i ocierało pod koszulką.

Carmen drżącym palcem wybrała numer ojca Wheatleya. Nawet nie spojrzała na zegar, ale wiedziała, że było późno i pewnie spał.

Spał. Gdy odebrał, głos miał gruby i chrapliwy.

– Halo?

– Ojciec Wheatley?

– Mhm. Przy telefonie.

– Mówi Carmen Snedeker, ojcze, my, no… tu się coś dzieje, że no…

– Carmen, co się stało? – zapytał.

Powiedziała mu. Słowa wylewały się z niej pospiesznie, gdy opisywała, co się działo, co się dzieje dokładnie w tej chwili, gdy mówiła mu, że rozpaczliwie potrzebują jego pomocy.

Na linii zapadła bardzo długa cisza. Potem ojciec Wheatley chrząknął.

– Posłuchaj, Carmen – powiedział sennie. – Usiądźcie z Laurą i zmówcie razem różaniec. Zmawiajcie go tak długo, aż się uspokoi, zapomni o wszystkim i będzie mogła iść spać.

Po czym się rozłączył.

Carmen jeszcze przez chwilę trzymała słuchawkę przy uchu. Szczęka opadła jej z niedowierzania. Potem cisnęła telefon na podłogę i pochyliła się nad Laurą, mocno ściskając różaniec.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze – powiedziała głośno. – Laura, wszystko będzie dobrze.

A potem zaczęła odmawiać różaniec tak, jak powiedział jej ojciec Wheatley.

Wygrało *to coś*.

Różaniec pękł, a paciorki rozsypały się po drewnianej podłodze, obijając się o deski i ściany.

Carmen patrzyła na koraliki turlające się po podłodze.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna – zaczęła zdartym głosem – Pan z Tobą.

To coś pod koszulką Laury zaczęło się wycofywać.

– Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

To coś wysunęło się spod koszuli i zniknęło.

– Święta Mario, matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej.

Smród gnijących śmieci zniknął.

Laura przestała krzyczeć, przestała rzucać się po łóżku. Przez chwilę trwała nieruchomo – jak wszyscy – potem powoli usiadła.

– Ciociu – zakaszlała. – Czy musimy tutaj zostać?

– Nie, skarbie. Nie musimy.

Jakiś czas później Al i Laura siedzieli przy stole w jadalni, popijając herbatę, którą zaparzyła Carmen. Dla Stephanie przygotowała kubek gorącego kakao.

Carmen weszła do salonu, włączyła światło i zaczęła szukać magazynu, który dostała od Tanyi. Gdy go znalazła, przerzucała strony tak długo, aż natknęła się na artykuł o Edzie i Lorraine Warrenach. Szybko go przejrzała i dowiedziała się, gdzie mieszkają – w Monroe – złapała notes i ołówek. Z telefonu w salonie zadzwoniła na informację.

Ich numer nie był zastrzeżony.

Potem wróciła z magazynem do jadalni i pokazała artykuł Alowi. Przeczytał go uważnie.

– Skoro nasz własny ksiądz nie ma zamiaru nam pomóc – powiedziała, gdy skończył – to musimy o pomoc poprosić *kogokolwiek*.

Al zmarszczył brwi, patrząc na artykuł.

– Ile sobie śpiewają?

– Nie wiem.

– Skąd mamy wiedzieć, czy można im ufać? To dosyć dziwny sposób na życie, uganiać się za duchami i demonami.

– Chyba po prostu będziemy musieli się przekonać, prawda?

Po długiej chwili zaczął kiwać głową.

– Okay – powiedział. – Zadzwoń do nich.

Carmen wróciła do salonu i drżącymi rękami wybrała numer do Warrenów.

Po kilku sygnałach w słuchawce rozległ się zaspany, kobiecy głos.

– Halo?

– Pani Lorraine Warren?

– Mhm, przy telefonie. Kto mówi?

– Yyy, nazywam się Carmen Snedeker, czytałam o pani i pani mężu w jednej gazecie, i wydaje mi się, że moja rodzina potrzebuje państwa pomocy, bo… – Słowa nagle zaczęły się z niej wylewać w gorączkowym pośpiechu, gdy opowiadała pani Warren, co tej nocy wydarzyło się w ich domu, i co się działo przez tak wiele miesięcy. Mówiąc, zaczęła płakać, nie mogąc już dłużej powstrzymać łez.

– Skarbie, skarbie – powiedziała Lorraine Warren, teraz już przytomniej – uspokój się i posłuchaj. Nie rozumiem, co mówisz, okay, skarbie? Spróbuj się trochę uspokoić.

Carmen wzięła kilka głębokich wdechów i opowiedziała wszystko raz jeszcze. Lorraine słuchała w milczeniu.

– Okay, skarbie – powiedziała, gdy Carmen skończyła – posłuchaj, co masz zrobić. Jeśli tej nocy znowu się zacznie, niech twój mąż uniesie w górę krzyż albo różaniec, wszystko jedno, i powiedzcie, możecie to wykrzyczeć, jeśli chcecie, „W imię Jezusa Chrystusa, rozkazuję ci opuścić do miejsce *natychmiast* i wracać tam, skąd przybyłeś!”. Rozumiesz?

Carmen skinęła głową, a potem dotarło do niej, co robi.

– Tak, tak, rozumiem – powiedziała.

– Posłuchaj, to jest tylko na tę noc, okay? Zróbcie to, jeśli będzie trzeba, cały czas odmawiajcie różaniec i módlcie się. A koło dziewiątej rano zadzwońcie. Przyjedziemy do was, okay?

– Okay. Zadzwonię.

– Spróbuj się trochę przespać, dobrze? Jeśli macie w domu złe duchy, to musisz wiedzieć, że one karmią się słabością. Brak snu was osłabia, a one to wykorzystują, wierz mi. A ja się zaraz za was pomodlę.

– Tak, dobrze. Dz… dziękuję.

– Bóg z tobą, skarbie. Do usłyszenia.

Carmen powoli odłożyła słuchawkę i patrzyła na nią przez długą chwilę. Do dziewiątej rano pozostało bardzo dużo czasu…

---

1 Psalm 119, 40–50, Biblia Tysiąclecia.
2 Psalm 33, 1–3, Biblia Tysiąclecia.

DWADZIEŚCIA TRZY

ROZPOCZYNA SIĘ ŚLEDZTWO

Następnego ranka, gdy wszyscy inni próbowali trochę odespać – poza Alem, który już się obudził i zadzwonił do pracy, że jest chory – Carmen od ósmej kręciła się wokół telefonu, aż wreszcie z wybiciem dziewiątej po raz drugi zadzwoniła do Warrenów.

Lorraine tym razem była znacznie bardziej przytomna, a Ed podniósł drugą słuchawkę.

Carmen raz jeszcze opowiedziała to, co w nocy przekazała Lorraine, ale tym razem znacznie ciszej i spokojniej.

– Jak myślicie, czy to może być dlatego, że… Może to dlatego, że ktoś tutaj umarł? – spytała na koniec z lekką paniką.

– Cóż – odezwał się Ed – z tego, co mówisz, to bardzo mało prawdopodobne. Nie, to w najmniejszym stopniu nie wygląda na taką sytuację. Ale, zanim powiemy coś na pewno, musimy się sami temu przyjrzeć.

– Skarbie, a dlaczego pytasz? – włączyła się Lorraine.

– No… bo jest coś, czego wam wcześniej nie powiedziałam o tym domu. To jest, ekhm… to kiedyś był zakład pogrzebowy.

– Naprawdę? – powiedział Ed po krótkim milczeniu. – Zakład pogrzebowy? Jak uważasz? – zwrócił się do żony.

– Trudno powiedzieć – mruknęła Lorraine. – Musimy się tam najpierw rozejrzeć.

– Ano. Pani Snedeker, chcielibyśmy od razu do was przyjechać, dzisiaj rano, i się rozejrzeć. Oczywiście, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Coś przeciwko temu? Och, *proszę*!

– W takim razie podaj mi proszę adres i powiedz, jak do was dojechać – powiedział Ed.

Carmen podyktowała mu dane adresowe, starając się mówić powoli, żeby wszystko zrozumiał.

– Dobrze, mamy do was jakąś godzinę jazdy – powiedział Ed – więc zanim ruszymy, chcę wam powiedzieć kilka rzeczy. Po pierwsze, od tej chwili powinniście trzymać się razem, wszyscy. Nie rozdzielajcie się, na wszelki wypadek, gdyby przed naszym przyjazdem miały się pojawić kolejne ataki.

– I upewnijcie się, że macie przy sobie różaniec – dodała Lorraine. – Jeśli to możliwe, dobrze by było, żeby każdy miał swój. I jak najczęściej odmawiajcie *Zdrowaś Mario i Ojcze nasz.*

– Pani Snedeker, przyjedziemy jak najszybciej. Jeśli można.

– Oczywiście. Nie możemy się doczekać waszego przyjazdu. Bardzo… bardzo się boimy.

– Kochanie, to całkowicie zrozumiałe – powiedziała Lorraine. – Pamiętajcie tylko, że macie za sobą Bożą potęgę.

Zapisali sobie jeszcze ich numer telefonu na wypadek, gdyby nie mogli trafić i pożegnali się.

Gdy Carmen odłożyła słuchawkę czuła się odrobinę lepiej… ale tylko odrobinę.

✞ ✞ ✞

Warrenowie przyjechali dość szybko, chociaż Al i Carmen mieli wrażenie, że zajęło im to całe wieki. Czekając, rozmawiali o tym, jak to zorganizować, by na czas snu wszyscy byli razem. Zdecydowali się rozłożyć materace na podłodze w salonie. Wszyscy będą blisko

siebie. Owszem, nie będzie to zbyt wygodne, ale tak, jak powiedzieli Warrenowie, bezpieczniejsze na wypadek nocnych ataków.

Gdy przyjechali Ed i Lorraine, Al i Carmen nadal jako jedyni byli na nogach. Na widok parkującego na podjeździe kombi zrobili się nerwowi. Jacy będą ci ludzie? Co, jeśli im nie uwierzą?

Przez okno patrzyli, jak Warrenowie wysiadają z samochodu.

Wyglądali dokładnie tak, jak na zdjęciach w gazecie. Lorraine była wysoka i przez ramię miała przewieszoną dużą, szarą torbę. Ed także był wysoki, potężny i imponujący, z szerokimi ramionami i torsem jak beczka wciśniętym w ciemnoniebieską koszulę. Oboje szli zdecydowanym krokiem z wysoko uniesionymi głowami.

Al i Carmen otworzyli drzwi i zaprosili ich do środka, po czym zaprowadzili do salonu, i wskazali miejsce na sofie.

Spodziewali się na początek niezobowiązującej rozmowy o niczym, tak na przełamanie lodów, ale, jak się okazało, to nie było w stylu Warrenów.

– Zanim powiemy coś więcej – odezwał się Ed, unosząc dużą dłoń – chcielibyśmy, żebyście wiedzieli, że jeśli odniesiecie wrażenie, że wątpimy w wasze słowa, to absolutnie nie w tym rzecz. Po prostu musimy mieć *pewność*, pod każdym możliwym względem, że rzeczy, o których nam mówicie, wywołują siły nadprzyrodzone. Musicie więc zrozumieć, że to nic osobistego, to po prostu nasza praca. To jest coś, co *musimy* zrobić.

– Kolejną sprawą jest to, że musimy nagrać naszą rozmowę – powiedziała Lorraine, wyciągając z torby magnetofon. Spojrzała na Carmen i uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, skarbie, że ci to nie przeszkadza.

Ten uśmiech był tak ciepły, że Carmen też się uśmiechnęła i usiadła w fotelu naprzeciwko sofy. Al też wyglądał na spokojniejszego. Odwrócił swój fotel w ich stronę i też usiadł.

– Możecie robić, co tylko chcecie, jeśli tylko nas wysłuchacie… i pomożecie – powiedziała Carmen.

Lorraine pochyliła się i poklepała Carmen po kolanie.

– Uwierz mi, skarbie, zrobimy, co będziemy mogli. – Potem postawiła magnetofon na stoliku kawowym i włączyła nagrywanie.

Ed złączył dłonie, łokcie oparł na kolanach.

– Dobrze, opowiedzcie nam teraz, od samego początku, w dowolny sposób, co dokładnie dzieje się w waszym domu. Oboje.

Powoli, spokojnie i bardzo ostrożnie, Al i Carmen zaczęli opowiadać. Nie opuścili niczego, od samego początku.

Gdy skończyli, zapadła długa cisza.

Żadne z Warrenów nie przerywało im uwagami ani pytaniami. Carmen i Al po prostu własnymi słowami opowiedzieli swoją historię, mówiąc na zmianę, a czasami razem. Ed i Lorraine obserwowali ich bacznie i bardzo uważnie słuchali.

– Chcielibyśmy zadać wam kilka pytań – odezwał się wreszcie Ed. Jednak zrobił to z uśmiechem. – Nie obraźcie się, ale… czy ktokolwiek w tej rodzinie nadużywa alkoholu?

Al i Carmen popatrzyli na siebie.

– Al co wieczór pije piwo – powiedziała Carmen, nie odwracając wzroku od męża.

Al ledwie zauważalnie pokręcił głową.

– Ale nie… – dodała – nie tak, jak mówicie. Nie. Oczywiście, że nie.

– Czy ktokolwiek z domowników bierze narkotyki? – spytał Ed. – Jakiekolwiek, te nielegalne, leki na receptę, cokolwiek, co może wywoływać… odmienne stany świadomości?

Znów na siebie popatrzyli, tym razem krótko i z niedowierzaniem. Al pokręcił głową.

– Nie, nie, *nie*! – stanowczo powiedziała Carmen. – To znaczy, my nie… No, my z pewnością nie…

– A co z synem? – zapytał Ed. – Mówię o Stephenie. Co z nim?

Kolejna wymiana spojrzeń między Alem i Carmen była długa.

– Nie mamy pewności – przyznał Al. – To znaczy, nie wiemy. Owszem, dziwnie się zachowywał, ale… nie wiemy, czy właśnie

dlatego.

Ed skinął głową.

– Okay, okay. A co z magicznymi zainteresowaniami? Czy ktokolwiek z waszej rodziny kiedykolwiek lub w jakikolwiek sposób miał do czynienia z tablicą Ouija?

Al i Carmen jednocześnie pokręcili głowami.

– Nie, na pewno nie – powiedziała Carmen.

– Ktoś brał udział w seansie spirytystycznym? Konsultował się z jakimś medium?

– Nie, z pewnością.

– Okay, okay – mruknął Ed. – To dobrze.

– Pozwolicie, żebym się przeszła po domu? – spytała Lorraine. – Ale sama.

Carmen skinęła głową.

– Oczywiście – uśmiechnęła się. – Może być trochę bałaganu, ale…

– Och, to nic, uwierz mi – roześmiała się Lorraine, wstając i machnięciem ręki zbywając uwagę Carmen. – Nie to mnie interesuje.

– Lorraine w płytkim transie jest medium – wyjaśnił Ed. – To znaczy, że chodząc po domu, jest w stanie *wyczuć* rzeczy, których inni nie czują. Inaczej mówiąc, jeśli przejdzie się po domu, to jest szansa, że się zorientuje, co jest nie w porządku. Może zdobyć jakąś wskazówkę co do źródła naszego problemu.

– Proszę bardzo – powiedział Al.

– Proszę – dodała Carmen. – Wchodź, gdzie chcesz.

Lorraine uśmiechnęła się do nich i skinęła uprzejmie głową.

– Dziękuję. Za chwilę wracam.

Patrzyli, jak się odwraca i wychodzi, obserwowali, jak lekko unosi prawą rękę i przesuwa nią tak, jakby szukała drogi w ciemności.

Gdy Lorraine skręciła do holu, Carmen się otrząsnęła i spojrzała na Eda.

– Przepraszam, kompletnie zapomniałam, napijecie się może kawy albo herbaty?

– Dziękuję, chętnie – odparł z uśmiechem Ed. – Ale może zaczekajmy, aż Lorraine wróci.

✞ ✞ ✞

Każdy nerw Lorraine był pobudzony i pozostawał w stanie oczekiwania. Umysł miała otwarty na wszystko, co mogło być w powietrzu, w tym korytarzu, w kolejnym pomieszczeniu czy na dole – na wszystko, co mogło czekać, żeby jej coś przekazać.

Powoli przeszła przez jadalnię, głucha na ciche głosy dobiegające z salonu. Przeszła przez kuchnię, zatrzymując się po każdym kroku, potem przez hol, kilka razy, a potem, gdy zatrzymała się na chwilę u szczytu schodów – co to było za ukłucie, delikatny pomruk… czegoś niedaleko? – zeszła do piwnicy.

Na dole było ciemniej – nawet teraz przed południem – a także chłodniej, z delikatną wilgocią w powietrzu. Ale ten chłód i wilgoć były głębsze niż normalnie; owinęły się wokół gotowego umysłu Lorraine, mówiąc jej, że to psychiczne zimno, że cokolwiek jest nie tak z tym domem, to bierze się to najprawdopodobniej z piwnicy.

Przeszła przez pokój Michaela, wciąż trzymając przed sobą wyciągniętą rękę i poruszając nią delikatnie w przód i w tył, o kilka cali w każdym kierunku. Na ścianach były plakaty ze sportowcami, na szafce nocnej książki, w tym Biblia, na komodzie karty baseballowe i magazyny motoryzacyjne. Nie zobaczyła nic szkodliwego, nic niebezpiecznego – nic, co mogłoby zaprosić tego rodzaju obecność, o której mówili Al i Carmen.

Przeszła do kolejnego pokoju.

Coś się zmieniło.

Poczuła się inaczej.

Żołądek zaczęły jej wykręcać znajome mdłości.

Jednak jeszcze nie dotarła do tego czegoś, czymkolwiek to było.

Przeszła przez pokój niegdyś należący do Stephena, krzywiąc się na odczucia, które miała, ciemne, groźne, *bezradne* odczucia. Ale niczego jej nie powiedziały, jedynie sprawiały dyskomfort, więc ruszyła dalej.

Przez wylany betonem korytarzyk – nieprzyjemne odczucia zrobiły się mroczniejsze – do kolejnego pomieszczenia, gdzie podnośnik z łańcuchem czekał, by znowu wywindować trumnę ze zwłokami, a odpływ, by znów pochłonąć wydzieliny ciała spływające po jego nachylonych ściankach; do kolejnego pomieszczenia, gdzie, o czym Lorraine nie wiedziała, niegdyś balsamowano zwłoki. To było tutaj, w tym małym, ciemnym pomieszczeniu z betonową podłogą, tu w nią uderzyło to, czego szukała, objęło ją lodowatymi ramionami i trzymało, sztywną i zmartwiałą, pokazując jej zamgloną i zimną jak trup wizję:

…zwłoki, niektóre zwęglone, sztywne, niemal spopielone ciała… chłopcy i dziewczęta, mężczyźni i kobiety, jakby ofiary jakiegoś straszliwego pożaru albo wybuchu, jakiejś potwornej katastrofy… a może czegoś gorszego, znacznie, znacznie gorszego…

…ręce – szorstkie, męskie ręce, które sięgały, by obmacywać zwłoki, by w okropny sposób dotykać ich najbardziej prywatnych miejsc… palce zamykające się na wiotkich, martwych męskich genitaliach… wchodzące w zimne, martwe, prywatne miejsca kobiet… brutalnie wpychające się i zgniatające… i jeszcze gorzej…

…śmiech… chrapliwy, gardłowy śmiech… śmiech zdeprawowanej przyjemności i podniecenia… pomruki chorej, złej namiętności…

To wypełniło jej umysł, oślepiło oczy tak, że widziała wyłącznie tę koszmarną, odrażającą wizję: te przerażające obrazy perwersji, rzeczy, jakich nigdy sobie nawet nie wyobrażała, o których nie sądziła, że kiedykolwiek je zobaczy.

Jednak pojawiły się przed jej szeroko otwartymi, nieobecnymi oczami, które wydawały się być wbite w ścianę.

Prawą rękę miała wyciągniętą, jej palce drżały. Lewą dłoń przyciskała do piersi i walczyła o oddech, chwytając płytko powietrze.

I wtedy to coś odpuściło, odsunęło się od niej, jakby ktoś, kto ją dusił, zabrał ręce.

Odsunęło się i…

Zniknęło.

Lorraine stwierdziła, że stoi z plecami przyciśniętymi mocno do ściany, całe ciało ma napięte, każdy mięsień drży jej jak struna fortepianu. Zmusiła się do odprężenia, opuściła prawą dłoń, poczuła, jak przez jej spięte ciało przelewa się palący ból rozluźnienia. Zamknęła oczy, kilka razy odetchnęła głęboko i osłabiona oparła się o ścianę.

Piekły ją oczy. Serce waliło w piersi, pobudzone wyrzutem adrenaliny, która nadal zalewała jej organizm.

Coś przemknęło jej pod nogami.

Chrapliwie wciągnęła powietrze i wbiła paznokcie w ścianę.

Coś podrapało jej nogę tuż pod kolanem.

Lorraine spojrzała w dół.

To była fretka, smukła i ruchliwa, która bardzo starała się zwrócić jej uwagę.

Zwierzątko spojrzało na nią, zacmokało kilka razy i szybko przesunęło łapką po pyszczku.

Lorraine zalało poczucie ulgi. Uśmiechnęła się do fretki, a potem zaśmiała się ze swojego strachu. Gdy sięgnęła, żeby pogłaskać zwierzaka, ten umknął z pomieszczenia.

Oczy miała załzawione i nie widziała zbyt wyraźnie. Otarła łzy obiema rękami. Potem ruszyła na górę.

✞ ✞ ✞

Gdy Lorraine wróciła, Al i Carmen nadal rozmawiali z Edem. Dołączył do nich wciąż zaspany Michael. Spał w łóżku rodziców niedostatecznie długo, ale wstał.

Na widok wchodzącej do pokoju Lorraine Carmen natychmiast wstała.

– Napijesz się herbaty? Albo kawy?

Lorraine dość nieprzytomnie skinęła głową.

– Chętnie herbaty – powiedziała zachrypniętym głosem.

– To ja też poproszę herbatę – powiedział Ed, wstając. Podszedł do Lorraine. – Co się stało? – spytał cicho.

Leciutko pokręciła głową.

Wziął ją pod ramię.

– Chcesz porozmawiać na osobności?

Kiwnęła głową.

Ed odwrócił się do Ala.

– Czy moglibyśmy gdzieś przez chwilę porozmawiać w cztery oczy z Lorraine?

Al zaprowadził ich do głównej sypialni, gdzie zamknęli za sobą drzwi.

– Jak myślisz, co jest nie tak? – szepnęła Carmen, gdy wrócił do kuchni.

Al wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chcieli chwilę porozmawiać na osobności.

– No, to chyba nie jest za dobrze, co? – zapytała Carmen.

Al znowu wzruszył ramionami i poszedł do salonu zająć się Michaelem na wypadek, gdyby on też zaczął się denerwować jak jego matka.

Gdy Warrenowie wyszli z sypialni, herbata akurat się zaparzyła i czekała na nich w salonie. Usiedli razem na sofie i pochylili się, jakby mieli coś do powiedzenia.

Gdy Al i Carmen zajęli fotele – Michael leżał na podłodze, zaspany, ale słuchał – Ed się odezwał.

– Wieści nie są dobre – powiedział cicho. – Uważam, że to jasne, z czym mamy tu do czynienia. To demon. Bardzo stary, bardzo sprytny i absolutnie, bez wątpienia, bardzo, bardzo zły.

Wtedy odezwała się Lorraine, uspokajającym tonem.

– Ale możemy z nim walczyć. I możemy wygrać. – Nagle podniosła palec wskazujący i zamknęła oczy. – Przepraszam. To nie do końca tak. Możemy z nim walczyć, ile chcemy. Ale zwyciężymy tylko z pomocą woli Bożej.

Ed napił się herbaty i odstawił kubek.

– Wyjaśnię wam, jak to dokładnie działa – powiedział. – Manifestacje tego rodzaju zawsze mają pięć stadiów. Pierwsze to wtargnięcie. Potem zainfekowanie, prześladowanie, opętanie i wreszcie – jeśli sprawy zajdą aż tak daleko – śmierć.

Wyraźnie czując się niekomfortowo, znowu napił się herbaty i oparł o sofę.

– Najpierw stadium wtargnięcia – kontynuował – czy też *pozwolenia*. To moment, gdy demon w jakiś sposób zyskuje dostęp do osoby czy osób, na przykład do rodziny. Zazwyczaj jest on dobrowolny. Ktoś w jakiś sposób zaprasza demona, na przykład amatorsko interesując się sprawami nadprzyrodzonymi, na przykład biorąc udział albo przeprowadzając seans spirytystyczny czy korzystając z tablicy Ouija, ewentualnie zagłębiając się w rytuały satanistyczne. Może nawet przez coś tak niewinnego, jak zabawa kartami tarota. Ale czasami nikt takiej istoty nie zaprasza. Czasami ktoś inny robi coś, co sprowadza na kogoś zainteresowanie demona. Sądzimy, że tak mogło być w waszym przypadku. Uważamy, że coś mogło się wydarzyć w tym domu, zanim się tutaj wprowadziliście – być może na *długo* przed tym – coś, co mogło wywołać tego rodzaju aktywność.

Ed dał im chwilę, żeby przyswoili te informacje, zmienił pozycję na sofie, znowu napił się herbaty i mówił dalej.

– W trakcie kolejnego stadium demony próbują, *dosłownie*, doprowadzić ludzi do obłędu. Sieją spustoszenie w środowisku fizycznym. Przekładają różne rzeczy, niszczą je, walą w ściany i wydają różne przerażające odgłosy. Pokazują człowiekowi różne rzeczy – można to nazwać wizjami – albo sprawiają, że słyszy się coś, czego naprawdę nie ma, rzeczy absolutnie przerażające. Starają się sprawić, żeby człowiek czuł się tak, jakby był sam na całym świecie, że nikt mu nie wierzy. Doprowadzają do tego, że sądzisz, iż tracisz rozum.

Ed odetchnął głęboko i przyjrzał się Alowi i Carmen, sprawdzając, jak to przyjmują.

– Potem, w jakimś momencie, zaczyna się prześladowanie – podjął wątek. – Wtedy moce demoniczne przenoszą swoją uwagę z rzeczy na ludzi. To wiąże się z wielkim bólem. Zdarzają się przypadki paraliżu, ślepoty, chorób fizycznych i psychicznych. Demon człowieka upokarza. Może zrobić z niego ofiarę chorych i odrażających zabaw seksualnych. A potem, gdy jest już wystarczająco zgnębiony… wystarczająco osłabiony i chory… wciąż przerażony i pozbawiony wszelkiej nadziei… wtedy wreszcie w niego wchodzi. Wtedy zaczyna się opętanie.

Lorraine pochyliła się i podniosła rękę.

– Ale dziękujmy Panu, że w tym przypadku sprawy nie zaszły aż tak daleko – uśmiechnęła się. – A moc naszego Boga sprawi, że *nigdy* nie zajdzie.

– Możecie uznać, że od tej chwili – włączył się Ed – Lorraine i ja jesteśmy jak para prokuratorów. Nasze odkrycia przekażemy komuś w Kościele i miejmy nadzieję, że Kościół zdecyduje się coś z tym zrobić.

– Chcielibyśmy wrócić dziś wieczorem – powiedziała Lorraine. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zabralibyśmy ze sobą kilku naszych badaczy i przynajmniej jeden zostałby tutaj, żeby poprowadzić dwudziestoczterogodzinną obserwację.

– Może nawet dwóch – powiedział Ed. – Chcielibyśmy, żeby ktoś tu był przez cały czas i nagrywał, co się dzieje. Wiem, że to nie będzie łatwe: to wkroczenie w waszą prywatność i w ogóle. Ale to część procesu. No i… wiem, że to brzmi jak jakiś odcinek *Strefy Mroku* czy coś, ale tak nie jest. W tym momencie tak wygląda wasze życie. Chcemy wam pomóc. Ale musicie nam na to pozwolić.

Al i Carmen wymienili długie, milczące spojrzenie.

– Potrzebujemy pomocy – przyznał Al. – Bardzo jej potrzebujemy. Róbcie, co musicie.

DWADZIEŚCIA CZTERY

BADACZE

Wieczorem, gdy Warrenowie wrócili, cała rodzina była w salonie. Tego dnia Michael i Stephanie nie poszli do szkoły, byli zbyt zmęczeni nawet na to, żeby pójść na późniejsze lekcje.

Na podjazd znowu wtoczyło się kombi, a za nim biały hatchback. Oprócz Eda i Lorraine z kombi wysiadły jeszcze cztery osoby – trzech mężczyzn i kobieta. Z drugiego samochodu wyłoniły się kolejne cztery, i zaczęły wypakowywać sprzęt video i aparaturę rejestrującą.

– O rany – szepnęła Carmen do Ala, gdy patrzyli na to przez okno. – Co sobie pomyślą sąsiedzi?

Otworzyli Warrenom drzwi.

– Bardzo was przepraszam – powiedziała jowialnie Lorraine – ale mówiliśmy, że to będzie inwazja na waszą prywatność. Przywieźliśmy ze sobą naszych badaczy – dodała, wchodząc – i kilka osób, które sfilmują każde pomieszczenie w domu, żebyśmy mieli nagrane tło. Będziemy musieli znowu z wami porozmawiać, tym razem przed kamerą, żeby mieć pełen zapis waszej historii.

– Cóż, w takim razie… – powiedziała z wahaniem Carmen – chyba lepiej zacząć od razu…

✞ ✞ ✞

Dom ożywił się dźwiękiem głosów w każdym pomieszczeniu, jedni ludzie opierali sobie kamery na ramionach, inni trzymali lampy, niektórzy mówili cicho do dyktafonów, opisując dom i swoje wrażenia.

W tym czasie Ed i Lorraine przepytywali Ala i Carmen przed kamerą, prosząc, by opowiedzieli wszystko raz jeszcze, ale tym razem wolniej i bardziej szczegółowo. Gdy Stephanie, Michael albo Laura mieli coś do dodania, mogli się odzywać.

Wydawało się to trwać całą wieczność, ale do momentu, gdy na dworze zaczęło się ściemniać i rozległo się cykanie świerszczy, było już po wszystkim. Ci, którzy ze sprzętem nagrywającym przyjechali osobno, umówili się z Warrenami na następny dzień, podziękowali Alowi i Carmen za cierpliwość i życzyli im wszystkiego dobrego, a potem odjechali, zostawiając ich z Lorraine i Edem, i trzema badaczami, z którymi w tym całym zamieszaniu ledwie zdążyli się przywitać.

Pierwszym z nich był Chris McKenna, wnuk Eda i Lorraine. Był uprzejmym, łagodnym człowiekiem o jasnych włosach i nieco smutnych oczach. Pracą dziadków fascynował się od dzieciństwa.

Kolejnym badaczem był John Zaffis, siostrzeniec Eda i Lorraine. Wysoki, szczupły i roznosiła go energia; gdy rozmawiali, ledwie był w stanie usiedzieć w miejscu.

Ostatnim z trójki był niejaki Sal Valenti. Brał udział w wielu wykładach Eda i Lorraine i prowadzonych przez nich zajęciach. Podobnie jak John i Chris należał do New England Society for Psychic Research, organizacji założonej przez Warrenów.

Ich zadaniem była całodobowa obserwacja domostwa Snedekerów, nagrywanie wszystkiego, co się wydarzy, a także rejestrowanie wrażeń swoich i innych ludzi.

John spytał grzecznie, czy mogliby sobie zrobić kawy, i poszedł do kuchni ją przygotować.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w salonie i cicho rozmawiali.

– Uważam, że to ważne, żebyście się poznali – powiedział Ed – bo czy się to komuś podoba, czy nie, tylko tak możemy to przeprowadzić. Inną opcją jest nie robić nic. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli najpierw wszyscy się zaznajomią i spróbują trochę poznać.

Oczywiście nie było to łatwe w tak krótkim czasie, ale Laura i Chris od razu nawiązali nić porozumienia. Wkrótce śmiali się jedno przez drugie, jakby przyjaźnili się od dawna.

Al i Carmen też zaczęli rozmawiać z tą trójką młodych ludzi i przekonali się, że są mili i wręcz przepraszający za tę całą sytuację. Powiedzieli Snedekerom, że będą zadowoleni z każdego miejsca do spania.

– Cóż, skoro już o tym mowa – powiedział Al – to zastanawialiśmy się, czy by nie rozłożyć materaców tutaj, w salonie, żebyśmy byli razem. Pan Warren mówił, żebyśmy się nie rozdzielali.

– To dobry pomysł – zgodziła się Lorraine. – I myślę, że dobrze będzie, jeśli *nikt* nie będzie schodził na dół. To… to nie jest dobre miejsce.

– Dlatego właśnie pomyśleliśmy, żeby położyć wszystkich tutaj – powiedziała Carmen, zwracając się do trzech badaczy. – Więc jeśli nie macie nic przeciwko…

– Nic a nic – zapewnił Chris.

John pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Nam pasuje wszystko.

Sal skinął głową z uśmiechem, potwierdzając te słowa. Wyraźnie był w tym wszystkim nowy i przez to nieco podenerwowany.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a gdy zrobiło się ciemno, Ed i Lorraine wstali.

– Będziemy lecieć – powiedział Ed. – Chłopaki, zabierzecie swoje rzeczy z samochodu? – zwrócił się do badaczy.

Trzej panowie wyszli na zewnątrz.

Ed popatrzył na Ala i Carmen.

– Dajcie nam znać, jak minęła ta pierwsza noc – poprosił. – Macie nasz numer. Wiem, że czasami pojawiają się konflikty osobowości, a to utrudnia sprawę. Jeśli zdarzy się coś takiego, po prostu powiedzcie. Ale mam nadzieję, że wasza współpraca będzie się układać. Oni są tutaj, żeby pomóc. Razem dojdziemy do sedna problemu, a potem skonsultujemy się z kościołem.

Al i Carmen pożegnali się z Warrenami, którzy zostawili im nowych gości, trzech mężczyzn, którzy mieli się dowiedzieć, co jest nie tak.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

DEMONY POD OBSERWACJĄ

Kilka kolejnych tygodni było piekłem na ziemi, nie tylko dla Snedekerów, ale też dla samych badaczy.

Zupełnie jak gdyby siły, które niewidzialnie przemykały po domu, nie były zadowolone z tego, że jacyś obcy się im przypatrują. Prawie jakby były rozzłoszczone: bardziej niż kiedykolwiek przedtem zaczęły pokazywać swoje możliwości.

✞ ✞ ✞

Któregoś wieczoru Al położył się przed Carmen. Leżał na jednym z wielu materaców rozłożonych na podłodze w salonie.

Peter i Stephanie spali już mocno w swoich kątach, zwinięci pod narzutami i kocami, z głowami ułożonymi na poduszkach. John był na nogach od blisko dwudziestu godzin i teraz pochrapywał lekko na podłodze koło sofy.

W jadalni Carmen i Laura cicho rozmawiały z Chrisem i Salem, gdy Al wreszcie umościł się pod przykryciem. Trochę za dużo wypił i czuł się ospały i znużony. Wkrótce powieki zaczęły mu opadać, a oddech zwolnił.

Wtedy gwałtownie się rozbudził i przez długą chwilę szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w sufit. Potem zaczął ponownie

zasypiać…

Znowu gwałtownie się obudził. Tym razem obrócił się na bok, próbując przyjąć możliwie wygodną pozycję.

Znowu zaczął odpływać… niezupełnie spał i niezupełnie czuwał… i właśnie wtedy to do niego przyszło…

Punkciki niebieskawo-białego światła tańczące i wirujące mu pod powiekami. Zaczęły się zbierać razem i zbliżać… coraz większe i większe… zaczęły tworzyć jakiś obraz…

Al, niezupełnie śpiąc, znowu odwrócił się na plecy i otworzył oczy, myśląc, że może doświadcza pewnych negatywnych skutków ubocznych wypicia takiej ilości piwa. Jednak nie o to chodziło.

Gdy otworzył oczy, spodziewał się ujrzeć sufit, ale tymczasem te wirujące i tańczące światełka, które wydawały się zbliżać, nie zniknęły. Widział je na czarnym tle – nie na suficie, o którym wiedział, że go ma nad sobą.

Gdy tak patrzył zdumiony, światełka zaczęły się grupować, coraz bliżej i bliżej, z wolna tworząc jakąś postać… bardzo znajomą postać… która gwałtownie się do niego odwróciła… postać Chrystusa na krzyżu… ale ten Chrystus nie przypominał swoich podobizn… Ten miał straszliwie okaleczoną twarz… wykrzywioną w zdeformowaną, odrażającą maskę bólu… oczy wyłażące z oczodołów… spuchnięty język wystający spomiędzy grubych, spękanych warg, które poruszyły się, formując słowa:

„Allen, nie mogę ci pomóc… Nic nie mogę zrobić… Nie żyję… rozumiesz?”

Postać Chrystusa była coraz bliżej i bliżej.

„Ja… nie… ŻYJĘ! Już NIE ISTNIEJĘ!”

Przybliżał się coraz bardziej i bardziej, aż Al poczuł jego kwaśny oddech, aż miał wrażenie, że czuje na twarzy ten spuchnięty, wysunięty język…

„Al, ja cię NIEEEE SŁYYYSZEEEEEĘ! NIEEEE SŁYSZEEEĘ CIEEEEĘ! MNIE TUTAJ NIEEEE MAAA!”

Potem ta cuchnąca, zakrwawiona postać koszmarnego Chrystusa spadła na niego i…

Al obudził się z wrzaskiem.

John poderwał się do pozycji siedzącej i na czworakach przelazł do niego.

– Co się stało? – spytał bez tchu. – Al, co jest, co się dzieje?

Al rękami wskazał na sufit.

– Jezus! To był Jezus! Powiedział, że nie może pomóc! Powiedział, że nie żyje! Powiedział, że go tu nie ma! – Al spazmatycznie chwytał oddech i dygotał spanikowany.

John mocno złapał go za ramię.

– Al, wszystko jest w porządku, to tylko demon chciał ci pokazać coś, co odbierze ci odwagę.

Na dźwięk krzyku Ala pozostali przyszli z jadalni i zebrali się wokół niego.

– Wszystko już dobrze – powiedział John. – Takie rzeczy będą się zdarzać. To będzie robić właśnie takie numery. Chce cię przestraszyć. Was wszystkich. Chce, żebyście porzucili wiarę. Chce wam odebrać odwagę. Ale wierzcie mi, nie możecie do tego dopuścić.

Al zdążył się odrobinę uspokoić. Odwrócił się do Johna.

– Już okay. Serio. Już mi lepiej.

Gdy John poszedł po notes, żeby opisać ten incydent, Carmen usiadła obok męża.

– Na pewno dobrze się czujesz? – szepnęła, obejmując go mocno.

– Tak, już tak. Tylko… Tylko mam nadzieję, że to się już nie powtórzy. To było… – Pokręcił głową i odetchnął głęboko – naprawdę upiorne. Wierz mi.

– Mam zostać z tobą, dopóki nie uśniesz?

– Mogłabyś?

– Jasne, że tak, kochanie. Jasne, że tak.

I tak zrobiła. Głaskała go po włosach i mówiła do niego łagodnym głosem, póki nie zasnął, i wydawało się, że siła, która działa w ich domu, nie ma mu nic więcej do pokazania.

✞ ✞ ✞

Kilka tygodni później Al i Carmen siedzieli razem na stopniach ganku, rozkoszując się ciepłym, letnim wieczorem. Było późno, a Laura i dzieci już spały.

Trzech badaczy siedziało w środku, rozmawiając cicho i doglądając tych, którzy już zasnęli.

Al i Carmen też rozmawiali, ciesząc się rzadką chwilą prywatności.

– Nie jest lekko – powiedział Al, otaczając żonę ramieniem i przyciągając ją do siebie.

– Bez kitu – zaśmiała się Carmen, opierając głowę na jego ramieniu.

– Przejdziemy przez to – westchnął. I dodał cicho: – Mam nadzieję.

– Och, na pewno. Martwi mnie, co najwyraźniej musimy wytrzymać, *zanim* przez to przejdziemy.

– Taa, wiem, co masz na myśli.

W ciągu kilku poprzednich tygodni dali znać znajomym i krewnym – możliwie delikatnie, ale na tyle stanowczo, na ile dało się to zrobić bez podawania nieprzyjemnych szczegółów – że wpadanie z wizytą nie będzie dobrym pomysłem, przynajmniej przez jakiś czas. W rezultacie odebrali masę telefonów od martwiących się przyjaciół i rodziny, z pytaniami, co się dzieje, czy ktoś zachorował, czy mają może jakieś kłopoty małżeńskie.

Al i Carmen bardzo niewielu osobom zdecydowali się powiedzieć, co się tak naprawdę dzieje. Powiedzieli rodzinie Ala, siostrze Carmen, Lacey, i swojej sąsiadce Tanyi, która była co najmniej zaskoczona, jeśli nie cokolwiek sceptyczna. Carmen powiedziała jej,

że zadzwoniła do Warrenów i że teraz w ich domu są ich współpracownicy.

Rozkoszowali się chwilą samotności na ganku. Al popijał piwo, Carmen piła herbatę i paliła papierosa. Niewiele mówili, ale siedzieli blisko siebie. Z domu słychać było niewyraźne głosy badaczy, a oni, choć przez chwilę, mogli pobyć sami i blisko siebie.

Nagle Carmen wypuściła kubek z herbatą. Rozbił się dwa stopnie niżej, a gorący napój ochlapał im stopy.

Al drgnął, zaskoczony, ale Carmen się nie poruszyła, w ogóle nie zareagowała.

– Carmen? – spytał cicho Al.

Papieros wypadł jej z palców i potoczył po schodach. Jego rozjarzona czerwienią końcówka była tym lepiej widoczna, im dalej toczył się od światła na ganku.

Carmen z jękiem padła na plecy, jakby popchnęły ją jakieś niewidzialne dłonie. Nogi jej dygotały. Usta się otworzyły, a język wysunął sztywno, gdy nagle wyprostowała łokcie, a dłonie zwinęła w pięści.

– Dobry Jezu, Carmen! – krzyknął Al, pochylając się nad nią i upuszczając butelkę z piwem. Rozbiła się, a spieniony trunek z sykiem popłynął po schodach.

Carmen miała oczy otwarte niemożliwie szeroko, a jej gardło zaczęło powoli czernieć, puchnąć powoli w ogromny, nadęty balon tkanki, przypominający wole rechoczącej żaby.

– O mój Boże, chodźcie tutaj *natychmiast*! – wrzasnął Al.

Drzwi frontowe otworzyły się i z domu wypadli Chris, John i Sal. Sztywne, drżące kończyny Carmen rozluźniły się, a ona wydała długie, bulgoczące westchnienie.

✞ ✞ ✞

Przez chwilę – bardzo krótką – Carmen słyszała wokół siebie głosy. Ale te szybko ucichły, odsunęły się od niej daleko, aż przestała je słyszeć… *Była gdzie indziej, w jakimś ciemnym, zimnym miejscu, tak ciemnym, że niczego nie widziała, tak nierealnym, że niczego nie czuła.*

Wszędzie, gdzie tylko spojrzała, widziała wyłącznie czerń, czerń tak gęstą i ciężką, że niemal namacalną. Wokół niej nie było niczego… niczego, co można by dotknąć… niczego, co można by zobaczyć… nic.

A potem spojrzała w górę.

Wysoko, wysoko nad nią był okrąg słabego, nieprzyjemnego, czerwonawego światła. Uświadomiła sobie, że znalazła się na dnie bardzo głębokiej dziury. Gdy tak wpatrywała się w ten krąg światła nad sobą, pojawiły się w nim dwie twarze.

Jedna męska, druga kobieca, obie bardzo blade, z czarnymi włosami pozlepianymi w strąki. Ich usta jednocześnie rozciągnęły się w szerokich uśmiechach, ukazując wąskie zęby, szare od rozkładu, i cieniutkie szpary między nimi.

– Ty żałosna cipo! – krzyknął mężczyzna, a jego zaflegmiony głos odbił się echem w ciemnościach.

– Ty głupia suko! – splunęła w jej stronę kobieta.

Carmen skuliła się w ciemnościach, chowając się przed ich obelgami. Nieprzerwanie obrzucali ją wyzwiskami i naśmiewali się z jej strachu.

– Co, myślisz, że możesz nam coś zrobić? – zapytał mężczyzna.

– Myślisz, że masz boga silniejszego od nas? – roześmiała się kobieta. – Twój bóg to słabeusz!

– Cipa!

– Twój bóg to lachociąg i ci nie pomoże!

– Należysz do nas! Twoja dusza jest nasza!

Ich głosy wibrowały w ciemności otaczającej Carmen. Pryskała na nią ich ślina. Ich słowa wbijały się w nią jak brudne, ostre szpony.

Al i trzech badaczy kucało nad Carmen, słuchając, jak charczy i bulgocze przez spuchnięte, posiniaczone gardło.

– Ś… Świę… taaa M… Mario, M… M… matko B… Boża, m… módl się za nami grzesznymi, t… teraz i w godzinę ś… śmierci naszej, a… a… mmmmen…

Gdy Al zaczął płakać, podnieśli Carmen ze schodów i zabrali ją do domu.

Twarze zerkające przez wlot dziury wciąż ciskały na Carmen obelgi, drwiąc z jej Boga i rodziny, wciąż jej przypominając, że oni i ich miliony są znacznie potężniejsi od niej, czy od kogokolwiek z jej rodziny, że nie zdołają im się oprzeć ani ich pokonać.

A potem, niespodziewanie i w przerażający sposób, te twarze zaczęły się coraz bardziej zbliżać, robiły się coraz większe i większe, ich uśmiechy robiły się szersze i szersze, a groteskowe, gnijące zęby coraz wyraźniejsze, w miarę jak Carmen jakimś sposobem wznosiła się z dna tej głębokiej i wąskiej dziury, coraz bliżej i bliżej otworu na górze, tych twarzy, tych ohydnych, pociągłych, bladych twarzy z obrzydliwymi uśmiechami i głęboko osadzonymi, trupimi oczami, które obserwowały, jak wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż stopami stanęła pewnie na ziemi, mając tę dziurę (jak sądziła) dokładnie za sobą. Ale gdy odwróciła się powoli i spojrzała na ziemię, niczego tam nie było, tylko twarda, sucha ziemia poprzecinana ciemnymi, szerokimi, poszarpanymi szczelinami, które sięgały we wszystkie strony jak pajęczyna, jak błyskawice.

Jej dręczycieli nigdzie nie było widać. Najwyraźniej po prostu zniknęli.

Gdy Carmen spojrzała przed siebie, zrozumiała, że znajduje się na jakiejś drodze… długiej drodze powstałej z wyschniętej, spękanej ziemi. Jednak światła było tak mało, jakby to była noc… ale niezupełnie.

Carmen odchyliła głowę i spojrzała w niebo zaciągnięte paskudnymi, czarnymi chmurami, które przemykały z wywołującą mdłości prędkością.

Ale skądś dobiegało światło… chore, rakowate światło, które oświetlało pobocza drogi.

Jednak Carmen się temu nie przyglądała. Bała się patrzeć. Zaczęła iść, początkowo powoli, utykając nieco ze strachu i przenikającego ją wyczerpania. Potem złapała rytm, ziemia osuwała się lekko pod jej stopami. Zaczęła bezgłośnie płakać, gorące łzy spływały jej po policzkach, gdy zastanawiała się, gdzie jest i co się stało z jej mężem, jej rodziną, jej domem… gdy zastanawiała się, co stało się z nią.

Droga przed nią zwężała się w perspektywie. Wydawała się ciągnąć po kraniec świata, tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem, i jeszcze dalej, kryjąc się w fałszywej ciemności.

Jej płuca zaczęły się zaciskać z paniki, gdy uświadomiła sobie, że była bardzo, bardzo daleko od domu… jak Dorotka w Czarnoksiężniku z Krainy Oz… jak Alicja w Co Alicja zobaczyła po drugiej stronie lustra… znajdowała się w jakimś przerażającym, obcym miejscu, a ono było bardzo prawdziwe… i nie miała pojęcia, jak z niego wrócić.

Wciąż szła przed siebie, z ramionami obolałymi z napięcia i sercem walącym ze strachu.

Al wraz z pozostałymi położyli Carmen na jednym z materaców w salonie.

– Jezu Chryste, co się z nią dzieje? – jęknął Al z oczami pełnymi łez.

– Atakują ją – odparł John.

– Nie powinniśmy wezwać lekarza lub karetki? – spytał Al. – Boże, jak ona wygląda, jakby coś było z nią bardzo źle, jakby umierała!

– Owszem, jest z nią źle – powiedział Chris, pochylając się nad Carmen. – Atakuje ją ta demoniczna siła, która gnieździ się w tym

domu. Już widywaliśmy takie rzeczy.

– Tak, to prawda – uspokajająco powiedział John. – Lekarz niczego nie znajdzie. A zanim jakiś tutaj dotrze, może już być po wszystkim. Masz tu jakiś różaniec?

– Tak, chyba tak. – Al rozejrzał się po pokoju, aż wypatrzył jeden na telewizorze. Przelazł nad materacem i sięgnął po sznur koralików, a potem podał go Johnowi.

– Nie, nie – odparł John. – To dla *ciebie*. Trzymaj różaniec i odmawiaj *Zdrowaś Mario* i *Ojcze nasz*.

– I nie przestawaj – dodał stanowczo Chris – póki nie skończymy. – Spojrzał na Johna i Sala. – Będziemy musieli się modlić do skutku.

Obaj przytaknęli.

– Dobry Jezu, jest źle, tak? – wyszeptał Al.

– To nic, z czym Bóg nie dałby sobie rady – powiedział zdecydowanie Chris.

Gdy Al zaczął odmawiać *Zdrowaś Mario*, trójka badaczy zaczęła mówić chórem.

– W imię Jezusa Chrystusa! Nakazujemy ci opuścić to miejsce! Wracaj tam, skąd przybyłeś! W imię Jezusa Chrystusa!

Al przyklęknął przy żonie. W miarę jak tamta trójka powtarzała inwokację, jej gardło robiło się coraz ciemniejsze i grubsze. Położył dłoń na jej ramieniu, w drugiej ściskając różaniec, i odmawiał *Zdrowaś Mario* i *Ojcze nasz* prawie krzykiem, podczas gdy Chris, John i Sal wzywali imienia Chrystusa.

Carmen, idąc po niekończącej się drodze, miała już zadyszkę. Wreszcie zaczęła się rozglądać na boki, przyglądając się krajobrazowi.

Najpierw zauważyła krzyże… ogromne krzyże z nieheblowanego drewna, osadzone mocno w ziemi… do góry nogami… wszędzie, dokąd tylko sięgała wzrokiem.

Wszędzie wokół krzyży, wijąc się w ziemi, widać było czarne, bezkształtne stwory, które wydawały się próbować – bezskutecznie –

wyrwać się z twardej, spękanej gleby, jakoś się z niej uwolnić.

Spomiędzy gnających po niebie chmur przebijały się oszczepy światła, aż nagle rozległ się głęboki, grobowy głos, który dochodził jakby zewsząd i znikąd – Carmen pomyślała, że tak brzmi choroba.

– Carmen, to są dusze… zagubione dusze, które teraz należą do nas… do mnie… tak, jak i ty do mnie należysz… jak należysz do mnie ty i cała twoja rodzina…

Carmen zatrzymała się na drodze i zaczęła krzyczeć, modląc się do Boga, by ktoś ją usłyszał, by ktoś ją znalazł i jej pomógł.

Gdy Al usłyszał, jak z gardła Carmen dobywa się jakiś cichutki, zdławiony dźwięk, przerwał w połowie *Ojcze nasz* i pochylił się ku niej, kładąc jej dłoń na skroni.

– Carmen, kotku, co jest? – wyszeptał. – Co się dzieje?

Chris, John i Sal raz za razem wzywali Chrystusa.

– Al, jej tutaj nie ma – odezwał się nagle Chris. – Nie ma jej z nami, cały czas się módl…

Al zignorował go i z determinacją szeptał Carmen do ucha.

– Carmen, gdzie jesteś, kotku, *gdzie jesteś*?

Gdy zaczęła reagować tak, jak tylko była w stanie, trzej badacze przerwali swoją modlitwę i zaczęli słuchać.

– Ciemno – wybełkotała. W kącikach jej ust gromadziła się ślina. – Ciemne miejsce… w jakimś… miejscu… w *ciemnym* miejscu – powiedziała, z wielkim trudem wypowiadając kolejne słowa.

– O Boże, gdzie ona jest? – jęknął Al, unosząc wzrok ku pozostałym.

– To ją ma – powiedział John. – Musimy sprowadzić ją z powrotem.

Natychmiast głośniej zaczęli wzywać Chrystusa, a po długiej chwili Al dokończył *Ojcze nasz* i przeszedł do *Zdrowaś Mario.*

Carmen wciąż krzyczała. Patrząc na te wszystkie dusze… te czarne, uwięzione dusze… padła na kolana. Przygniatała ją i dusiła

ich potrzeba wyrwania się na wolność, ich pragnienie ucieczki od tego, co każdą z nich przywiodło do tego miejsca…

Ten głos, który wydawał się dobiegać zewsząd, ten zaflegmiony, odrażający głos, jakby z samego dna najgłębszej piekielnej dziury, zaczął się śmiać. Jego śmiech był głęboki, gardłowy i pełen złośliwej, wypaczonej radości.

Carmen uderzyła się dłońmi po twarzy i znowu krzyknęła, nie mogąc znieść tego śmiechu w połączeniu z klaustrofobicznym uczuciem wywoływanym przez te czarne, pokręcone dusze wijące się, by się wyrwać z jałowej ziemi.

Po chwili śmiech zaczął cichnąć, a wraz z nim to poczucie ucisku.

Powoli… bardzo powoli… Carmen zaczęła odsuwać ręce od twarzy.

Zamglonymi oczami spojrzała na Ala, który miał zmartwioną twarz i wargi zaciśnięte w prostą linię.

– Carm? – wyszeptał ochryple. – Dobry Jezu, *Carm*?

– Al – jęknęła, sięgając po jego dłoń. Złapała ją mocno, jakby się od niej odsuwał.

Nagle dostrzegła, że wokół niej klęczą Chris, John i Sal.

– Bogu dzięki – powiedział John.

– Amen – dodał Sal.

Chris uśmiechnął się tak szeroko, że wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć śmiechem.

– Wróciłaś – powiedział wreszcie Chris.

– Tak, chyba tak – szepnęła Carmen.

Niecałe dwie godziny później Carmen spała niespokojnie na materacu obok Ala. Chris, John i Sal pijąc kawę, rozmawiali cicho w jadalni.

Al siedział w spodniach od piżamy i szlafroku, patrząc na śpiącą Carmen. Czoło miał pomarszczone ze zmartwienia, strachu i dezorientacji.

Kobieta rzucała się przez sen, oczy miała mocno zaciśnięte, a brwi zmarszczone.

Modlił się w milczeniu, nie spuszczając z niej wzroku. Cieszył się, że Laura ani dzieci nie widziały, co się stało.

A wtedy ciało Carmen zesztywniało, a plecy wygięły się w łuk, jakby w cichej agonii. Jej gardło znowu zaczęło puchnąć i ciemnieć, przechodząc w fioletową czerń.

Al złapał ją za ramię.

– Znowu się zaczęło, chodźcie tutaj, to się znowu dzieje, o Jezu, Jezu Chryste!

W korytarzu rozległy się pospieszne kroki. Badacze, omijając materace, dopadli Carmen.

John miał w ręce krucyfiks. Wyciągnął go przed siebie.

– W imię Jezusa Chrystusa, nakazuję ci opuścić to miejsce… – powiedział głośno i stanowczo.

Chris i Sal szybko do niego dołączyli.

Carmen wygięła kark. Oczy jej się otworzyły, ale widać było tylko połyskujące białka. Dławiła się i dusiła, a ramiona i nogi zaczęły konwulsyjnie dygotać.

Al nagle poderwał się na nogi. Pięści trzymał po bokach ciała, zęby miał zaciśnięte.

– Niech cię szlag – zawarczał z wściekłości. – Jestem silniejszy niż ona! Chodź do mnie, ty skurwysynu, spróbuj się ze *mnąąą*…

Wszyscy trzej mężczyźni zamilkli w tej samej chwili i odwrócili się do Ala.

– Al, nie mów tego! – krzyknął Chris.

Sal złapał go za ramię.

– *Przestań*! – huknął.

John padł na kolana u stóp Carmen i dalej modlił się sam, teraz już prawie krzycząc, wciąż trzymając przed sobą krzyż tak, jakby to była broń.

Ale Al ich zignorował.

– Chodź do *mnie*, do cholery! – krzyczał. – Chcesz walki, to ja będę z tobą walczyć, ty zasrany skurwysynu, ty pierdolony…

Słowa nagle utkwiły mu w gardle, tak ostro i gwałtownie jak połknięte niespodziewanie ości. Zaczął wydawać zduszone, bulgoczące dźwięki. Jego oczy robiły się coraz większe, twarz traciła kolory, aż stał się chorobliwie blady.

Potem runął na materac, jakby ciśnięty jakimiś potężnymi, niewidzialnymi ramionami. Upadkowi towarzyszył zdławiony jęk.

– O dobry Boże – westchnął Sal.

Al wylądował na czworakach. Głowa opadła mu delikatnie.

Nieskoordynowane ruchy Carmen zaczęły się uspokajać. Opuchlizna i ciemny kolor gardła zaczęły się cofać, w miarę, jak stan Ala wydawał się pogarszać.

John nadal gorączkowo wzywał imienia Chrystusa. Na czole miał połyskujące kropelki potu.

Skraj szlafroka Ala poderwał się nagle nad jego głowę, a gumka od spodni piżamowych pękła, jakby pociągnięta brutalnie w dół, odsłaniając jego nagość.

Al krzyknął głosem tak wysokim i przenikliwym, że zabrzmiał jak kobiecy, a całe ciało zaczęło dygotać, jakby ktoś raz za razem je uderzał. Wciąż krzyczał, głosem pełnym przerażenia i bólu.

Carmen zaczęła dochodzić do siebie. Otworzyła oczy, zamrugała kilka razy i usiadła.

– Co się dzieje? – spytała, odwracając się w stronę Ala. – O mój Boże, co się z nim dzieje?

John przerwał inwokację i wziął głęboki oddech.

– Atakują go – powiedział ochrypniętym głosem. – Jak ciebie… kilka sekund temu.

Przez długą chwilę, oszołomieni i bezradni, dokładnie wiedząc, co się z nim dzieje, wpatrywali się w Ala.

– O Boże – jęknęła Carmen, zaczynając płakać. Przesunęła się do Ala i go objęła. Al raz za razem wydawał z siebie przeraźliwy krzyk, dźwięk dochodzący z jego muskularnego, twardego jak kamień ciała był jej zupełnie obcy. Popatrzyła ponad jego ramieniem.

– Zróbcie coś! – krzyknęła. – Do cholery, właśnie po to tu jesteście! *Zróbcie coś*!

Ale ich modlitwy nie odniosły żadnego skutku. Gdy atak się skończył, Carmen mocno przytuliła męża.

– O mój Boże, skarbie, tak mi przykro, tak strasznie mi przykro, że musiałeś przez to przejść.

Carmen, doświadczywszy tego na własnej skórze, doskonale wiedziała, jakie to upokarzające, jaka czuła się bezradna wobec tej przemocy; serce ją bolało, bo wiedziała, że Al przeszedł przez to samo.

✞ ✞ ✞

W domu, który wydawał się mieć bezpośrednie połączenie z piekłem, minęła kolejna noc.

Al i Carmen nie byli jedynymi osobami atakowanymi przez tę obecność, która upatrzyła sobie ich dom na własne siedlisko, choć z jakiegoś powodu niespecjalnie interesowała się mniejszymi dziećmi; jednak trzej badacze w trakcie swojego pobytu bywali atakowani. Istota dręczyła ich we śnie, a także całymi dniami i nocami szczypała, kłuła i uderzała. Przedmioty ciągle przemieszczały się po domu, jakby same z siebie, nieomal tak, jakby były żywe.

W pewien wieczór, dość wcześnie, już po tym, jak Al wrócił z pracy, wszyscy jedli kolację na dworze, czując się jak na pikniku. Gdy weszli do domu, Sal jako pierwszy zauważył, że w salonie działo się coś dziwnego. Zawołał kolegów i oczywiście do domu przyszli też wszyscy pozostali mieszkańcy.

Każdy materac leżący na podłodze oddychał. Środek każdego z nich wybrzuszał się powoli, jakby wciągając powietrze, po czym się zapadał, jakby je wydychając.

Często wpadali do nich Ed i Lorraine, zostając po kilka godzin, na własne oczy widząc wiele incydentów, które opisywali ich współpracownicy.

Byli świadkami jednego z ataków; widzieli przedmioty latające wokół domu; czuli smród i widywali ruchy na granicy wzroku, ruchy, które brały się znikąd.

W trakcie jednej z tych wizyt usłyszeli głośne, metaliczne stukanie, które dochodziło z głównej sypialni. Al był w pracy, dzieci na dworze, a Sal i John odpoczywali w salonie, więc Ed, Lorraine, Carmen, Laura i Chris z wahaniem przeszli przez hol i zajrzeli do sypialni. Carmen i Laura miały różańce, a Ed i Chris trzymali krucyfiksy.

W samej sypialni ten dźwięk był głośniejszy, a drewniana podłoga pod ich stopami lekko wibrowała. Wszyscy zatrzymali się tuż za progiem.

Wreszcie Lorraine weszła głębiej i położyła lekko dłoń u dołu ramy łóżka.

– Tutaj jest znacznie gorzej – powiedziała cicho.

– Skąd to się bierze? – spytał Ed, powoli przechodząc przez pokój.

Lorraine uniosła przed sobą prawą rękę tak, jak podczas swojej pierwszej wizyty w tym domu, i zamknęła oczy.

– Nie stąd – wyszeptała. – Skądinąd.

– O Boże – powiedziała Carmen. – To brzmi jak ten wielokrążek… ten wyciąg do zwłok na dole. Znajduje się dokładnie pod tym pokojem. W zasadzie… to dokładnie pod łóżkiem.

Dźwięk nagle nabrał sensu; metaliczny turkot mógłby wydawać podnośnik łańcuchowy, taki jak ten w zimnej, wilgotnej piwnicy pod nimi.

Wyszli z sypialni drugimi drzwiami, które prowadziły do piwnicy. Gdy byli w połowie schodów, terkot raptownie ustał.

W piwnicy zobaczyli, że ciężki łańcuch kołysze się lekko. Jego ogniwa pobrzękiwały cicho.

To zdarzenie się powtarzało, wciąż też działy się różne dziwne rzeczy, których Ed i Lorraine bywali świadkami.

Podczas innej wizyty Lorraine doświadczyła kolejnej przerażającej wizji, podobnej do tej, którą miała, gdy była w tym domu po raz pierwszy.

Gdy się zaczęła, stała na szczycie schodów obok łazienki, zaglądając do sypialni poniżej, mając zejść do piwnicy – Snedekerowie w tej chwili odmawiali wchodzenia do tej części domu. Widzenie było tak żywe i niespodziewane, że przez chwilę nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że to wizja – póki nie dotarło do niej, że nie może się ruszyć, że jest sparaliżowana.

U dołu schodów pojawił się jakiś mężczyzna. Nie wyszedł zza rogu, po prostu się *pojawił*, jakby z powietrza. Miał na sobie brudny podkoszulek i workowate, za długie spodnie, niegdyś beżowe, obecnie jednak tak brudne i wyplamione, że wydawały się raczej brązowe. Poszarpane nogawki opadały na stopy, na których miał tylko brudne, białe skarpetki. Pod podkoszulkiem rysował się krągły, obwisły brzuch z cieniem w miejscu dużego zagłębienia pępka, zwisający ponad paskiem spodni. Włosy miał czarne i pozlepiane w strąki, opadające na ramiona; na czubku głowy łysiał, spod kosmyków włosów prześwitywała blada skóra. Pod prawą pachą trzymał parę brązowych butów roboczych. Serdelkowatymi palcami podciągał i zapinał te swoje brudne spodnie. Oddychał ze świstem, jakby się bardzo męczył.

Spojrzał w górę, a spojrzenie jego wodnistych, zaczerwienionych oczu napotkało przerażony wzrok Lorraine. Uśmiechnął się, pokazując połamane, odbarwione zęby. Wargi miał grube i popękane, a gdy powoli ruszył w górę, oblizywał je błyszczącym językiem.

– Ładne zwłoki – powiedział głosem niskim i zaflegmionym, mokrym i gardłowym. – Ładne, zimne zwłoki. Zimne, sztywne zwłoki.

Wspinał się stopień po stopniu, bliżej i bliżej…

– Nie ruszaj się, jak ich dotykasz. Nie walcz, gdy je trzymasz albo liżesz – zaśmiał się.

…bliżej i bliżej, stopień po stopniu…

– Fakt, możesz z nimi, kurwa, zrobić, co ci się podoba – zachichotał, gdy dotarł na górę. Sięgnął po dłoń Lorraine. – Chodź, pokażę ci. Chcesz, to sobie możesz na mnie popatrzeć. Widzisz? Znowu jestem gotowy – zaśmiał się, upuszczając buty i sięgając do swojego krocza.

Lorraine spojrzała w dół i patrzyła, jak złapał za okropne wybrzuszenie, które urosło mu między nogami. Suwak spodni miał cały czas otwarty i zobaczyła błysk czegoś, co wyglądało jak guzowate, fioletowawe mięso, pokryte jakby brudem, a może krwią.

Zamykając oczy i odsuwając się od niego, Lorraine plecami uderzyła o drzwi od łazienki i krzyknęła. Gdy znowu otworzyła oczy, siedziała na podłodze, a ten mężczyzna zniknął. Obok niej klęczał Ed.

– Lorraine, co się stało, co się dzieje? – szeptał z niepokojem.

– Nekrof… nekro… straszne rzeczy, Ed… straszne rzeczy działy się w tym domu.

– Nekrofilia?

Kiwnęła głową.

– Widziałam coś… mężczyznę… powiedział mi, co zrobił… chciał, żebym patrzyła…

Gdy Lorraine się uspokoiła i była w stanie się podnieść i chodzić, powiedzieli pozostałym, co zobaczyła i co to oznacza.

– Takie rzeczy – powiedział Ed – mam na myśli nekrofilię, seks ze zwłokami, a według Lorraine właśnie do tego tutaj dochodziło, są złe. Sprowadzają aktywność demoniczną. Miejsce, w którym do tego dochodziło, może stać się celem uwagi demonów.

– To niekoniecznie jest ostateczne wytłumaczenie – powiedziała Lorraine zachrypniętym głosem, w ręce trzymając szklankę wody z lodem – ale z pewnością pasuje do wizji, którą miałam, gdy byłam

tu po raz pierwszy. Naprawdę wierzę, że właśnie do tego tu dochodziło… i uważam, że to właśnie jest przyczyna waszych obecnych kłopotów.

– No to co mamy zrobić? – zapytała cicho Carmen. – Jak mamy to powstrzymać?

Ed i Lorraine popatrzyli na siebie bez słowa. Nie mieli wątpliwości, że to, co się dzieje w tym domu, jest bardzo, bardzo prawdziwe. Widzieli, jaki jest kolejny krok, ale nie wiedzieli, jaki przyniesie efekt i nie chcieli podsycać nadziei Snedekerów.

– Teraz – westchnął Ed – skontaktujemy się z Kościołem.

– Już to zrobiliśmy – powiedział z lekką irytacją Al. – I donikąd nas to nie zaprowadziło.

– Wiem – odpowiedział Ed. – Teraz to my się z nimi skontaktujemy. Powiemy im, czego się dowiedzieliśmy, co widzieliśmy, i co według nas stanowi problem. Rzecz w tym… nie mówię, że tak na pewno będzie, ale…

– *Co*? – warknął Al ze zniecierpliwieniem.

– Możemy dostać taką samą odpowiedź jak wy.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

UWAGA KOŚCIOŁA

Zadzwonił do drzwi, po czym się cofnął i przyoblekł twarz w uśmiech, trzymając swoją czarną torbę.

Carmen otworzyła drzwi. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i wyciągnął rękę.

– Zapewne pani Snedeker – powiedział. – Jestem ojciec George. Warrenowie opowiedzieli mi o waszym problemie.

– Och, ojcze, tak się cieszę, że ojciec tu jest – powiedziała z lekką desperacją w głosie i zaprosiła go do środka.

Natychmiast to poczuł, mroczną, ciężką aurę, która wydawała się sięgać wszędzie. Ale wciąż się uśmiechał, nie chcąc przestraszyć pani Snedeker.

– Co powiedzieli ojcu Warrenowie? – spytała Carmen, gdy stanęli w holu.

– Że w państwa domu ma miejsce bardzo nieprzyjemna aktywność nadprzyrodzona, i uważają, że ma ona podłoże demoniczne i że potrzeba państwu pomocy Kościoła.

Powiedzieli dużo więcej, ale nie chciał jej o tym mówić. Nie powiedział jej o wielu rzeczach.

Nie powiedział jej, że poza tym, że był księdzem, był też wykształconym demonologiem i znał się na tym w równym stopniu co Warrenowie. Nie powiedział jej, że po tym, co usłyszał od

Warrenów, od razu wiedział, jak pilnie w domu Snedekerów potrzeba jego pomocy. I oczywiście nie powiedział jej, że w chwili, gdy wszedł do tego domu, poczuł, jak jest źle, jak bardzo problem jest zaawansowany, i że bez wsparcia duchowego będzie jedynie gorzej.

Carmen zaprowadziła go do jadalni i przedstawiła Laurze i Peterowi. Powiedziała, że współpracownicy Warrenów, Chris i John (Sal wyjechał), odpoczywają w salonie i potrzebują snu. Zaparzyła mu herbaty i spytała, co chciałby zrobić.

– Cóż, przejdę się po domu, pobłogosławię go, poświęcę każde pomieszczenie wodą święconą i zobaczymy, co znajdę. Potem, jeśli pani pozwoli, chciałbym za dzień lub dwa wrócić z jeszcze jednym księdzem i być może odprawić mszę.

– W porządku – powiedziała Carmen. – Czy będzie ksiądz czegoś ode mnie potrzebował?

– Absolutnie niczego. Jest pani bardzo uprzejma – uśmiechnął się do niej szeroko, po czym wstał i schylił się po swoją torbą spoczywającą na podłodze. – Czy mógłbym się przejść po domu?

– Och, oczywiście, bardzo proszę – odparła Carmen nieco nerwowo. – Proszę bardzo. Ale to… no, to już nie jest ten sam dom co kiedyś. W salonie leżą materace, żebyśmy mogli spać wszyscy razem i…

– Proszę nie czuć się w obowiązku przepraszać czy tłumaczyć. Rozumiem, naprawdę – uśmiechnął się do niej raz jeszcze, a potem wyszedł z jadalni i otwierając torbę, ruszył korytarzem.

Gdy tylko został sam, jego uśmiech zniknął. Od samego wejścia do tego domostwa z trudem go utrzymywał; powietrze aż wibrowało złem. I po Carmen, i po jej siostrzenicy Laurze znać było ciężar mieszkania w takiej atmosferze. Były zaniedbane, opuchnięte, przybite, każdy ich ruch był ciężki i pełen wysiłku; oczy miały przekrwione i załzawione, mówiły wolno i zacinając się, co jasno świadczyło o ich stanie. Idąc przez korytarz, pomodlił się za nie.

Ojciec George najpierw poszedł do sypialni, potem do łazienki, potem znowu przeszedł przez hol, kropiąc wodą święconą

i błogosławiąc każde pomieszczenie i każdą część domu. Potem ruszył…

…na schody.

Poczuł to już na samej górze, a schodząc, modlił się o siłę, wiedząc, że w piwnicy czeka na niego coś złego. Warrenowie go ostrzegli, ale gdy był już prawie na samym dole, zrozumiał, że ich ostrzeżenie było za mało dobitne. Coś ściskało mu żołądek, wykręcało go tak, że zbierało mu się na wymioty.

Wreszcie zszedł na sam dół i powoli, lekko drżącymi rękami, pobłogosławił pierwszy pokój, potem drugi, gdzie to nieprzyjemne uczucie było silniejsze. W kolejnym korytarzu było jeszcze cięższe, ciemniejsze… niemal duszące.

Święcił każde pomieszczenie w piwnicy, aż dotarło do niego, że płacze, i to już od jakiegoś czasu – policzki ma wprost mokre od łez. Stał w pomieszczeniu, w którym niegdyś znajdowała się kostnica, otaczały go ściany do niedawna poznaczone krwią zmarłych. Gdy przeszedł do błogosławieństwa, słowa zmieniły się w jakiś bełkot i uświadomił sobie, że coś się dzieje.

Ze ściany naprzeciwko wyłoniło się coś ciemnego, a jednocześnie transparentnego, coś płynnego i falującego, co ruszyło w stronę ojca George'a.

Chlustając wodą święconą i unosząc krucyfiks, wycofał się do sąsiedniego pomieszczenia, po czym odwrócił się, przeciął korytarz i pognał po schodach na górę.

Gdy stanął twarzą do łazienki, zatrzymał się, żeby złapać oddech, uspokoić się i otrzeć łzy chusteczką, którą nosił w tylnej kieszeni, modląc się do Boga, by ten pomógł mu ukryć strach przed Carmen Snedeker i pozostałymi, którzy przeszli już wystarczająco dużo.

Poszedł do salonu, gdzie spali badacze, pobłogosławił ich cicho, a potem, ostrożnie przechodząc nad materacami, ruszył do pozostałych sypialni.

Gdy skończył, wrócił do jadalni i uśmiechnął się do Carmen i Laury.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to zdecydowanie chciałbym jak najszybciej wrócić, przypuszczalnie z jeszcze jednym księdzem, i odprawić mszę. Może jeszcze dziś wieczorem albo jutro rano?

– Jasne – powiedziała ochryple Carmen. – Ale… dlaczego zmienił ojciec zdanie? Coś jest nie w porządku?

– Och, nie, nie. Po prostu myślę o swoim grafiku, to wszystko. Dziękuję za cierpliwość i gościnność. Muszę już jechać.

Carmen wstała i odprowadziła go do drzwi.

– Ojcze, jak ojciec sądzi… – wyszeptała – czy, no, wszystko będzie dobrze? To znaczy… z nami będzie wszystko dobrze?

Uśmiechnął się do niej uspokajająco i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko działa dla dobra tych, którzy kochają Boga.

Carmen uśmiechnęła się, sprawiając wrażenie, że poczuła się lepiej. Ksiądz nacisnął klamkę.

– Do zobaczenia niedługo – powiedział.

Ruszył chodnikiem, a gdy usłyszał, że drzwi frontowe się zamknęły, z zaskoczeniem stwierdził, że wciąż drży po tym ataku na swoje zmysły, którego doświadczył w domu Snedekerów.

Wieczorem wrócił w towarzystwie drugiego księdza, ojca Gary'ego.

Otworzył im Al. Przywitali się, przedstawili i poszli do salonu.

Byli tam wszyscy: Carmen i troje dzieci, Laura i dwóch współpracowników Warrenów, Chris i John.

W salonie ojciec George przestawił ojca Gary'ego.

– Chcielibyśmy dziś wieczorem odprawić mszę – powiedział. – Oczywiście, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Nikt się nie sprzeciwił. Michael wyłączył telewizor. Wszyscy wstali.

– Jak możemy pomóc? – zapytał Al.

– Czy moglibyśmy dostać jakiś stół? – Ojciec George odwrócił się i popatrzył na stolik kawowy przesunięty pod ścianę, żeby nikomu

nie zawadzał podczas spania.

– Och, żaden problem – odparł Al, a John pomógł mu przenieść mebel nad materacami i postawić przed dwoma kapłanami.

– No to – odezwał się nieco nieśmiało ojciec Gary – gdybyście mogli się zebrać przed nami… o ile nie przeszkadza wam stanie na materacach.

– Zdążyliśmy się już przyzwyczaić – zaśmiał się Chris.

Wszyscy postąpili zgodnie z prośbą księdza.

Po kilku chwilach ojciec George i ojciec Gary zaczęli celebrować mszę po łacinie.

W trakcie mszy coś zaczęło się dziać, coś cichego i bardzo złego – coś, do czego podczas mszy nie powinno dojść.

Carmen i Laura zauważyły to jako pierwsze. Dopiero później dowiedziały się, że *tylko* one to zauważyły. Ale zobaczyły – jednocześnie – dokładnie to samo.

Do pokoju wpłynęła chmura cienia, przemieszczając się płynnie i bezdźwięcznie. Na początek otuliła ojca George'a, a potem ojca Gary'ego, aż obu skrył chorobliwy mrok.

Carmen i Laura nie dały nikomu znać, co widzą, ale poczuły, że przyspieszają im serca, oddech się skraca, a w gardle zasycha, gdy patrzyły, jak ta falująca ciemność otacza księży, bezgłośnie, szyderczo, bez najmniejszej reakcji z ich strony. Zupełnie jakby ta obecność po prostu naśmiewała się z ich nieszkodliwego, małego rytuału.

Po chwili Laura poczuła, że między jej nogami coś zaczyna się poruszać. Miała na sobie oliwkowe szorty turystyczne i białą bluzkę z bawełny. Poczuła na nogach coś, jakby małe rączki, jakby dłonie małego dziecka, które chce, żeby je podnieść. Małe łapki, zimne i wilgotne, trącały jej łydki, ciągnęły za brzegi szortów, niezdarne paluszki prosiły.

…podnieś mnie, proszę… ponoś mnie… potrzymaj… proszę, przytul mnie… do tych małych cycuszków, żebym mógł je possać, żebym

mógł jebane wyssać do sucha, ty cipo, ty napalona mała cipo, z taką mokrą cipką i dziurką szeroko otwartą, żeby w nią…

Laura drgnęła, gdy te słowa, gorące jak ogień, zaczęły rozbrzmiewać w jej głowie, zamrugała kilka razy, a oczy zaczęły jej łzawić. Próbowała się skupić na mszy, bardzo się starała, próbowała nie krzyknąć, co było jej pierwszym impulsem.

Msza trwała bez przeszkód i, wydawałoby się, nic się nie działo.

Podczas gdy Laura czuła małe rączki na nogach i słyszała głos w swej głowie, Carmen miała wrażenie, że po całym ciele dźgają ją jakieś sztywne, niewidzialne palce, które wbijały się w nią niezmordowanie, jakby wokół niej chodziło jakieś dziecko, jakieś rozpuszczone, rozzłoszczone dziecko, bachor, który czegoś chce, nie może tego dostać i się wścieka. Ale Carmen się nie poruszyła. Skupiła się na mszy i bez słów modliła się o siłę.

Gdy Laura czuła dotyk i słyszała słowa, gdy Carmen dźgał jakiś niewidzialny palec, Chris też zaczął coś czuć. Jakby dłoń błądzącą w okolicach jego krocza. Początkowo znajdowała się jakby na zewnątrz spodni, drapiąc materiał wokół zamka, jakby próbowała dostać się do środka. Potem, jakby to w sumie nie było potrzebne, przeniknęła przez materiał spodni i bokserek, i poczuł, jak wokół jego penisa owijają się cienkie, lodowate palce.

Początkowo te palce delikatnie ściskały i pocierały, jak palce kochanki próbującej go uruchomić, przygotować na kochanie się; jednak te palce były zbyt kościste, zbyt zimne… jak palce trupa… starego trupa.

Ale te łagodne ruchy szybko przeszły w brutalne ściskanie. Dłoń zaczęła mocno – za mocno – ciągnąć, aż z ledwością powstrzymywał się od krzyku. Jednak jakoś mu się udało. Koncentrował się na mszy i modlił cicho, błagając Boga o siłę, aż wreszcie nacisk zniknął.

✞ ✞ ✞

Przez następny tydzień dom Snedekerów był centrum czegoś, co można opisać wyłącznie jako wściekły odwet demonicznych sił, które od chwili odprawienia mszy były nieposkromione i poczynały sobie całkowicie swobodnie.

Późno w nocy, gdy Chris siedział przy stole w jadalni, przeglądając jakiś magazyn i czuwając na wypadek jakichś kłopotów, Laura obudziła się nagle przez coś, co początkowo uznała za sen.

Drżała gwałtownie, a koszulę nocną miała podciągniętą po samą szyję. Przerażająco zimne ręce zaczęły macać jej piersi, ugniatać je i brutalnie masować.

Zaczęły ją trącać jakieś sztywne palce, początkowo jakby dla zabawy, potem mocniej i mocniej, aż to zaczęło boleć, okropnie boleć – aż stało się *nie do zniesienia* i Laura spróbowała krzyknąć w nadziei, że ten koszmar senny się skończy.

Ale nie mogła wydać z siebie głosu, a to się nie skończyło.

Poczuła na sobie coś innego niż dłonie, niż palce. Poczuła, jak po jednej z jej piersi przesuwa się coś twardego, potem po drugiej, coś zimnego jak stal, coś z ostrzem jak brzytwa.

Nagle uświadomiła sobie, że to było ostrze – ostrze noża trzymanego przez jedną z tych dłoni, które jeszcze przed chwilą ją obmacywały.

Ostrze przesunęło się lekko w górę i w dół po jej stwardniałym sutku. A potem, tak gładko, że w pierwszej chwili nawet tego nie zauważyła, nóż zaczął ciąć… ciąć, przesuwając się w górę i w dół… w górę i w dół…

Laura czuła, jak ostrze zagłębia się w jej ciele, czuła, jak przemieszcza się pod jej sutkiem, o którym *wiedziała*, że musiał zostać odcięty.

Otworzyła oczy, otworzyła je szeroko, tak szeroko, aż zabolały ją mięśnie wokół nich, ale niczego nie widziała.

I wtedy dotarło do niej, że to bynajmniej nie był sen… i że jest ślepa.

Próbowała krzyknąć… ale nie mogła dobyć z siebie głosu… mogła tylko wzdychać… tylko szeptać… tylko pomrukiwać… a potem zebrała wszystkie siły i wrzasnęła, jak mogła najgłośniej, wrzeszczała, aż zdarła sobie gardło, aż straciła oddech.

Potem łapczywie wessała powietrze i wrzasnęła znowu, tym razem z płaczem.

– *Coś mnie tnie! Jestem ślepa!*

Wszyscy obudzili się w jednej chwili – łącznie z Peterem, który ocknął się z płaczem – a Chris, potykając się, pokonał hol i wpadł do salonu.

Laura z wielkimi oczami usiadła, odrzucając kołdrę i koc, ściskając się za piersi i wciąż krzycząc.

Chris włączył światło i spojrzał jej prosto w oczy. Natychmiast zrozumiał, że niczego nie widziała – że była ślepa.

Wtedy wszystko skończyło się równie gwałtownie, jak się zaczęło.

Laura opadła na swoją poduszkę i rozluźniła się, jęcząc i przez chwilę pocierając oczy, a potem spojrzała na zatroskane twarze otaczających ją ludzi.

Chris, do którego dołączył John, klęknął obok niej, trzymając w dłoni dyktafon.

– Powiedz, co się stało – poprosił bez tchu.

Zrobiła to powoli, jąkając się i zacinając.

Gdy skończyła, Chris i John popatrzyli na siebie.

– Zaatakowały jej oczy – szepnął Chris.

– To znaczy, że musimy działać szybko – odpowiedział cicho John. – Są wściekłe…

✞ ✞ ✞

Późno wieczorem, gdy wszyscy inni próbowali spać na materacach w salonie, Chris i John siedzieli przy stole w jadalni. Chris drzemał z głową opartą na skrzyżowanych ramionach, a John bezmyślnie

przeglądał gazetę. Czytał pasek komiksowy, gdy to usłyszał: kroki… powolne kroki na schodach, zmierzające w górę.

John upuścił gazetę na stół, wyciągnął rękę i potrząsnął ramieniem Chrisa. Ten nawet nie drgnął. John potrząsnął nim mocniej.

– Chris, obudź się! – syknął.

Zamarł, gdy nagle zrozumiał, co się dzieje. Już tego doświadczył. Czasami demoniczna obecność wprowadzała niektórych ludzi w domu w głęboki trans, podczas gdy pozostali zachowywali świadomość, żeby obserwować manifestacje. John wstał, stanął za Chrisem i podniósł jego ramiona z blatu; gdy go puścił, mężczyzna bezwładnie opadł z powrotem.

– O Boże – jęknął John, nasłuchując zbliżających się kroków, do których dołączył nowy dźwięk: głos, mamroczący i szepczący, bliższy i bliższy, gdy był coraz wyżej na schodach…

Jeansowa kurtka Johna wisiała na oparciu krzesła, na którym siedział. Sięgnął do niej i grzebał po kieszeniach, aż znalazł małą latarkę, którą nosił przy sobie.

Nagle w pokoju – i chyba w całym domu – zrobiło się zimno jak w chłodni, a John, wychodząc z jadalni, złapał kurtkę i nałożył ją.

W ciemnym korytarzu zaświecił latarką w stronę klatki schodowej znajdującej się na jego drugim końcu. Niczego jeszcze nie widział, ale nadal słyszał te kroki – i głos, teraz formujący słowa.

– Czy… ty… wiesz? Czy… ty?

John z piersią ściśniętą strachem szybko przeszedł przez korytarz. Wolną rękę miał w kieszeni kurtki, trzymając krucyfiks i modląc się w myślach.

Poświecił do salonu, omiatając strumieniem światła nieruchome kształty na podłodze.

– Ktoś nie śpi? – spytał skrzeczącym głosem. – Słyszy mnie ktoś? – odezwał się głośniej.

– Czy ty wiesz… co zrobili? – spytał głos, tym razem wyraźniej. Nie był ani męski, ani kobiecy, i jakby mokro bulgotał.

John poczuł nieprzyjemny zapach… to było coś zgniłego.

Gdy znów się odezwał, zobaczył chmurkę pary wypływającą mu z ust.

– Dalej, obudźcie się! *Pobudka*!

Nikt się nie ruszył. Nikt nawet nie drgnął.

– O Boże – wymamrotał John, wycofując się z salonu, wiedząc, że nikt się nie obudzi, bo *nie jest w stanie*.

Znowu w korytarzu odwrócił się powoli w prawo, wyjmując z kieszeni krucyfiks. Niespieszne kroki dotarły do szczytu schodów. Włączył światło w korytarzu i oddychał chrapliwie przez zaciśnięte gardło.

Strumień światła padł na nagie ciało, białe i fioletowe; luźne, obwisłe tkanki, które drgały i kołysały się, gdy to coś, co stanęło u szczytu schodów plecami do Johna, z wolna zaczęło się odwracać.

John przez długą chwilę nie był w stanie się ruszyć, gapił się tylko z otwartymi ustami. Ręce i nogi mu drżały.

To była kobieta. Garbiła się, miała kształt gruszki i obwisłe piersi, brodawki oplecione rozstępami i naciągnięte na zaokrąglonych końcach piersi, które kołysały się tam i z powrotem nad jej rozłożystym, dygoczącym brzuchem, gdy człapała powoli w stronę Johna. Jej brzuch niemal zakrywał plamę wyliniałych włosów łonowych pomiędzy grubymi, sflaczałymi udami. Jej długie włosy – ciemne z pasmami siwizny – zwisały w tłustych, matowych strąkach. Paznokcie u rąk i stóp były zgrubiałymi, czarnymi, zakrzywionymi szponami, a oczy przelewały się swobodnie w oczodołach. Strumień światła latarki przesuwał się nerwowo po ciele poznaczonym dużymi, fioletowawymi plamami, które wyglądały jak siniaki. Nie miała zębów, a jej wargi naciągały się na gładkich dziąsłach, gdy mówiła.

– Czy… ty… ty… wiesz… co oni nam… *robili*… tam na dole? Czy ty *wieeeeeszzzz*?

Do tej pory wstrzymywał oddech, ale teraz znowu jego klatka piersiowa zaczęła się miarowo unosić, podniósł krzyż, mówiąc

słabym głosem, z oddechem parującym w mroku:

– Zdrowaś Mario… Łaski pełna… Pan z Tobą… błogosławionaś Ty między niewiastami…

Co ja robię?– zastanawiał się w duchu. *Już to robiłem, wiem, co powinienem robić!*

– Czy ty wieeeeszzzz… co oni robili… naszym ciałom? – wysapały zwłoki, zbliżając się coraz bardziej. Odór gnijącego mięsa był z każdym ich krokiem coraz bardziej przytłaczający. – Czy ty wiesz, jakie oni nam robili rzeczy?

Sztywno wyciągnął rękę z krzyżem.

– W imię Jezusa Chrystusa nakazuję ci opuścić to miejsce i wrócić tam, skąd przybyłeś! – krzyknął.

– A wiesz, co *jeszcze*? – zapytało to coś, ignorując jego słowa. Obwisłe, oklapłe wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, obnażając różowo-fioletowe dziąsła i drgający język. – *Wieeeesz… co jeszcze? Uwielbialiśmy to!* – syknął trup, zaczynając się śmiać mokrym, rechoczącym śmiechem. – *Uwielbialiśmy to macanie, i pieprzenie, i ssanie…*

– W imię Jezusa Chrystusa nakazuję ci stąd odejść…

– *…i lizanie, i palcówki, i ruchanie…*

– …i wracać tam, skąd przybyłeś!

– *…słyszysz mnie, ty bezbożny, wypięty lachociągu? Uwieeelbiaaaliśmy to!*

I nagle trup przestał człapać, i niemożliwie szybko ruszył przez korytarz, ale teraz, znienacka, jak gdyby John akurat mrugnął i przeoczył tę transformację, nie był już trupem.

Wyrosły mu skrzydła, wielkie, skórzaste, nietoperzowe skrzydła zakończone pędzlami szarego futra, a głowa nie była już głową dawno zmarłej kobiety, ale była gadzia i ostra, pozbawiona warg, z maleńkimi, błyszczącymi oczami. Stwór rzucił się na niego gwałtownie, podczas gdy jego ciało – teraz pokryte łuskowatą, pomarszczoną skórą, która zwisała luźnymi fałdami, okrywającymi

potężną, grubą zwężającą się stożkowo erekcję – kołysało się w przód i w tył, gdy biegł na szponiastych, gadzich łapach.

John krzyknął tak głośno, że miał wrażenie, że oczy wyskoczą mu z oczodołów.

– *W imię…*

Ale nie zdołał powiedzieć nic więcej, bo ten stwór był już na nim, poczuł na twarzy jego gorący, śmierdzący oddech, potężne ramiona odwróciły go tyłem i cisnęły na podłogę, twarzą ku dołowi, a potem przycisnął go do ziemi, obejmując od tyłu skrzydłami jak kochanka ramionami.

John zaczął krzyczeć.

Potem stracił świadomość…

Gdy się ocknął – nie miał pojęcia, o ile później – nadal leżał na zimnej, drewnianej podłodze w korytarzu. Natychmiast zaczął się czołgać w stronę jadalni, próbując wołać, ale nie będąc w stanie wydać z siebie głośniejszego dźwięku. Jego latarka leżała na podłodze, rzucając wąski strumień światła.

Z jadalni wypadł Chris.

– John! Co się stało?

Minęło trochę czasu, zanim ten był w stanie mu powiedzieć.

✞ ✞ ✞

Nie było nocy, żeby nie było słychać krzyków – czasami krzyczała jedna osoba, czasami kilka jednocześnie – co najmniej raz, ale z reguły częściej.

Nikt nie przesypiał całej nocy, a badacze w ogóle prawie nie spali, co wyraźnie było widać po ich spuchniętych, przekrwionych oczach, niezbornej mowie i ruchach.

Ed i Lorraine przyjeżdżali prawie codziennie i modlili się z nimi. Widzieli jednak, że ta demoniczna siła w domu nabierała mocy i że już niedługo nic jej nie powstrzyma. Często dzwonili do ojca

George'a, żeby się dowiedzieć, jak długo Snedekerowie będą musieli czekać, żeby Kościół podjął jakieś działanie, i za każdym razem ksiądz mówił im to samo: „Robię, co w mojej mocy".

Nie powiedział im jednak, że od czasu odprawienia mszy w domu Snedekerów tak on, jak i ojciec Gary byli ofiarami wielu ataków podobnych do tych, do których w tym domu dochodziło każdego dnia i nocy. Ale *naprawdę* robił wszystko, co w jego mocy, żeby uzyskać pozwolenie Kościoła na przeprowadzenie egzorcyzmu.

Wszyscy robili, co w ich mocy.

Jednak napaści nie ustawały, dzień po dniu, noc po nocy… głosy i zapachy… przedmioty poruszające się z własnej woli… ataki fizyczne… kłucie, dźganie i dotykanie… ataki seksualne… aż wszyscy w domu zaczęli myśleć, że tracą rozum.

I wtedy, wreszcie, nadeszła pomoc.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

OJCIEC NOLAN

Kościół katolicki wreszcie udzielił pozwolenia na egzorcyzm i wybrano do tego zadania księdza mającego doświadczenie w odprawianiu tego starożytnego rytuału.

Ojciec Sean Nolan był muskularnym mężczyzną o szerokich ramionach. Mierzył sześć stóp i trzy cale. Utrzymywał dokładnie taki sam reżim fizyczny jak w czasach, gdy służył w marines.

Gdy poproszono go o przeprowadzenie egzorcyzmu w domu Snedekerów, natychmiast rozpoczął tygodniowe przygotowania – swego rodzaju trening – które obejmowały trzy dni ciągłej, prywatnej modlitwy, a po nich trzy dni postu i nauki. Gdy już jadł, to głównie owoce i warzywa, i ćwiczył jeszcze intensywniej.

Wiedział, że w nadchodzącej bitwie będzie potrzebował sił fizycznych, psychicznych a przede wszystkim duchowych. Bo dokładnie to go czekało: okrutna bitwa, w której nie będzie remisu. Przeprowadził już kilka egzorcyzmów i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, na jakie niebezpieczeństwo wystawia się egzorcysta w konfrontacji z czystym, nagim złem.

Wiedział, jakie podejmuje ryzyko – bluźnierczych i upokarzających napaści i okropnej śmierci – jednak wiedział też, że tylko Pan może go ocalić… jeśli jego umysł będzie czysty, a wiara w Boga silna. Zatem ciężko pracował, aby się przygotować, traktując modlitwę tak,

jak sportowiec mógłby traktować ćwiczenia, do studiowania Biblii podchodząc tak, jak bokser podszedłby do robienia wagi.

Ojciec Nolan wiedział bowiem, że gdy egzorcyzm się już rozpocznie, to nie można go przerwać… nieważne, jak bardzo mógłby tego chcieć.

✞ ✞ ✞

Tymczasem, w miarę jak dzień rytuału był coraz bliżej, Al i Carmen Snedekerowie coraz bardziej się niepokoili.

Któregoś ranka, tuż przed świtem, po tym, jak oboje się obudzili i już nie mogli zasnąć, siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w jadalni, popijając herbatę.

Dzieci i Laura spały, tak samo John. Chris był w łazience i brał prysznic.

– Naprawdę myślisz, że to coś da? – szepnął ochryple Al.

– Cóż… chyba nie mamy za dużego wyboru, nie?

– Tak, ale co z innymi rzeczami? Błogosławieństwa, msza… tylko rozwścieczyły to coś. To co będzie po egzorcyzmie?

– Jeśli się pogorszy, to chyba zawsze możemy się wyprowadzić.

– A za co? Jak? Nie stać nas na przeprowadzkę! – syknął. – Carmen, już teraz ledwie dajemy sobie radę. Ciągle spłacamy rachunki za leczenie. Gdybyśmy mieli lepsze ubezpieczenie, to pewnie moglibyśmy się wyprowadzić. Ale nasze jest do dupy. Nadal musimy spłacić większość tych cholernych rachunków.

– Al, proszę, nie mów takich rzeczy. Tak było trzeba. Biedny Stephen… przecież nie dostał raka specjalnie.

Al opuścił głowę i westchnął.

– Tak, wiem. Cholera. Biedny dzieciak. Mam nadzieję, że nic mu nie jest.

Początkowo regularnie go odwiedzali i często dzwonili. Ale po jakimś czasie zaczął odmawiać odbierania od nich telefonów. Potem

powiedział, że nie chce ich oglądać, a jeden z lekarzy przyznał, że może byłoby najlepiej, gdyby przez jakiś czas nie przyjeżdżali; Stephen przechodził przez intensywną terapię, wyjaśnił, taką, która mogła być bardzo wyczerpująca, ale też niesłychanie skuteczna.

– Zawsze możemy to odwołać – powiedziała Carmen. – Znaczy się egzorcyzm.

– Aha, jasne, i jak to będzie wyglądać? Jakbyśmy byli bandą oszustów, którzy pod wpływem presji zmienili zdanie. Nie. Przejdziemy przez to.

– A jeśli potem będzie jeszcze gorzej?

– Cóż… – Wzruszył ramionami. – Pewnie będziemy musieli sobie jakoś z tym poradzić.

✞ ✞ ✞

W przeddzień egzorcyzmu ojciec Nolan poprosił Ala i Carmen, żeby dzieci nie było w domu, więc gdy przyjechał, czekali na niego tylko dorośli: Al i Carmen, Laura, Ed i Lorraine, Chris i John.

Ojciec Nolan ubrany był całkiem zwyczajnie – w czarne spodnie, pudrowo niebieską koszulę i szarą wiatrówkę – i niósł małą, czarną walizkę, odrobinę tylko większą od aktówki.

Był to ciepły, jasny i słoneczny dzień. Właśnie minęło południe. Ale gdy ojciec Nolan wszedł do domu, otoczyła go zima.

W środku było znacznie chłodniej niż powinno być w domu latem. Było też ciemniej, niż powinno być, pomimo odsuniętych zasłon i uniesionych żaluzji.

W powietrzu znać było jakieś napięcie, znacznie gorsze od statycznej elektryczności, złowroga energia, która sprawiła, że każdy cal ciała ojca Nolana zaczął nieprzyjemnie mrowić.

Od razu się zorientował, że ma do czynienia z czymś znacznie gorszym i znacznie silniejszym, niż przewidywał, z czymś, co było

tutaj od stanowczo zbyt dawna i zdołało zapuścić korzenie, jak jakieś ohydne, dławiące pnącze.

– Nie bardzo wiemy, co mamy robić, ojcze – powiedziała Carmen, gdy stali w holu – ale zrobimy wszystko, o co ojciec poprosi.

– To bardzo miło z waszej strony – odparł ojciec Nolan, dotykając jej ramienia z ciepłym uśmiechem. – Przede wszystkim potrzebujemy jakiegoś prowizorycznego ołtarza.

– Może być stolik kawowy?

– Jak najbardziej. Kolejna rzecz, uważam, że wszyscy obecni tu katolicy powinni się wyspowiadać i otrzymać rozgrzeszenie.

– Chyba są tutaj sami katolicy.

– Znakomicie. Przebiorę się i zaczynamy.

– Hm, ojcze, jeśli mogę zapytać… dlaczego przyszedł ksiądz ubrany po cywilnemu?

– Cóż, pomyślałem, że tak będzie dla was lepiej. Ostatnio często bywali u was księża, a dzięki temu sąsiedzi nie będą zadawali krępujących pytań.

Carmen nigdy nie przyszłoby to do głowy, ale uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję.

– Gdzie mógłbym się przebrać?

Zaprowadziła go do głównej sypialni na końcu korytarza. Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Gdy się z niego wyłonił, miał na sobie białą szatę i fioletową stułę.

Ołtarz powstał ze stolika kawowego w salonie, w którym wciąż na podłodze leżały materace.

Każdy po kolei wyspowiadał się i został rozgrzeszony. Gdy spowiedź się skończyła, ojciec Nolan po raz trzeci pobłogosławił dom.

Potem wszyscy zebrali się przed zaimprowizowanym ołtarzem.

– Najpierw – powiedział ojciec Nolan – chciałbym odprawić mszę, żeby oczyścić nas wszystkich… a także ten dom.

Wszyscy się zgodzili i kilka chwil później ojciec Nolan rozpoczął mszę.

Znowu, tak jak podczas poprzedniej mszy, zgromadzeni na niej zaczęli milczące zmagania z tą obecnością w domu. Carmen poczuła zimną dłoń, która lekko przesuwała się po jej ciele, palce wciskające się w jej intymne miejsca. Kręciła się i przenosiła ciężar ciała z jednej stopy na drugą, ale pozostała skoncentrowana na mszy i walczyła, żeby to zignorować.

Jakiś palec zaczął dźgać Laurę w oko, najpierw w lewe, potem w prawe, raz za razem, na zmianę, potem w oboje oczu jednocześnie, aż wreszcie zacisnęła powieki i pochyliła głowę w czymś, co wyglądało na wyraz czci, a nie samoobrony.

Al zaczął słyszeć głos. Nie dochodził z zewnątrz, ale z jego środka, z jego głowy. Był jednak bardzo głośny i bardzo wyraźny, jakby mówiący warczał mu wściekle w twarz.

„Allen, kurwa, co ty sobie wyobrażasz, co *to* ma niby dać? Naprawdę myślisz, że ten Bóg wam pomoże? *Dlaczego*? Jakoś wam wcześniej nie pomógł, nie? No? Pomógł?”

Al odetchnął głęboko, skupił wzrok na ojcu Nolanie, a po chwili ten głos ucichł.

Ale dyskomfort Ala nie zniknął.

Ed Warren poczuł coś dziwnego w klatce piersiowej. Odczucie pojawiało się i znikało, ale było znajome. To było ściskanie, podobne do tego, jakie poczuł 1985 roku, gdy miał atak serca.

Lorraine widziała białe rozbłyski, jakby miała w głowie stroboskop. W każdym z tych jaskrawych, białych rozbłysków był obraz: nagie zwłoki na stole… szorstkie dłonie na niebieskawo-białych piersiach… żywe, męskie ciało przygniatające trupa, roznamiętniona twarz…

A głęboko w głowie Lorraine słyszała odległy, dudniący śmiech… okrutny, szyderczy śmiech…

A potem msza się skończyła.

Ojciec Nolan odwrócił się do nich i westchnął z uśmiechem.

– Dobrze – powiedział. – Teraz chciałbym rozpocząć egzorcyzm. Ale najpierw powiem kilka rzeczy.

Wszyscy słuchali z uwagą. Zaczepki demona ustały.

– Przede wszystkim – powiedział ojciec Nolan – to może trochę potrwać. Być może kilka godzin. I chcę was zapewnić – zaśmiał się – że niczyja głowa nie będzie się kręcić wokół własnej osi. Jeśli widzieliście ten film, to wiem, że tak myślicie. To może nie być łatwe. Możemy się spotkać z działaniami odwetowymi, ale to nie będą *takie* rzeczy. Jednak może się zrobić nieprzyjemnie. Może być ciężko. Chcę, żebyście byli na to przygotowani.

– Mówił ojciec, że ile to może potrwać? – zapytała bojaźliwie Carmen.

– Godziny. Nawet wiele godzin. Zależy, co się będzie działo.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Dobrze – powiedział cicho ksiądz. – Jesteście gotowi?

– Tak – odpowiedzieli jednocześnie Snedekerowie.

– Prosimy – dodała cicho Carmen.

DWADZIEŚCIA OSIEM

EGZORCYZM

W chwili rozpoczęcia egzorcyzmu Ed Warren zauważył pewne naruszenie protokołu, co uświadomiło mu, że sytuacja jest poważniejsza, niż podejrzewał. Co więcej, uświadomił sobie, że Kościół *wiedział*, jaka jest poważna, i że przysłano tu kogoś, kto zadziała stosownie do okoliczności.

Ojciec Nolan zdecydował się skorzystać z *Rituale Romanus*, Rytuału Egzorcyzmu Rzymskiego, prowadzonego po łacinie, którego, w ciągu czterdziestu dwóch lat badań nad zjawiskami nadprzyrodzonymi, Ed *nigdy* nie widział, żeby jakiś ksiądz odprawiał go w domu. Często był wykorzystywany podczas egzorcyzmowania osoby wiary katolickiej, co do której Kościół uznał, że w istocie została opętana przez demona, ale *nigdy* nie korzystano z niego, żeby egzorcyzmować dom.

W miarę trwania rytuału Ed znowu zaczął czuć ten ucisk w piersi, który dokuczał mu podczas mszy. Serce zaczęło mu tak walić o żebra, że czuł je w gardle. Wziął głęboki wdech i starał się zignorować te sensacje.

Carmen znowu poczuła tę rękę, ale tym razem była znacznie bardziej brutalna. Była potwornie wyczerpana. Pomyślała, że w tej bitwie może jednak nie wygrać.

Tym razem Laura poczuła więcej niż tylko palec w oku. Tym razem palce dźgały ją po całym ciele, bezlitośnie, wszędzie, *mocno*… ale wiedziała dlaczego: gdyby krzyknęła, zakłóciłaby egzorcyzm… a nie chciała tego zrobić.

Więc po prostu modliła się w myślach i stała sztywno, ze wszystkich sił nie zwracając uwagi na to, co się z nią działo.

Głos, który podczas mszy warczał Alowi w głowie, powrócił. Powrócił z zaciekłością, tym razem wrzeszcząc: „Ty durny skurwysynu! Myślisz, że to coś da, ty pozbawiony kręgosłupa, pierdolony śmieciu? Myślisz, że to coś pomoże, ty miękki lachociągu, ty dupolizie?”.

Na chwilę zamknął oczy, powtarzając sobie: *Po prostu to zignoruj, to sobie pójdzie i będzie po wszystkim.*

Egzorcyzm trwał.

Bibeloty na półkach zaczęły drżeć.

Zdjęcia na ścianach zaczęły się kołysać.

Po czterech godzinach egzorcyzmu Ed poczuł ból w lewej ręce; zaczęła go rwać, w miarę jak jego pierś zaciskała się bardziej i bardziej.

Na jego czole i górnej wardze zaczęły się formować krople potu, które spływały mu po twarzy, podczas gdy jego oddech skracał się stopniowo, a serce zaczęło walić w piersi.

Ed chwycił Lorraine za rękę, ścisnął ją mocno i pochylił się do żony.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie to spotyka – szepnął.

Poczuła drżenie jego dłoni, co było dla niego bardzo nietypowe, a potem, gdy zobaczyła pot na jego twarzy, bardzo się zaniepokoiła.

– Co się dzieje? – szepnęła, odwracając się do niego i uważając, żeby nie zakłócić ceremonii.

Ed położył sobie dłoń na piersi.

– Chyba… m-moje serce – wyszeptał, gdy ból w ręce się wzmógł, a jego klatka piersiowa była jakby ściśnięta stalową obręczą.

– Będę musiał stąd wyjść – wyrzęził Ed, przy próbie złapania oddechu jeszcze mocniej ściskając dłoń Lorraine.

Zaczęła go prowadzić z salonu do korytarza, gdy doszło do czegoś, co gwałtownie ich zatrzymało.

Cały dom pochylił się tak, że Ed i Lorraine nagle *wspinali się* po podłodze, zamiast po niej iść.

Wszyscy w pokoju krzyknęli, nagle chwytając się siebie dla równowagi.

Ojciec Nolan pochylił się i złapał się stołu, ale nie wypadł z rytmu; kontynuował rytuał, głosem silniejszym niż wcześniej, z szeroko otwartymi oczami i twarzą napiętą w determinacji.

Lorraine nie dała się zwieść temu, o czym wiedziała, że było tylko bardzo przekonującą iluzją, i ruszyła wraz z Edem do wyjścia z pokoju, potem przez korytarz i do jadalni, gdzie ten opadł ciężko na krzesło, złożywszy ramiona na stole i pochyliwszy w osłabieniu głowę.

Ojciec Nolan kontynuował, a pozostali odzyskali równowagę, gdy dom jakby wrócił na swoje miejsce.

Ale to jeszcze nie był koniec.

W miarę trwania rytuału przez podłogę przemykały jakby fale, sprawiając, że podskakiwali nerwowo.

Z dywanu uniosły się smugi dymu, które wyciągały się w górę jak ręce, a na końcu miały dłonie… chwytające, szponiaste dłonie… dłonie, które wznosząc się, łapały ich za nogi… dłonie, które *czuli*… dłonie z ostrymi pazurami, które szarpały ich ubrania, próbując je przeciąć, próbując dostać się do skóry, pociąć ich ciała. A potem, równie niespodziewanie jak się pojawiły, zniknęły.

Rytuał trwał.

Na twarzy ojca Nolana widać było pot, zaczęły mu też drżeć dłonie. Na twarzy znać było napięcie.

Nagle pokój wypełnił się głosami, niskimi, ochrypłymi i gardłowymi głosami, które słyszeli wszyscy i które zaczęły ich osaczać…

mokrymi, rechotliwymi głosami, którym towarzyszył zapach… obrzydliwy, mdlący smród… odór gnijącej, rozkładającej się padliny.

– *Uwielbiaaaaliśmy* to…

– Pieprzenie i ssanie…

– Całe to macanie i miętoszenie…

– To było cudowne…

Potem zaczęły się pojawiać postacie, wylewając się ze ścian i przenikając przez meble jak płyn w kształcie ludzkich ciał… męskich i kobiecych… nagich i posiniaczonych, opuchniętych i poznaczonych białymi, niebieskimi i fioletowymi plamami… oczy miały wywrócone tak, że widać było tylko oślepiające białka… niektóre miały bezwładnie opuszczone ramiona, kołysząc nimi w rytm kroków, inne wyciągały przed siebie jedno lub oba, człapiąc i wciąż mówiąc:

…żaden bóg tego nie powstrzyma…

…nie chcemy, żeby to powstrzymał…

…podobało się nam, wszystko…

…całe to lizanie naszej skóry, całe to głaskanie i dotykanie…

…pieprzenie i ssanie…

…ściskanie i macanie…

Ojciec Nolan niemal krzyczał, prostując się jeszcze bardziej niż dotąd, jego głos brzmiał coraz głośniej, ochryple wykrzykując łacińskie słowa, gdy gorączkowym zrywem zakończył rytuał.

Zniknęły.

Ten koszmarny smród zniknął.

Z ojca Nolana lał się pot. Przez długą chwilę stał twarzą do zgromadzonych i próbował odzyskać oddech. Mimo że był w szczytowej formie fizycznej, wyglądał, jakby dotarł do kresu swojej wytrzymałości.

Odwrócił się od ołtarza i poszedł do jadalni z buteleczką wody święconej w ręce.

Stanął nad Edem Warrenem i popatrzył na niego z wyrazem wielkiego niepokoju.

– Co z nim? – spytał Lorraine, która siedziała, obejmując męża.

– Cóż… w sumie to nie wiem – szepnęła. – Miał już jeden atak serca. Jeśli wkrótce mu nie przejdzie, będziemy musieli wezwać karetkę.

Ojciec Nolan pokropił Eda wodą święconą, nakreślił nad nim znak krzyża i wymamrotał coś po łacinie. Potem pochylił się i spytał cicho:

– Ed, wszystko w porządku?

Ed podniósł głowę znad stołu.

– T… tak, chyba tak – zakaszlał.

– Dobrze. Ze mną też. – Wyprostował się i powiedział bardzo głośno – Mocą Jezusa Chrystusa, *obaj* jesteśmy cali i zdrowi.

To było tak, jakby z domu nagle ktoś ściągnął ciężki koc, to uczucie prześladowania, ciemna i dławiąca atmosfera, która od tak dawna go przenikała, zniknęła w jednej chwili.

Było to tak wyraźne, że ci, którzy nadal stali w salonie, jęknęli w szoku, gdy poczuli tę zmianę.

Dom wydawał się jaśniejszy, jakby słońce, pierwszy raz od długiego czasu, zdołało przebić się przez okna i oświetlić jego wnętrza.

Ed Warren odepchnął się z krzesłem do stołu jadalnego i wstał, powoli i ostrożnie. Lorraine nadal obejmowała jego szerokie ramiona.

Odwrócił się do ojca Nolana i uśmiechnął słabo.

– Ojcze, chyba się udało – powiedział. – Chyba się udało.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Laura i Mary wróciły do Alabamy, do matki. Stephen wyszedł ze szpitala, ale odmawiał powrotu do tego domu. Póki się nie przeprowadzili, mieszkał u ciotki. A nawet wtedy nie był do końca sobą: wciąż był wobec nich bardzo ostrożny, a gdy się przenieśli, musieli odbudować swoje relacje i spróbować zasypać powstałe między nimi wyrwy.

Najważniejszą rzeczą na tamten moment było to, że wreszcie, i na dobre, wyprowadzili się z domu, w którym ich życie stało się istnym piekłem.

EPILOG

Snedekerowie wynieśli się z domu na Meridian i nigdy doń nie wrócili. Nawet starali się nie przejeżdżać koło niego, bo sprawiał, że przechodziły ich dreszcze i pociły się im dłonie.

Przeprowadzili się do innego domu w innym miasteczku w Connecticut, gdzie powoli dochodzili do siebie po przeżytym koszmarze. W chwili powstawania tej książki nadal tam mieszkają.

Ów biały, dwupiętrowy, kolonialny dom nadal stoi przy Meridian, tak jak powykręcane, tańczące, podobne do trupa drzewo w ogrodzie. Od wyjazdu Snedekerów jest stale wynajmowany.

Wkrótce po przeprowadzce do Snedekerów doszły plotki, że nowym najemcom przydarzają się w tym domu dziwne rzeczy. Dotarło do nich, że pytają o poprzednich lokatorów, ciekawi, czy ci wiedzą coś o tym, co się tam dzieje.

Carmen było ich żal. Bała się o nich… modliła za nich. Któregoś wieczoru zasugerowała Alowi, żeby się z nimi skontaktować i spróbować im pomóc.

Al odwrócił się do niej. Gwałtownie pobladł i zrobił wielkie oczy.

– Żartujesz sobie? – zapytał, ledwie będąc w stanie szeptać. – Ja… ja nie chcę nawet *rozmawiać* z nikim, kto tam mieszka, nawet przez telefon. Skoro… no, skoro im się tam nie podoba, to mogą się wynieść.

– A jeśli są w podobnej sytuacji co my? – naciskała Carmen. – Jeśli *nie mogą*? Co, jeśli nie mają wyboru?

Al wrócił wzrokiem do ekranu telewizora.

– No to będziemy się za nich modlić.

Ale Al miał rację. Nowi najemcy tego domu faktycznie się wyprowadzili.

Po nich pojawiła się tam kolejna rodzina…

…i kolejna…

…i jeszcze kolejna…

Wydawnictwo Replika poleca
książki Eda i Lorraine Warrenów:

Przeklęty.
Historia domu Smurlów

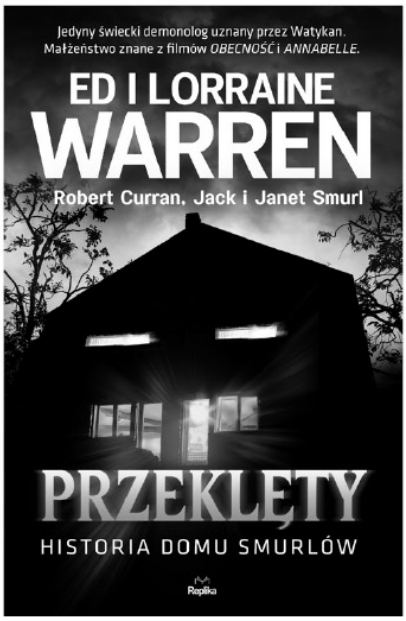

Niesamowita i mrożąca krew w żyłach historia będąca jednym z najważniejszych doświadczeń związanych z nawiedzeniami.

Legendy mówią, że kiedy do zbudowanego w 1896 roku domu w West Pittson w stanie Pensylwania wprowadziła się pierwsza rodzina, od razu było wiadomo, że z budynkiem jest coś nie w porządku. Podobno każdy, kto tam mieszkał, stykał się z tajemniczymi siłami, których nie potrafił wytłumaczyć. Nawet gdy dom stał pusty, ludzie z okolicy słyszeli dziwne i niepokojące dźwięki…

Sprawa zyskała potężny rozgłos, gdy do posiadłości wprowadziła się rodzina Smurlów. Przeżyli prawdziwy koszmar.

Odór jak z rzeźni. Ogłuszające dudnienie. Półczłowiek z kopytami zamiast stóp. Ataki fizyczne. Nieskuteczne egzorcyzmy. STRACH…

Ed i Lorraine Warrenowie całkowicie zaangażowali się w sprawę, badając ją od podszewki. Okazało się jednak, że nawet tak doświadczeni demonolodzy nie potrafili stawić czoła złu, które opanowało dom…

Sprawa nawiedzonego domu Smurlów została potwierdzona przez wielu świadków – księży, policję, dziennikarzy i badaczy zjawisk paranormalnych – a także sfilmowana.

Wydawnictwo Replika poleca
książki Eda i Lorraine Warrenów:

Nawiedzenia.
Historie prawdziwe

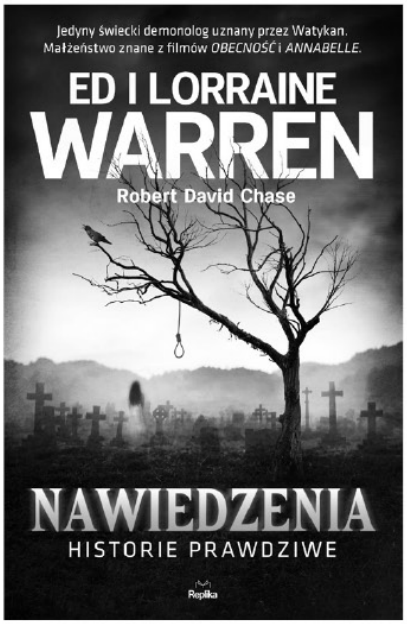

Opętania.
Historie prawdziwe

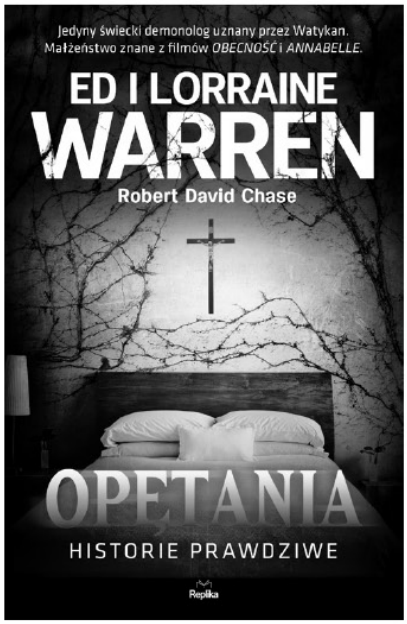

Ed i Lorraine Warrenowie, najsłynniejsi i najbardziej szanowani demonolodzy świata, poświęcili kilka dziesięcioleci na badanie, potwierdzanie i wreszcie dokumentowanie niezliczonych przypadków zjawisk nie z tego świata. Zdumiewające doświadczenia Warrenów ze światem nadprzyrodzonym stały się inspiracją dla bestsellerowych książek i bijących rekordy popularności filmów, w tym *Obecność*, *Annabelle* czy *The Amityville Horror*.